

SUSAN WILSON

Dobry pies

Przekład

PRZEMYSŁAW BIELIŃSKI

Dedykuję, jak zwykle, swojej rodzinie - z wyrazami miłości. A także pamięci dwóch wspaniałych mężczyzn, naszych ojców: Williama Everetta Hidlera i Franka Gordona Gibsona jr.

Prolog

Nie wyglądał najlepiej. Wielkie uszy, sztywne włosy. Zaczynał siwieć na pysku. Taki typ, co to od jakiegoś czasu żyje z dala od ludzi; może nawet nigdy się z nikim nie zaprzyjaźnił. Po długiej paradzie chętnych, którzy pojawiali się przede mną i chcieli, żebym wybrał jego lub ją, przyciskając nos do oddzielającej nas siatki, w jego ciemnych piwnych oczach zobaczyłem coś... nie błaganie, na to mógłbym nie zwrócić uwagi, ale coś innego. Cicha godność, nawet wyższość, jakby wcale mu nie zależało, żebym ja - czy w ogóle ktoś taki jak ja - był dla niego miły. Tak. Właśnie to, wyniosłość oznajmiająca, że on nie potrzebuje niczyjej litości; że w ogóle nie powinien tu być. Nie patrzcie na mnie, jestem tutaj tylko z musu.

Nasze oczy się spotkały, ale potem odwrócił wzrok. Beta wobec mnie, alfy. Ale w tym krótkim spojrzeniu dostrzegłem coś, co rozpoznawałem. Może po prostu własną niezależność; to, co pozwoliło mi utrzymać się na powierzchni. Albo duszę wojownika, którego opuściło szczęście, ale wciąż pamięta niedawną chwałę. Może wychwyciłem, że pod szorstką powierzchownością kryje się serce jak moje, wcale nie takie z kamienia. Trzeba być twardym, żeby żyć na tym świecie; nieważne, czy szczerzysz kły w prawdziwym

gniewie czy ze strachu, musisz być gotowy spełnić groźbę. Ten poznaczony bliznami gość to rozumiał i na tej podstawie podjąłem decyzję. Pasował do mnie. Dlatego zamerdałem ogonem.

Adam March nie podnosi wzroku znad trzymanej w ręku kartki. Jego ton jest jak zwykle spokojny; głośny tylko na tyle, żeby dotarł do najnowszej asystentki, po drugiej stronie dyrektorskiego gabinetu, za otwartymi mahoniowymi drzwiami. Na różowej karteczce samoprzylepnej widnieją wypisane ulubionym fioletowym długopisem Sophie i jej zamasztysem dwa słowa, których Adam March zupełnie nie rozumie. „Dzwoniła siostra”. Niemożliwe. Godzina i data telefonu: wczoraj po południu, kiedy Adam znosił ostatnie, miał nadzieję, spotkanie przed dzisiejszym wydarzeniem. Wygłosił wtedy przed swoim doborowym zespołem mowę - połączenie motywacyjnej gadki i upoważnienia, żeby nie brać jeńców.

Adam przesuwając karteczkę w tę i z powrotem po kłykciach lewej dłoni. To pomyłka. Sophie się pomyliła. Nie po raz pierwszy. Ostatnio coraz częściej zauważał te drobne błędy, niedokładności, oznaki niedostatecznego szacunku. Jakby nie była jego podwładną, ale koleżanką. Za dużo siedzenia z nią do późnej nocy bez marynarki, z poluzowanym krawatem i podwiniętymi rękawami. Za dużo nużących godzin zaglądania jej przez ramię na ekran komputera, starań, żeby każdy dokument był idealny. Popelniła częsty błąd - to, że walczą ramię w ramię, nie oznacza, że są

przyjaciółmi, że Adam będzie puszczał płazem niechlujstwo.

March zamyka oczy, oddycha głęboko. To najważniejszy dzień w jego karierze, a już zaczął się źle.

Nie zadzwonił budzik. Adam nie miał więc czasu na przebieżkę po żwirowych ścieżkach swojego ogrodzonego osiedla, a to z kolei oznaczało, że stracił trzydzieści minut „czasu dla siebie”, którego tak bardzo potrzebował przed dniem wypełnionym spotkaniami, telekonferencjami, przynajmniej jedną konfrontacją z kierownictwem średniego szczebla i, wieczorem, kolacją. Jego żona Sterling zamierzała wkupić się w łaski najnowszych sąsiadów, Van Arle- nów, zanim ktoś inny ich przechwyci. Van Arlenowie, jak uważano, mieli świetne znajomości - nieocenione dla każdego, kto jest zainteresowany towarzyskim awansem i naprawdę dobrym wykształceniem dla dzieci. To właściwie mówi o Sterling wszystko.

Adam nie miał nic przeciwko zapoznawczej kolacji, wolałby po prostu, żeby nie wypadła tego samego dnia, kiedy w jego życiu działo się tyle innych rzeczy. Z drugiej strony jednak, gdyby czekali na spokojniejszą chwilę, wciąż mieszkaliby w Natick, a ich córka nie cieszyłaby się znajomościami, które przydadzą się jej do końca życia. To była harówka - kładzenie podbudowy pod towarzyskie, biznesowe, edukacyjne i rekreacyjne ścieżki nastolatki, która witała Adama ze źle ukrywaną pretensją, gdy pojawiał się na któ- rychś z jej niezliczonych zawodów tuż przed ogłoszeniem wyników.

Kiedy March myślał o dzieciach, wyobrażał sobie siebie jako Warda Cleavera swojej rodziny, mądrego, kochającego, wielbionego. Ariel nie była kpiąco psotna jak Beaver ani sumienna jak Wally; Adam od lat nie słyszał z jej ust ani jednego składnego zdania, zawsze mamrotała coś w blat stołu albo za zasłoną długich, jasnych włosów. Jej twarz widział tylko na zawodach jeździeckich, kiedy miała włosy zaczesane do tyłu i schowane pod aksamitnym toczkiem. Wtedy jednak zlewała mu się z innymi dziewczynami, ginęła w morzu zaróżowionych policzków, obcisłych bryczesów i niebieskich surdutów. Zdarzało się, że Adam kibicował niewłaściwej parze koń-jeździec. Nie wspominając już, że wszystkie konie też wyglądały tak samo. Dla Marcha pokazy jeździeckie były nieznośną, niekończącą się powtarzalnością niebieskich surdutów, czarnych toczków, brązowych koni galopujących po torze, a potem płaczących dziewczyn, kiedy spadała belka przeszkody, kończył się czas albo koń okazywał się zwariowany, leniwy, kulawy lub zwyczajnie głupi.

Nie wiedział o Ariel nic ponad to, że chciała zostać mistrzynią końskich skoków, na który to cel wydawał mnóstwo pieniędzy. Na to właśnie jednak tak ciężko pracował. I

na czterokaratowy pierścionek Sterling, jej osobistych trenerów od fitnessu, po jednym w każdym z ich trzech domów - w Sylvan Fields, Wellington na Florydzie i na Martha's Vineyard - na utrzymanie coraz liczniejszych służących i ich nielegalnych kuzynów, a także kadry doradców finansowych pilnujących, żeby nie płacił podatków więcej niż trzeba. Oni akurat, w przeciwieństwie do większości zatrudnianych przez Adama ludzi, byli bardzo, bardzo dobrzy w swoim fachu.

W wieku czterdziestu sześciu lat w ten pochmurny poranek Adam March z czołem przyciśniętym do lustra w łazience żałował, że musi iść do pracy. Zawiódł go nie tylko budzik; pokojówka nie zrobiła - znów - sprowadzanych na zamówienie muesli, których potrzebował. Nigdzie w olbrzymiej spiżarni nie mógł znaleźć ulubionych, importowanych płatków. Trafiał tylko na to świństwo, które jadła Ariel. W dzieciństwie był karmiony zwykłymi płatkami kukurydzianymi, teraz stać go na najlepsze produkty śniadaniowe na świecie. Czy żąda zbyt wiele, chcąc swoje muesli, kiedy ma na nie ochotę? Sam koszt sprowadzania tej mieszanki z Norwegii wymagał, żeby jeść codziennie. Ale nawet nie o to chodziło - bez muesli jelita Adama nie funkcjonowałyby jak trzeba, a gdyby one także go zawiodły, wiedział, że może stracić panowanie nad sobą i to jego pokojówka wyjdzie na tym najgorzej, kiedy już się z nią rozprawi. Co, oczywiście, mógł brać pod uwagę dopiero po kolacji. Zwolnić tę głupią babę dzisiaj oznaczałoby, że gniew Sterling przewyższy jego własny, a jelita skurczą się do rozmiarów dżdżownicy.

Sterling - jasnowłosa, cienka jak witka i śpiąca spokojnym snem człowieka, który nad wszystkim panuje - była liczącą się siłą i Adam nie zamierzał jej prowokować w tak ważny dla niej dzień. Nie ze względu na nią samą, jak często powtarzała, ale na siebie. To jego awans, awans ich jedyne dziecko. Prowadzili towarzyską wojnę, a Sterling była generałem. „Musimy być widoczni, wspierać właściwe akcje charytatywne”. Ich nazwisko pojawiło się nawet na liście darczyńców w serialu dokumentalnym PBS. „Musimy chodzić na odpowiednie koncerty. Jeśli zamierzasz osiągnąć sukces, oto cena, którą trzeba zapłacić”. To jeden z głównych motywatorów Sterling. Niektórzy powiedzieliby, że Adam March już osiągnął sukces. Czego chcieć więcej? Jedni pragnęli ciągów liter przed swoimi nazwiskami, inni chwały płynącej z sukcesów w sztuce, nauce czy polityce. Adam łąknął trzech liter: CEO, Chief Executive Officer. Dyrektor generalny. Takie dokonanie nie wynikało już z pięcia się po drabinie kariery i nabijania sobie lat stażu w jednej firmie. To była raczej gra w klasy, skoki w przód i w tył, na jednej nodze, z korporacji do korporacji; uleganie pokusom kolejnych wysokich stanowisk. Menedżer, zastępca dyrektora do spraw fuzji i przejęć, zastępca dyrektora działu. Krok w górę, a przy tym przeprowadzka do większego domu w bardziej szykownej, ekskluzywnej okolicy, kolejny dom letniskowy, w którym Adam spędzał większość czasu z telefonem przy uchu, bo bat

się pozostać bez kontaktu na dłużej niż pójście do łazienki. Więcej blackber- ry. Więcej wydatków. Czasami czuł się, jakby nie miał ani centa. Całe jego zarobki i premie wchłaniała ta maszyna ambicji. A mimo to wisienka na czubku tortu wciąż pozostawała poza zasięgiem. Ale już niedługo. Po dzisiejszym dniu awans Adama na najwyższy szczebel drabiny Dynamie Industries byłby pewny. Prezes i dyrektor generalny.

Tego ranka jednak Adam pragnął tylko talerza norweskich muesli i cholernej przebieżki przez starannie wymodelowany park swojego najnowszego ogrodzonego osiedla. Chciał swojego „czasu dla siebie”, pół godziny na wyłączność, bez bluetootha, ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ścieżkę, żeby nie musiał się witać z sąsiadami. Podczas tych trzydziestu minut często wpadał na najlepsze pomysły.

Tylko jedno powstrzymało go od joggingu i spóźnienia się do pracy. Od siebie i personelu rygorystycznie wymagał punktualności. Codziennie wchodził do swojego gabinetu punkt siódma trzydzieści, ani minuty wcześniej czy później. Fakt, że ludzie mogli ustawiać według niego zegarki, sprawiał mu ogromną satysfakcję. Adam uważał, że punktualność to sztuka i nauka ścisła. Chociaż miał piętnaście kilometrów do pracy, a po drodze zdarzały się korki, zawsze zdążał w porę. I biada każdemu podwładnemu, który nie przywitałby go wtedy na miejscu. Wymagał od ludzi prostych rzeczy, a podstawowa zasada brzmiała: bądź na czas. Grupki znikające leniwie w różnych budynkach tu i tam, pozbawione wymogu punktualności, kojarzyły mu się ze zwykłym niechlujstwem, na które on się nie godził.

Patrzył na swoje odbicie w łazienkowym lustrze i widział atrakcyjnie kanciastą twarz z porannym cieniem zarostu, uwydatniającym ostry zarys podbródka, który dopiero zaczynał mięknąć. Patrzył w swoje zimne piwne oczy. To dzięki nim zdobył przydomek: Trupie Oko. Nie uważał go za obraźliwy, ale wyrażający niechętny podziw. Twarz twardziela, pasowała do bezlitosnego biznesmena, którym się stał.

Jeśli w lustrze widział cień gniewnego frustrata, zmył go pędzlem z francuską pianką do golenia.

Adam przesuwając dłoń po jedwabnym krawacie, chowa karteczkę z wiadomością do kieszeni marynarki. Sophie wciąż nie ma na posterunku. March patrzy na jej pusty fotel i po raz pierwszy od lat myśli o swojej siostrze.

Fotel Sophie, bez poręczy, jest przekrzywiony na jedną stronę, jakby połowa ciała jego użytkownika była cięższa. Ekran jej komputera z dryfującym logo Microsoftu mówi Adamowi, że sprawdzała e-maile, które mu przekaże albo skasuje jako nieważne. Nie wystarczy, że Sophie jest w budynku. Kiedy on przychodzi do pracy,

ona ma być za biurkiem.

Adam otwiera swoją staromodną aktówkę. Nie pamięta, czego szuka. Jest Sophie, opada na fotel z wielkim kubkiem kawy w jednym ręku i drożdżówką w drugim. Nawet z głębi swojego gabinetu Adam widzi lukier na brodzie sekretarki. Teraz naprawdę wystawia na próbę jego cierpliwość. Zamiast rzucić wszystko i chwycić notatnik, Sophie nachyla się nad klawiaturą i klika myszką. Sprawdza swoją pocztę. W jego czasie. Bezczelność. Sophie wie, że to ważny dzień. Co może być dla niej ważniejsze niż jego rozkazy? Adam zaczyna mieć naprawdę dość jej niesubordynacji. „Dzwoniła siostra”.

Adam siedzi na podłodze małej kuchni. Lepkiej, poznaczonej tu i tam plamami tak starymi, że zlały się z geometrycznym wzorem linoleum. Bawi się matchboxem. Imituje warkot silnika, jeżdżąc zabawką wzdłuż pęknięć wykładziny. Siedzi pod stołem. Cztery krzesła są dosunięte, tylko na jednym ktoś siedzi. Jego ojciec. Wielkie stopy w roboczych butach, jedno sznurowadło luźniejsze od drugiego. Jedna stopa lekko przekrzywiona, oparta na krawędzi gumowej podeszwy. Adam przejeżdża samochodzikiem po bucie. Ojciec przesuwając stopę, zabiera górę. Adam wydyma wargi i pędzi samochodem wokół przestrzeni wyznaczonej konturami stołu. Brzęk szkła na szkło i szelest składanej gazety. Jeszcze nie jedli kolacji i nie słychać, żeby była przygotowywana. Pojawiają się buty na niewiarygodnie wysokich koturnach. Jego starsza siostra. Ze swojej kryjówki Adam widzi jej kolana - blade, kościste wypukłości wyglądają znad cholewek białych kozaków, nad nimi długie, chude uda ciągnące się do rąbka minispódniczki.

- Dokąd się niby wybierasz? - Głos ojca jest cichy, zmęczony.

- Wychodzę. Mówiłam ci.

- Nie wychodzisz. Bierz się do kolacji.

- Obiecałeś.

Nagle ojciec odsuwa krzesło i wstaje.

- Veronica.

Teraz Adam widzi tylko jego niebieskie robocze spodnie; za długie nogawki opadają na czarne buciorzy ze stalowymi czubami. Nogi ojca zasłaniają nogi siostry.

- Wcale nie obiecałem. Masz w tym domu obowiązki.

- Pieprzę swoje obowiązki.

Odgłos wymierzonego policzka jest ostry, krótki, nagły, jak trzask kapiszonowca Adama, i w oczach chłopca pojawiają się niechciane łzy. Siostra milczy.

- Nie pyskuj, młoda damo. Za kogo ty się uważasz?

- Mam tego dość. Mam dość ciebie. Mam dość bycia darmową opiekunką do dziecka. To twój bachor, ty się nim zajmuj.

Adam patrzy spod stołu, obserwuje, jak siostra w tych niedorzecznych butach idzie do tylnego wyjścia. Mieszkają na pierwszym piętrze, drzwi prowadzą na klatkę schodową, do zatechłego korytarza na dole, zawalonego pustymi puszkami i nieużywanymi narzędziami ogrodniczymi. Veronica otwiera drzwi.

- Nie waż się stąd wychodzić. - Głos ojca brzmi władczo, dominująco, silnie.

Adam ma pięć i pół roku; jest za mały, żeby znać te słowa, ale zna wrażenie pustki w piersi za każdym razem, kiedy ojciec się odzywa. Strach, że mówi do niego troll spod mostu, a on nie zna odpowiedzi.

17

Z kryjówki pod kuchennym stołem Adam patrzy, jak nogi siostry wracają, podchodzą coraz bliżej, aż jej małe stopy w winylowych kozakach celują prosto w niego. Czuje niewielką ulgę, wróciła. Zostanie.

2 - Dobry pies

Wychyla się odrobinę, żeby wyrzeć z za nóg ojca. Veronica się odzywa, i to są ostatnie słowa, które słyszy od siostry; ostatnie, które zapamięta.

- Pieprz się, stary.

Drzwi zamykają się z hukiem. Adam zostaje sam z ojcem.

- Sophie.

Trochę bardziej ponagląco. Musi położyć temu kres, póki czas. Gdzie ta dziewczyna? Dlaczego nie stoi przed nim z notesikiem, z fioletowym długopisem w gotowości, czekając na polecenia, na możliwość wprowadzenia w czyn jego poleceń. Czekając, aż on, Adam March, powie, że nie ma siostry i że ktokolwiek zostawił tę wiadomość, nie należy go zachęcać do dalszych kontaktów. Adam nie będzie z nikim takim rozmawiał. Zanim zacznie swój najważniejszy dzień pracy, musi powiedzieć

Sophie, że popełniła błąd, że mimo tych dwóch z pozoru niewinnych słów, mimo tego, co ta kobieta stwierdziła, on nie ma siostry. Sophie musi bardziej uważać na telefoniczne dowcipy.

Przez czterdzieści lat siostra nie odezwała się do niego ani razu od dnia, kiedy wypadła z domu i zostawiła go samego z ich owdowiałym ojcem. Veroniki nie było od tak dawna, że Adam nigdy nie mówił o swojej starszej siostrze, nawet żonie. Po co wywoływać wyblakłe wspomnienie, niewyraźny obraz siedzenia na kanapie ze wspólną miską popcornu, skoro istnienie Veroniki nie ma z nim nic wspólnego? Z tym, kim jest. Kim się stał.

Adam nie tyle wyparł się swojej przeszłości, ile wykreował całą nową mitologię - człowieka, który stworzył się sam. Jego historia rozpoczynała się nie od dzieciństwa, ale od ukończenia z wyróżnieniem studiów na Uniwersytecie Stanu Massachusetts i MBA na Harvardzie. Wybielił lata pracy jako kierowca Pioneer Valley Transit, żeby zapłacić za studia. Zmarginalizował dzieciństwo sieroty, nie chciał rozmawiać o przeszłości z uporem sugerującym nieco romantyczne, choć bolesne doświadczenia, a nie fakt, że ojciec oddał go do domu dziecka. Czy kolejne rodziny zastępcze. Degradację życia w systemie adopcyjnym. Adam March już dawno temu zamknął w hermetycznej osłonie swoje prawdziwe dzieciństwo tak, jak organizm otacza drzazgę, ciało obce twardą tkanką, żeby je odseparować i rozłożyć. Zastąpił je ambicją. Adam zawsze zdobywa złoty medal.

Skląda różową karteczkę. Veronica. „To twój bachor”. Huk zatrzas kiwanych drzwi.

Adam czuje lekkie skurcze serca. To nie ból, nie duszności. To coś innego. Napięcie. Dzięki niemu jest tygrysem sal konferencyjnych. Na chwilę zamyka oczy, potem otwiera i czyta wiadomość raz jeszcze. „Dzwoniła siostra”. Tylko tyle. Bez numeru. Bez adresu. Bez nazwiska. Jakby już je znał.

Z całą pewnością to nieporozumienie, pomyłka Sophie, ale jeśli nie? A jeśli - wskutek jakiegoś dziwnego splotu okoliczności, niewyobrażalnego rozwoju wypadków - jego siostra wróciła? To czego oczekuje? Łzawego pojednania? Czego chce? Pieniądzy? To ma sens; Adam każe sobie zapamiętać, żeby zadzwonić do prawnika, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę w natłoku dzisiejszych zajęć. Znowu rozkłada karteczkę.

„Dzwoniła siostra”. Chwiejne fundamenty, na których zbudował swoje życie, dygoczą.

- Sophie.

Imię wymówione beznamiętnym tonem, pozbawionym serdeczności, jakby wołał

psa. Nieposłusznego psa. Którego trzeba skarcić.

- Za momencik, panie March.

Adam patrzy na Sophie w ramce drzwi do gabinetu, nachyloną nad komputerem; widzi dołki pod jej kolanami tam, gdzie odrobinę za obcisła, odrobinę za krótka spódnica odsłania ciało wbrew zasadom ubioru. Krawaty dla mężczyzn, odpowiednie stroje biurowe dla kobiet, Adam March nie toleruje stylu Ally McBeal w swoim biurze. Sophie kołysze obfitym siedzeniem, kiedy stuka w klawiaturę, odpowiadając na to coś, co ją tak rozbawiło jego kosztem. W jego cennym czasie.

Nagle Adamowi zasycha w ustach; bardzo chce mu się pić. Kiedy sięga po karafkę na szafce, tak samo nagle czuje spadek ciśnienia krwi i zawroty głowy; odnosi wrażenie, że przebywa poza własnym ciałem. Chwyta się krawędzi biurka, ale dłonie jakby nie należały do niego, jakby były przywiązane do nadgarstków sznurkami. Słabość mija, kiedy ciśnienie wzrasta, ale wrażenie spadania zostaje.

Za drzwiami Sophie się śmieje. Każda nuta jej melodyjnego trylu wydaje się Adamowi bardziej wyzywająca niż poprzednia. Jego myśli krążą wściekle, ostry jak brzytwa umysł grzęźnie w niepokoju. Musi wrócić na tor, ma wykonać sporo ważnych telefonów. Nie może sobie pozwolić na dekoncentrację. Nie ma czasu rozgryzać tej zagadki. Nie ma czasu na siostrę.

Adam mnie karteczkę i wrzuca do kosza pod biurkiem.

Jego siostra... Wydaje jej się, że ot, tak wróci, że odnowi więź, którą zerwała, kiedy był mały? Kiedy zostawiła go na pastwę kolejnych domów zastępczych? Żeby zagrozić wszystkiemu, co budował przez całe swoje dorosłe życie?

Adam wyjmuje karteczkę i drze ją na połówki, ćwiartki, ósemki. Adam March nie ma siostry. Adam March ma firmę, którą musi kierować.

- Sophie. - Wymawia jej imię jak martwe słowo, pozbawione znaczenia, wymyślone. - Sophie. — Z naciskiem na drugą sylabę. So-phie. Nie prosi. Grozi.

Dziewczyna stoi plecami do niego, nachylona nad klawiaturą, całą swoją postawą szydząc z jego autorytetu.

- Sophie.

Głos Adama przeszedł z władczygo mezzoforte do forte, a ona wciąż nie przychodzi.

Nie prostując się, podnosi rękę i macha do Adama; śle mu swobodne, lekceważące

pozdrowienie, daje znać, że słyszy, ale odwleka spełnienie jego życzeń. Olewa go. Tak samo jak Sterling. Raz za razem, kiedy stoi przed nim w sypialni, nieskrępowanie naga, powoli naciera się olejkiem, rozpryskuje w powietrzu mgiełkę perfum i przechodzi przez nią, przygotowuje się na jakieś towarzyskie wydarzenie, na które się wybierają lub które urządzają. Nietykalna. Jej chirurgicznie ulepszone ciało jest niemal nieatrakcyjne ze swoimi twardymi konturami i sztucznie poprawianymi piersiami, ale i tak budzi w nim żądzę. Sterling jednak pozwala mu ją wyzwolić dopiero potem.

Sophie macha jak Ariel, umniejszając jego rolę przed swoimi znajomymi.

Lekceważąca ręka Sophie opada na klawiaturę; elektroniczny przyjaciel jest ważniejszy niż Adam. Dziewczyna przesuwając się, dołeczek pod jej lewym kolaniem znika, a ten pod prawym staje się głębszy, jak kpiąco mrugające oko.

Adam za dużo zainwestował w ten dzień. W spodziewane zakończenie tego dnia. Za dużo czasu i wysiłku. Jego reputacja, przyszłość zależy od ostatniego półtora roku drobiazgowych analiz, planów, zmuszania kolegów do dostrzeżenia swoich racji, do zrozumienia, że to przejęcie jest słuszną decyzją. Za dużo życia poświęcił, pnąc się do tej chwili. Może nawet całe spędził na przygotowaniach do tego wspaniałego dnia. Po dzisiejszym lunchu zajmie należne mu miejsce no- minata na dyrektora generalnego; już nie będzie musiał się czaić na posadę Louisa Wannamakera. Lata budowania na kruchych fundamentach dzieciństwa, lata dokonań zostaną zwieńczone osiągnięciem celu, pozycją następcy tronu.

„Veronica”. Wołał jej imię, wtedy i przez lata po tym, gdy trzasnęła tylnymi drzwiami.

A Sophie naprawdę podważa jego autorytet. Trzeba ją upomnieć. Dziewczyna musi znać swoje miejsce w korporacyjnym stadzie.

„Nie pyskuj, młoda damo”.

Dzwoniła siostra. Jaką trzeba być idiotką, żeby uwierzyć jakiejś bredzącej wariatce?

Usta są już zupełnie suche, język klei się do podniebienia. W prawej skroni Adam czuje łomotanie pulsu, dziwnie bolesne i huczące, jakby słyszał wzrost ciśnienia krwi. Nie może złapać tchu. Za nim poranne słońce rzuca kwadrat światła na wielkie czarne biurko; cień Adama na środku wygląda jak dziurka od klucza. March przyciska pięść do skórzanej suszki. Cienka, poszarpana linia bólu strzela mu między oczami, trwa jedno słyszalne uderzenie serca. Adam przyciska pięść mocniej, zapiera się o krawędź czarnego biurka, kołysze, żeby nabrać rozpędu, i rusza. Omijając

mebel, potrąca obowiązkowy wazon świeżych kwiatów. Podstawa szklanego naczynia wysuwa się kawałek za krawędź, utrzymywana w równowadze przez ciężar bukietu. Mały pączek róży obrywa się i spada na podłogę. But Adama rozgniatą go na dywanie; na tkaninie w kolorze asfaltu różowa plamka wygląda jak przejechane zwierzę.

Już przy drzwiach gabinetu Adam sam się dziwi, jaki jest wściekły. Odnosi wrażenie, że gniew kipi z jego głębi, których istnienia był nieświadomy, że go zmienia, fizycznie wykręca kości w inne kształty, rozciąga skórę. Adam zna złość, krzyczał na swoją krnąbrną córkę, na podwładnych, a nawet, rzadko, na Sterling. Ale za każdym razem, kiedy podnosi głos, przypomina mu się ojciec, ostatnie jego słowa do uciekającej córki. Teraz Adam słyszy w głowie tylko głos ojca: „Nie sprzeciwiaj mi się, młoda damo”.

- Sophie. - Ochryply szept, jakby wściekłość ścisnęła go za gardło, tamowała oddech. Puls w skroni łomocze i przez krótką chwilę Adam myśli, że zaraz zemdleje.

„Pieprz się, stary”.

Sophie Anderson nie może się oderwać od ekranu monitora, czyta swoje e-maile, śmieje się z dowcipów przesłanych przez kumpla z działu obsługi klienta. Prostuje się dopiero, kiedy czuje na karku oddech Adama. A potem jego dłoń chwyta ją za ramię, przemocą odwraca i z całej siły uderza w twarz.

Później świadkowie tego zdarzenia twierdzili, że nie wiedzieli, kto zaatakował Sophie; myśleli, że to jakiś wariat, który ominął ochronę. Potrzeba było czterech kierowników i dwóch ochroniarzy, żeby powalić Adama na ziemię. Wył jak zwierzę. W korporacyjnej legendzie już na zawsze pozostanie jako Jekyll i Hyde Dynamie Industries. Człowiek stworzony do walki w świecie bezlitosnego zarządzania wielką firmą stracił rozum, trzasnął jak stalowa pułapka na niedźwiedzie, przypadkowo uruchomiona łapką królika. Adamowi Marchowi odwalilo, jak mówili w stołówkach i na przyjęciach przez następne lata. Potężny wódz stada został obezwładniony i zniknął na wieki. Ale jego legenda i niezrozumiały akt szaleńczego samozniszczenia żyły dalej.

Teraz powinienem opowiedzieć wam trochę o sobie. Krótka biografia. Maiy rysopis, czy w moim przypadku - pysko- pis. Skończyłem trzy lata, wciąż jestem dość młody, żeby musieć walczyć o pozycję w stadzie, wystarczająco stary, żeby mierzyć się tylko z najlepszymi. Mam zdrowe zęby i mocną szczękę. Jedno moje ucho jest naderwane, drugie zwisa w trzech czwartych i zawsze tulę je do głowy przy powitaniu. Ogon prosty jak patyk; prawie nigdy go nie unoszę powyżej linii grzbietu jak jakiś bezmyślny labrador. To różdżka zdradzająca moje zamiary, bicz, ostrzeżenie.

Zależnie od okoliczności ważyć dwadzieścia albo dwadzieścia dwa kilo. Na ulicy potrafię spaść nawet do piętnastu, chyba że rozpracuję najlepsze śmietniki i zdążam do nich przed swoimi odpadożernymi pobratymcami. Nie wiem, jaki mam kolor, bo dla mojego gatunku to cecha nieistotna. Ważne jest to, że moje gruczoły odbytowe każdemu opisują mój autorytet, moje wykształcenie i styl życia. Gdzie byłem i dokąd się wybieram.

Mój mocz znaczy rozległe terytorium. Nie mam jąder. Obcięli mi je po pierwszej łapance. Dojdę do tego w odpowiednim czasie, na razie powiem tyle, że byłem już wtedy stuprocentowym samcem i upodobanie do samczych przyjemności mi pozostało; straciłem tylko możliwość wypełniania swojego genetycznego przeznaczenia. Mogę to robić, ale strzelam ślepakami.

Młodzi mężczyźni trzymali moich rodziców w klatkach w piwnicy. To oni przeznaczili mnie do walki. Moja płęć i rozmiary spowodowały, że miałem najlepszą opiekę ze strony tych, którzy nie okazywali żadnych ciepłych uczuć zwierzętom zamkniętym w miejskiej piwnicy. Karmili mnie. Zakładali ciężkie łańcuchy na barki, żebym nabrał mięśni twardych jak skała. Stałem się tak silny, że trzeba było obu tych młodych mężczyzn, chłopców, szczeniąt swojego gatunku, żeby mnie utrzymać. Rzadko widywałem światło dzienne. Byłem stworzeniem nocnym, przenoszonym z piwnicy do piwnicy w ciemności, a mój pysk od ich rąk dzielił tylko niedopasowany kaganiec. Dotykali mnie tylko z konieczności. Samo szarpanie, ciągnięcie i popychanie; końcem kija, płaską stroną deski. Gdyby któryś z tych dwóch młodych mężczyzn ośmielił się kiedykolwiek zdjąć mi kaganiec i poklepać mnie po głowie, polizałbym go po rękę. Bali się mnie, bali się tego, co stworzyli.

Jak mówiłem, urodziłem się w miejskiej piwnicy. Poznałem oboje rodziców, co rzadko się zdarzało. Bardzo wielu pobratymców nie ma takiego szczęścia. Mama była rasowym pitbulem - cokolwiek to znaczy w słowniku wyluzowanych młodych mężczyzn - potomkinią długiej linii psów, których przetrwanie zależało od sprawności na arenie. Żaden z nich nie wykazywał się szczególną złośliwością, ale wszystkie można było skłonić, żeby siały zniszczenie; zaciekle walczyły postawione naprzeciwko siebie. Jak gladiatorzy z dawnych czasów nie wybieramy sami przeciwników - wybierają ich dla nas ci, którzy nas zatrudniają. Walka to nasze życie. Nasza ustalona ścieżka kariery. Praca. Nie siedzisz w niej po godzinach, możesz się wyspać, a jeśli jesteś dobry, nawet przeżyć, żeby walczyć kolejnego dnia.

Mama, którą nazywali Suką, miała blizny na wargach, a w jednym miejscu półksiężyc brakującej skóry odsłaniał jej górne siekacze. Dawno już wycofana z walk, stała się maszyną do rozrodu. Jej sutki zwisały wiotkie i wyciągnięte; nawet kiedy władze wydobyły ją z piwnicy, nigdy nie odzyskały poprzedniej jędrności.

Nie określamy się hodowlanymi nazwami sprawców naszego istnienia, ale wszyscy wiedzą, że nasze różne kształty i rozmiary, zapachy i sposoby noszenia ogona pomagają nam się nawzajem rozpoznawać. Dlatego, dla wygody, powiem, że tata był mieszanką kilku „ras” o dużej sile i wytrzymałości; krzyżówka pitbula i rottweilera albo boksera, może z odrobiną staroświeckiego buldoga. Z rottweilera wziął wzrost i masę. Z pitbula - chudszy tył, przez co masywny przód wyglądał nieproporcjonalnie jak u psa Pluto z kreskówki. Na arenie walczył twardo, znał się na rzeczy i nigdy się nie cofał. Nazywali go Moniak, od jakiegoś rape- ra, którego lubili. Nawet jako szczenię uważałem, że nazywanie takiego gladiatora „Moniak” jest trochę głupie. Chociaż tata i ja byliśmy mistrzami okolicy, nasi chłopcy nie brali udziału w prawdziwych, zawodowych walkach psów, więc mogli wystawiać mieszańce takie jak Moniak i ja przeciwko swoim równie amatorskim znajomym.

Nigdy nie rozumieliśmy zasad nadawania imion. Kiedy nie przybiegamy na zawołanie, najprawdopodobniej nie akceptujemy naszego miana. Bywałem już nazywany różnie, czasami niezbyt uprzejmie. Znamy się nawzajem po tym, jak nas wołają, ale bardziej osobiście po naszych zapachach.

O matce nie myślę jako o Suce, ale jako o ciepłym aromacie skóry, charakterystycznym zapachu, kiedy pielęgnowała moje bardziej pechowe rodzeństwo. Ja, największy, dostawałem najlepszą pierś. Słabsze szczenięta nie przeżyły brutalnych zasad hodowlanych. Zostały rzucone do klatki treningowej jak garść polnych myszy.

Moi przyjaciele z ulicy, a miałem ich wielu, nie byli obciążeni imionami. Mogę znaleźć wszystkich kumpli, nawet kiedy są niewidoczni. Po oznaczeniach. O, tu jest ten mały twardziel. A ta suka, co się parzy z dużymi psami, kręciła się po zaułku. Może na nią zaczekam. Jeszcze jedno pociągnięcie nosem i już rozpoznaję, że znów jest ciężarna. Widzę ją w wyobraźni — piersi nabrzmiewają, z wywalonym z satysfakcją językiem szuka bezpiecznego miejsca na gniazdo. Myślimy obrazami.

Obraz piwnicy, w której się urodziłem; mocny, ciepły zapach skóry i sierści matki; intrygująca woń krwi, słodka, dolatująca do mnie zza ścianki, która nas odgradza od prowizorycznej areny. Nie wiedziałem, co to jest, ale zestawiałem ten zapach z docierającymi dźwiękami, odgłosami walki. Zmysły przygotowały mnie na moje własne doświadczenie. Kiedy więc pierwszy raz zobaczyłem krew, pierwszy raz wziąłem udział w pojedynku, znałem to wszystko tak dobrze, jakbym się o tym uczył z podręcznika.

Gdy przyszła pora zostawić dzieciństwo za sobą, opuściłem kojec matki i przeniosłem się do własnego. W pierwszą samotną noc chyba wyłem, ale natychmiast

uciszono mnie uderzeniem. Od tamtej pory zawsze uchylałem łeb na widok szybko poruszającej się dłoni. Mój oprawca rzucił mi twarde gumowe kółko. Zacząłem je gryźć. Nałykałem się kawałków gumy i w nocy się pochorowałem, zanim w końcu zdołałem zasnąć.

Obraz ciężkich łańcuchów. Zawijano mi na głowie i barkach, gdy wychodziłem z chłopakami na spacer na niebezpieczne ulice. Nadawały mi wygląd twardziela i przyznaję, że może trochę tak się zachowywałem. Nie przeszkadzały mi, byłem z nich dumny. Miałem idealnie dopasowaną kolczatkę, przystosowaną do kontrolowania nieobliczalnego zwierzęcia. Szarpnięta wbijała mi metalowe kolce w grubą szyję. Stojem wyjściowym była skórzana obroża z ostrymi ćwiekami. Zapinano mi ją na oficjalne okazje, na przykład kiedy chłopaki chcieli się mną pochwalić swojej ekipie.

Kiedy osiągnąłem pełną wagę i wzrost, zaczęli ćwiczyć mnie na dobre.

Choć z wyglądu bardziej przypominam matkę - wydłużone ciało, pysk jak karton po butach, cienki ogon - jestem duży jak tata. Geny rottweilera mam mocno rozcieńczone, więc nigdy nie osiągnę pięćdziesięciu kilo jak te byki, ale i tak trafiłem do wagi ciężkiej mojego sportu. Trzydzieści kilo, same mięśnie, kości i ścięgna.

Skąd wiemy, co robić, kiedy wrzucają nas na arenę? Nie wiemy. Orientujemy się tylko, że nasi panowie czegoś od nas oczekują. Ich pot mówi nam, że rzucają sobie nawzajem wyzwanie, ich głosy są ostre, zachęcające, popędzające, gniewne i karcące. I już po kilku chwilach wiemy, co robić. Udziela się nam ich podniecenie, zaczynamy sobie ubliżać. Potem atakujemy. I tak samo jak dawni gladiatorzy zdajemy sobie sprawę, że przegrana nie wchodzi w grę. Tego właśnie chcą nasi panowie. To nasza praca.

Od pierwszego razu, kiedy chłopaki wystawili mnie na arenie, wiedziałem, czego się po mnie spodziewają. Walczyłem ze strachu. Nie wstydzę się tego powiedzieć. Jeśli ktoś się nie bał, że odgryzą mu nos, to był takim samym wariatem jak chłopaki. Atakuj, to może nie oberwiesz. Albo oberwiesz mniej. Przyznam — nie zawsze tego nienawidziłem. Kiedy jesteście trochę głodni, samotni, kiedy nie spotykacie swoich pobratymców w przyjaznych okolicznościach; kiedy wasze nosy nigdy nie dotykają miejsc porozumiewawczych, a rozpoznajecie się tylko po zapachach zostawionych na ogrodzeniowych słupkach - cóż, wtedy robicie się trochę nerwowi. To jedyny sposób, żeby się wyładować. I radziłem sobie całkiem nieźle.

Jestem i pozostanę bestią. Stworzonym przez człowieka workiem ścięgien, kości, mięśni i zębów. Moi przodkowie uznali, że to dobry sojusz między nami a ludźmi. Nawet nie śnili, że ich fizyczne kształty i skłonności będą aż tak bardzo zależne od

innych istot. Bestią stałem się przez zajęcie, do którego mnie wyszkolono. Wielu z mojego gatunku utraciło to bestialstwo, zastąpiło wieki wyjadania resztek wokół ogniska przywiązaniem do człowieka, który ich utrzymuje.

Nie wiedziałem o tym do dnia, kiedy chłopaki przyprowadzili kundla z ulicy - czystego, z przyciętymi pazurami, bez obroży, ale wyraźnie oswojonego *Canis domesticus*. Robili to raz na jakiś czas. Kiedy kończyły im się słabe szczenięta z miotów, ściągali nam do sparringów przymusowych rekrutów. Tacy poborowi nie byli prawdziwymi przeciwnikami; zazwyczaj brakowało im mięśni i wytrzymałości; wygodne życie ich zmiękczało. Naiwniacy podbiegali, merdając ogonami. Myśleli, że znaleźli nowego przyjaciela, a tu nagle jakiś gruboskórny, bladooki typ wgrzyzał im się w radośnie wyciągnięte szyje.

Ten jeden opowiedział mi swoją historię w ciągu godzin, które spędziliśmy w klatkach w piwnicy; zamknięto go wystarczająco blisko mnie, żeby dało się rozmawiać bez prowokowania chłopaków do krzyku: „Morda!” Nawet nie mając możliwości obwąchania rejonów porozumiewawczych, czułem jego zapach przesycony dobrym jedzeniem i ludzkim dotykiem. Przybysz wyznał, że miał człowieka, który dbał

o wszystkie jego potrzeby. I to czule. Dawał mu nawet smakołyki za każdą głupotę. Praca tego kundla nie polegała na tarposzeniu się na arenie, ale na spacerowaniu bez szarpania za smycz. Nie, nie nosił obroży takiej jak moja. Jego obroża - którą chłopaki zdjęli - była z miękkiej skóry; dzwoniły na niej wesoło dwa metalowe krążki informujące, kim jest

1 do kogo należy. Brakowało mu tego dźwięku. Układał się do snu, nie wiedząc, czy uda mu się zasnąć bez ich cichego pobrzękiwania. Krążki i obrożę traktował jak swoje medale. Był z nich bardzo dumny. Ja byłem przerażony. Myśl o takim poddaństwie przyprawiała mnie o dreszcze; musiałem się mocno otrząsnąć, żeby się ich pozbyć. Ale to wszystko wzbudzało we mnie ciekawość. Może nawet zazdrość.

Szybko go załatwiłem na treningowej arenie, ale zapadł mi w pamięć - bo jego opowieść nie była wyjątkowa, ale typowa dla całego świata poza moją piwnicą. W głowie zaczynała mi świtać pewna myśl. Rozmawiałem z innymi, czekając na swoją kolej, i rzeczywiście, wiedzieli o tych, którzy mieszkali w domach. Którzy nie musieli kasać, żeby dostać coś do jedzenia. Tych, którzy wszystko zawdzięczali ludziom. Którzy bezustannie korzyli się jak szczenię przed dorosłym psem, nawet na starość. Widywali ich. I nie tylko na arenie. Ale też wtedy, gdy byli prowadzeni do mnie we własnych łańcuchach ulicami miasta; widzieli ich uwiązanych na cienkich, bezużytecznych smyczach, z oddaniem patrzących w twarze swoich panów.

Zazwyczaj tamte psy odciągano na bok, kiedy mijali gladiatorów; strach ich właścicieli przechodził po smyczach jak po drucie telegraficznym. Czasami któryś unosił wargi, nie na znak wyzwania, lecz poddania. Zwyczajne pośmiewisko. Możecie sobie wyobrazić?

Ja mogłem i coraz częściej to sobie wyobrażałem. Byłem dobry na arenie, ale wiedziałem, że w końcu nadejdzie dzień, kiedy zostanę pobity. Albo przez innego psa, albo przez swoich chłopaków. Pobity za karę, że zostałem pobity. Przynajmniej dwa razy za mojego życia zdarzyło się to tacie.

Ale częściej spotykałem inny typ psów. Te prowadziły życie całkowicie niezależne. Psy uliczne. Zazwyczaj bardziej inteligentne od psów ze smyczy, cwane. Wiedziały, co to wolność. Choć nierzadko cierpiały z powodu zimna i głodu i ryzykowały śmierć pod kołami, żyły, jak im się podobało. Niestety także były łatwym celem; wystarczyło wystawić miskę z jedzeniem i bęc, już złapane. Nie tylko przez moich chłopaków i im podobnych, ale przez władze. Mężczyzn i kobiety, którzy tak samo jak moi chłopcy sprawiali, że psy znikają. W jednej chwili wylizujesz sobie tylne rejony na chodniku, w drugiej siedzisz w klatce. Ale od nich słyszałem najlepsze opowieści. O niesamowitych przygodach, podróżach, częstym parzeniu się. O rany. Chodziły pogłoski, że uliczne psy złapane przez władze przeżywały tylko pod warunkiem, że były sympatyczne. Jeśli nie były sympatyczne, nie przeżywały. Ale jak być sympatycznym, jeśli całe dotychczasowe życie jest ukierunkowane na wściekłość? Nikt nie wiedział, co się z nimi działo, ale kto by się nie domyślił. Odór zwęglonego mięsa i kości, przeplatający zbitkę zapachów wypełniających miejskie powietrze wystarczył za podpowiedź. Wśród smrodu diesli i wyziewów, aromatu pączków i kiełbasek, woni spoconych mieszkańców ukrywających się pod sztucznymi zapachami wił się, niczym kręta rzeka ostateczności, dym unicestwienia.

Właśnie odpoczywałem w klatce po wyjątkowo ciężkim pojedynku. Mój przeciwnik omal nie wygrał, zanim zwykłą, upartą siłą nie wypchnąłem go za linię oznaczającą zwycięstwo. Wsadzili mi kij między zęby i gra się skończyła. Byłem nieźle poharatany i jeden z chłopaków niezdarnie próbował zaszyć mi ranę na piersi. Szwy ściągały skórę jak na źle uszytej piłce do bejsbola. Lizalem je, smakując chropowatość zaschniętej krwi, ale nie mogłem sięgnąć najgorszego. Mój przeciwnik leżał jak sterta gazet, z głową odrzuconą w tył, jakby wył do księżyca. W oczach wciąż miał światło, więc wiedziałem, że jeszcze nie wykrwawił się na śmierć. Przez kraty klatki wyparskałem przeprosiny, a on podniósł łeb. Odcharczał mi coś w rodzaju wybaczenia, zrozumienia, że tylko robiłem swoje. Jesteśmy okrutni, ale nie nienawidzimy się nawzajem. „Gdybyśmy mieli ręce, wyrwalibyśmy się stąd”. Przytaknął, potem opuścił łeb na ziemię i patrzyłem, jak uchodzi z niego życie.

Łomot nad nami. Mama usiadła, rozsypując swój ostatni miot po podłodze klatki.

- Ludzie. Ludzie tu są.

Słyszeliśmy o nich, o ludziach, którzy przychodzą, i wtedy tacy jak my znikają. Podobno przenosili nas do większych klatek, mniejszych klatek; żebyśmy walczyli z innymi gatunkami albo żeby po prostu poderżnąć nam gardła. Najczęściej chodziły o nich słuchy po tym, jak któryś z naszych zginął. Ktoś daje cynk i zaczyna się dziać.

Z góry dobiegł nas tupot stóp chłopaków - pędzili do tylnego wyjścia i zbiegali po schodach. Wiedziałem, że tam są drzwi prowadzące na prostokąt gołej ziemi, gdzie dwa razy dziennie pozwalano nam się wypróżnić. Żaden z chłopaków nigdy nie postawił stopy na tym polu gówna. My, którzy z niego korzystaliśmy — biegając wokół ogrodzenia i bez przerwy się obwąchując, unosząc nogi nad znakami zostawionymi przez innych - potrafiliśmy omijać najgorsze miejsca. Gdybyśmy żyli na zewnątrz, pilnowalibyśmy, żeby nie brudzić blisko domu.

Tylne drzwi się otworzyły. Wstałem, przycisnąłem bardzo obolały nos do siatki i nadstawiłem uszu. Powąchałem powietrze - poczułem mieszaninę ostrego smrodu potu naszych chłopaków i zapachu ludzi. Mężczyzn i jednej kobiety. Jej żeński zapach był lekko przesiąknięty aromatem rui. Matka pyskiem zagarnęła małe w głąb klatki, w gardle wezbrał jej zatroskany pomruk. Otrząsałem się, gotowy na wszystko.

Kawalerka to pomysł jego księgowego.

- Dopóki pana prawnik nie ustali wysokości alimentów, nie stać pana na mieszkanie w hotelach.

Z biegiem miesięcy Adam przeprowadzał się z hotelu do hotelu. Każdy po kolei miał o jedną gwiazdkę mniej, bo utrzymanie niedoszłej ekszony i dziecka, wypisywanie czeku za czekiem, żeby opłacić prawników walczących na trzech frontach - pozwu żony, pozwu Sophie i tego, co uznał za bezprawne zwolnienie z Dynamie - uszczuplało jego malejące środki.

- Niech pan sobie wynajmie małe mieszkanko, sam gotuje, trochę pooszczędza, panie Adamie.

- Nie stać?

Do Adama dotarło tylko to. Minęło trzydzieści pięć lat, odkąd ostatnio usłyszał te słowa i ich brzydką przyrodnią siostrę „oszczędzanie”. A mówił to jeden z jego zastępczych ojców, trzymając w ręku rachunek za prąd. Nie licząc pierwszych dni małżeństwa, Adam nie wyrażał przy Sterling żadnych obaw o finanse. Może w

ogóle nigdy tego nie robił. Kiedy się poznali, na imprezie charytatywnej zbierającej fundusze na jakiś modny akurat cel, Adam był już na dobrej drodze, żeby zostać milionerem. Człowiekiem, którego ojciec Sterling, wszechpotężny Herbert Carruthers, mógł podziwiać.

Może nawet zachęcał ją do wydawania pieniędzy, a przynajmniej nie zniechęcał do nabywania rzeczy, których wymagała ich życiowa pozycja. Dla Sterling oznaczało to piękne, modne ubrania, dodatki od najsłynniejszych projektantów, najlepsze i najnowsze samochody - do diabła z benzyną - domowe systemy rozrywki i luksusowe wakacje. Dla Ariel - coraz droższe konie, obiecaną na szesnaste urodziny mazdę miata i gwarancję, że nigdy w życiu nie dotknie jej problem kredytu na studia. Jego córeczka dostawała wszystko, czego pragnęła. Żonka zawsze miała wszystko, czego pragnęła, i zamierzała tak trzymać.

Sterling zdaje sobie sprawę, ile jest warte ich małżeństwo, i zagarnia do siebie obiema rękami. Domy, pakiety akcji, samochody - oprócz lexusa rocznik 2007, który już wyszedł z mody i w tym roku powinien być wymieniony na nowy. Inwestycje w nieruchomości. Jej prawnicy są bardzo dobrzy. Ciskają w niego takimi określeniami jak „psychiczne znęcanie się”, oskarżają go o zastraszanie, potem grożą mu zakazem zbliżania się do żony i córki. Dokumenty poświadczają cień strachu, w którym - jak się teraz okazuje - żyła jego rodzina. Adam wie dokładnie, czym groził Sterling - utratą pozycji. Jej mąż to wariat, który pobił asystentkę. Dyrektor, którego olbrzymia kampania przejęcia nie wystartowała.

Sterling nie może już trzymać podniesionej głowy w dobrym towarzystwie. Tacy ludzie nie biją podwładnych. Przynajmniej publicznie. Tacy ludzie nie odnoszą porażek.

Jego druga połowa, życiowa partnerka, jego Sterling zwróciła się przeciwko niemu.

Adam opiera ezoio o szybę panoramicznego okna wychodzącego na ulicę. Okno nie ma zasłon, a właściciel jeszcze nie założył obiecanych żaluzji. Jest tu jedna sypialnia - ledwie mieści się w niej rama z podwójnym materacem i komodą, którą Adam wyrwał ze strychu domu w Sylvan Fields. Mogła należeć do babki czy ciotki Sterling. Żadne z nich nie pamiętało, ale w kwestii własności komody oboje się zgadzali, co było rzadkością w ostatnim półtora roku. Małe łazienka z wykładziną w kolorze zielonych wymiocin sąsiaduje z salonikiem. Adam ma sofę, z tego samego sklepu z tanimi meblami, w którym kupił materac, telewizor na szafce z paździerza, okropny stolik do kawy i mały stół kuchenny wcisnięty pod przeciwległą ścianę. Dwa składane krzesła. Kuchnia to aneks, z trudem można się w niej obrócić, dzięki czemu jest zaskakująco wygodna, zwłaszcza że Adam używa tylko mikrofalówki i czajnika.

Mieszkanie znajduje się na drugim piętrze czterokondygnacyjnego budynku, stojącego w ciągu innych czteropiętrowych ceglanych kamienic z fasadami skierowanymi na zachód. Nie są to angielskie szeregowce, nie mają łukowatych okien ani granitowych schodów - te powojenne ceglaki są całkowicie pozbawione ozdób. Krajobraz otoczenia jest łagodzony szpalerem drzew — oznaka, że tę kiepską dzielnicę Bostonu wciąż zamieszkują podatnicy, którym zależy.

Po drugiej stronie ulicy ciągną się pawilony z małymi rodzinnymi interesami - salonik prasowy, pasmanteria i duża witryna z tęczwokokolorowym napisem ułożonym w łuk: „Od A do Z Ryby Akwariowe i Akcesoria Zoologiczne”. Wokół liter skaczą ręcznie namalowane rybki.

Stojąc przy gołym prostokacie okna, Adam patrzy w dół na poranną ulicę - w saloniku z prasą zapala się światło. Naciąga spodnie, zasuwa suwak, ale guzik zostawia rozpięty. Przedwczorajszą koszulkę zostawia wyciągniętą na wierzch; pod pachą zaczyna się robić dziura. Źle zniósł konieczność robienia prania. Nie wpadł jeszcze w rytm dbania

o zapasy czystej bielizny i bezustannie zaskakuje go jej brak we wszystkich szufladach ledwie tydzień po tym, jak zatargał poszewkę pełną brudnych ubrań do pralni zamykającej ciąg pawilonów.

Grzebiąc po kieszeniach spodni, znajduje dość drobniaków, żeby kupić codzienną porcję gazet - „New York Timesa”, który kiedyś po prostu pojawiał się na stole przy śniadaniu, i „Wall Street Journal”, który Sophie zostawiała mu na szafce w gabinecie, z ważnymi artykułami zaznaczonymi na żółto. Teraz Adam dodaje do nich lokalny szmatławiec i sam przegląda wiadomości. Jego utrata kontroli stała się metaforą zachłannej chciwości dzisiejszych dyrektorów

1 menedżerów. Czas leczy wszystkie rany; po roku rozpraw sądowych liczba artykułów na temat sprawy Marcha zmalała. Teraz to już dawne dzieje.

Dzisiaj ma zapaść wyrok. Ostatni rozdział do publicznej konsumpcji.

Niesamowite, jak skuteczni potrafią być prawnicy. Ich całe oddziały. Szeregi mężczyzn i kobiet w drogich ubraniach, dźwigających ciężkie teczki z prawniczym arsenałem; wchodzą i wychodzą z sal konferencyjnych bez okien, z szerokimi stołami i tablicami poznaczonymi bliznami niezmywalnych markerów. Uszminekowane na czerwono wargi nad idealnymi zębami; korporacyjne krawaty niczym syczące jadowite węże. Czasami twarze nabierają rysów wrogów Adama: Wannamakera, Sophie. Sterling. W swoich snach przesączonych szkocką Adam kurczy się, kiedy oni pęcznieją nad nim jak balony, i czuje, jak płomienie ich gniewu

pałą jego skórę.

Powietrze przedświt jest duszne od wilgoci, zasłona z oparów zakrywa wschodzące słońce, które nie rzuca żadnych cieni na ulicę przed Adamem idącym do saloniku z prasą. Zapowiada się kolejny dzień upału. Pogoda w tym roku to pokaz skrajności, żałośnie zimna, nijaka wiosna, a teraz wrześnieowy skwar, uwiarygodniający lament zwolenników teorii globalnego ocieplenia, którym całe Dynamie przeciwstawiało się przy pomocy własnej kadry ekspertów. Ledwie wpół do szóstej, a Adam już czuje śliskość potu pod pachami i wilgoć spływającą po karku; tłuste krople zbierają się w zagłębieniach obojczyków. Kiedy przechodzi przez jezdnię na środku kwartału, szybko nadjeżdża samochód. Adam nie przyspiesza, wyzywa kierowcę, żeby go ominął. Albo przejechał. Auto robi łuk, trąbi jakby po namyśle. Adam unosi lewą rękę, obraźliwie prostując palec. Nie wykonywał tego gestu od czasów studiów, ale czuje jakąś atawistyczną przyjemność.

Ulicą z północy nadchodzi mężczyzna. Ma na sobie uniform biznesmena; mimo porannego skwaru włożył garnitur, białą koszulę, aż lśniąca w parnym półmroku, piękny żółty krawat zawiązany poprawnym Windsorem i wyglansowane do połysku mokasyny. Adam widzi go codziennie rano, odkąd zaczął wstawać tak wcześnie. Przypuszcza, że tamten idzie na piechotę do metra - może to dla niego jedyna okazja, żeby zażyć trochę ruchu. Adam wyobraża sobie, że mężczyzna pracuje w kancelarii adwokackiej albo firmie zarządzającej. Zamiast teczki facet niesie nowoczesną, miękką torbę z szerokim paskiem na ramię, do której można włożyć laptopa. Pewnie mieszka w jednej z lepszych dzielnic sąsiadujących z tą i chodzi na skróty. Ani razu nie zwrócił uwagi na Adama, choć spotykają się na tym chodniku pięć razy w tygodniu. Mija go, odwracając wzrok.

Tylko lekkim ściągnięciem warg zdradza, że jest świadom obecności Adama stojącego przy saloniku prasowym; jedynie minimalnym przyspieszeniem kroku.

Adam otwiera stawiające opór drzwi; staroświecki dzwonek ogłasza jego przybycie. Za ladą siedzi starszy mężczyzna. Usadowi! swój wielki zadek na taborecie, w kątku ust trzyma niezapalone cygaro. Jego fartuch jest szary od tuszu, a ręce aż czarne. Farba drukarska osiadła na rzadkich, siwych włosach; wygląda to, jakby rosły mu nowe. Podnosi wzrok znad krzyżówki.

- Dobry.

- Dobry.

To jedyna rozmowa, jaką Adam przeprowadził od wczorajszego ranka o tej samej porze. Oprócz wiadomości od sekretarki jego adwokata na poczcie głosowej,

przypominającej o godzinie dzisiejszej rozprawy w sądzie okręgowym, nie słyszał ludzkiego głosu, nie licząc też fonii telewizora, który jest włączony prawie cały czas. Ariel nie odpowiada na telefony. Przyjaciele, wybrani spośród osób takich jak on z ostatnich dwudziestu lat - bogatych, potężnych, dobrze ustawionych - nie oddzwaniają. Jest przeklęty.

Ta izolacja najbardziej doskwiera mu w ciemnościach nocy. Szarym świtem otrząsa się z żalu nad sobą. Ale w nocy, gdy ulica jest cicha, a w mieszkaniu słychać tylko kap-kap-kap z ciekącego kranu w łazience, czuje przygniatające brzemię samotności. Nigdy nie dorobił się prawdziwego przyjaciela, kogoś, kto znałby go wystarczająco, zaproponowałby mu prostą pociechę - wypił z nim piwo w pobliskim barze, dał mu swoje ciche towarzystwo, współczucie. Co dziwne, jedyną osobą, która przychodzi Adamowi na myśl w ciągu godzin bezsennej oczekiwania, jest Veronica. Tylko ona mogłaby zrozumieć jego potrzebę wybicia się, stworzenia siebie na nowo. Odkąd przypadkiem znów zaistniała w życiu Marcha, wciąż nawiedza jego myśli. Adam co rusz zastanawia się, czy siostra w ogóle go wspomina, małego chłopca, z którym nigdy się nie pożegnała. Mógł jej nienawidzić - zamiast tego

o niej zapomniał. Wyparł się Veroniki.

Adam przegląda gazety rozłożone na długiej ladzie, jakby wybierał odpowiedni kawałek mięsa. Za ladą leżą losy loterii, najcenniejszy towar małego saloniku. Można się tu napić kawy - podwójny ekspres z nierdzewnej stali oferuje zwykłą w jednym szklanym dzbanku, bezkofeinową w drugim. Zwykła jest świeża - warto wcześniej wstawać -

1 Adam nalewa sobie duży kubek. Bierze też paczkę krakersów z masłem orzechowym, swoje ulubione śniadanie.

- Cztery siedemdziesiąt pięć. - Sprzedawca przesuwając cygaro w drugi kącik ust.

Adam wygrzebuje trzy zmięte banknoty, resztę dokłada monetami; powinien je odłożyć na pralnię. Musi w ciągu dnia podskoczyć do bankomatu, sprawdzić, czy da radę wyżyć do końca tygodnia za stówę. Może lepiej to zrobić przed wyrokiem. Wyrok. Przechodzi przez niego fala udreki, dłoń z monetami lekko drży, jakby Adam stał na peronie, kiedy po szynach obok pędzi pociąg.

Czy sędzia wyśle go do więzienia? To nie było pobicie, mimo tego co Sophie wciąż sugerowała w zeznaniach. Wymierzył jej jeden policzek. Nie doznała żadnej traumy; gadanie o terapiach i lęku przed mężczyznami to bzdury. Adam nie stanowi dla nikogo zagrożenia. Nie uniemożliwił jej pracy. To skandal, że wzięła wolne w Dynamie. Oskarżenia i skutki jego - fakt, głupiego - postępków w miarę trwania

procesu osiągały coraz to nowe poziomy absurdu.

Adam wciąga powietrze, pozwala, żeby ból oddychania oderwał go od tych rozmyślań. Ostatnio zaczął odczuwać klucie jak przy pękniętym żebrze. Jakby to on został pobity.

- Ma pan coś mocniejszego niż aspiryna?

Sprzedawca wskazuje gablotkę z lekarstwami i wzrusza ramionami.

- Paracetamol. Ibuprofen, to co zwykle. Moja żona lubi aleve.

Adam ogląda opakowania, czyta listy składników, zastanawia się nad różnymi marketingowymi hasłami na każdym pudełku, potem sprawdza cenę.

- Można płacić kartą?

- Od dziesięciu dolarów w górę.

Adam bierze po jednym pudełku każdego lekarstwa i kładzie je na ladzie razem z gazetami i kawą.

- Dzięki, kolego.

Sprzedawca pakuje zakupy i podaje mu foliową torebkę. Na zewnątrz Adam wsadza gazety pod pachę, przekłada torbę do drugiej ręki. Widzi kobietę otwierającą kluczem drzwi do sklepu zoologicznego obok saloniku. Jest ubrana w dżinsy biodrówki i bluzkę, która ledwie sięga jej do pasa. Włosy w kolorze melasy ma wciąż mokre po kąpieli - albo od porannego upału; spływają jej łagodnymi falami na ramiona. Kiwa mu głową na powitanie - jeszcze jeden ranny ptaszek.

Adam widywał ją wcześniej, tyle że nie z bliska. Spędza bardzo dużą część dnia, obserwując ulicę ze swojego mieszkania. Patrzył, jak właścicielka sklepu odprawia chyba codzienny rytuał mycia witryny. Kołysze się jak trzcina z boku na bok, w górę i w dół, zbierając pianę z szyby ściągaczką na długim trzonku.

Co jej powiedzieć? Adam czuje się trochę jak podglądacz skonfrontowany ze swoim obiektem. Z bliska jest starsza, niż mu się wydawało, nie jest młodą dziewczyną mimo młodzieżowych ubrań, ale kobietą pod czterdziestkę, może tuż po czterdziestce.

Adam waha się za długo i właścicielka znika w sklepie. Popija kawę, czekając na przerwę w narastającym ruchu samochodów. Chwilę później kobieta znów się

pojawia, z włosami zebranymi z tyłu głowy gumką, z wiadrem wody w ręku.

- Dzień dobry. - Proszę, właśnie oznajmił, że jest człowiekiem.

Sklepiarka rzuca mu czujne spojrzenie samotnej kobiety na ulicy miasta, a Adam zdaje sobie sprawę ze swojego niechlujnego wyglądu.

- Dobry.

Nic więcej. Kobieta odwraca się do witryny.

- Znów gorąco.

Plus za podtrzymanie rozmowy, minus za banał.

- Jeszcze jak. - Wypowiedź zabarwiona akcentem z jakiejś dalszej okolicy. Południa? Środkowego Zachodu?

- Niech się pani nie przegrzeje.

- Pan też.

Jasne, cel - duszna sala sądowa, nieznany wyrok. Życie wykolejeńca. Adam podchodzi do tego na chłodno. Oczywiście.

Najpierw zauważyli zdechłego psa. Reszta z nas - mama, tata i dwójka innych - przez chwilę milczała zaszokowana, potem doszliśmy do siebie i zaczęliśmy wyszczekiwać inwektywy na obcych mężczyzn. I kobietę. To ona uklękła nad ciałem mojego przeciwnika, łagodnie przesunęła dłonią po jego boku, jakby mogło mu to sprawić przyjemność. Przestałem hałasować, żeby popatrzeć.

Ludzie w mundurach stali w naszej piwnicy i klęli głośno na widok tego, co zobaczyli. Zachowywali się trochę ostentacyjnie, jakby zadowoleni, że coś się sprawdziło, że podjęli dobrą decyzję. Szczeknąłem. Mama i tata wycofali się w głąb swoich klatek. Jeden z pozostałych psów zawarczał, zwracając na siebie uwagę. Nieznajomi przestali kląć i się skrzywili. Chyba coś postanowili. Szczeknąłem jeszcze raz, trochę niespokojny i bardzo zaciekawiony. Co ta wizyta tak naprawdę oznacza? Mężczyźni mieli długie, wydrażone tyczki z przewleczonymi przez nie pętlami. Kobieta wydawała się bardziej pewna siebie; otworzyła klatkę z moją matką i rodzeństwem. Mama się skuliła, ale milczała, co kobieta wzięła za dobry znak.

- Chodź, mamusko, nic ci nie zrobię.

Przestałem poszczekiwać, chcąc posłuchać tego głosu. Moniak, mój tata, usiadł i zrobił coś dla mnie niezwykłego, czego nigdy u niego nie widziałem, ale natychmiast

to zrozumiałem. Oparł jedną łapę na siatce klatki. Błagalny gest „Hej, jestem z wami”. Mężczyźni wyraźnie się rozluźnili. Kobieta ostrożnie wyciągnęła rękę do mamy, ale ta nie była głupia i wcisnęła się jeszcze głębiej w kąt. Z jej doświadczenia wynikało, że jeśli ktoś zamierza ją wyciągnąć z klatki, oznacza to jedną z dwóch rzeczy: walkę albo kopulację. Kobieta cicho pstryknęła palcami i cmoknęła — czuły odgłos przypominający pocałunek. Mama westchnęła. Kapitulacja. Powoli podeszła i powąchała rękę kobiety z ostrożnością, choć chętniej zrobiłaby to z zaufaniem. Kiedy wyszła z klatki, założono jej obrozę, a silna ręka mężczyzny chwyciła smycz; kobieta delikatnie przeniosła sześć szczeniaków do dużego pudła.

Wyszczekałem w przestrzeń pytanie: co dalej? Nikt się nie odezwał, bo nikt nie znał odpowiedzi. Mama rzuciła mi spojrzenie, lekko machając ogonem. Cokolwiek się stanie, musi być lepsze niż ten moment.

Psy są mocno związane z egzystencją. Myślmy o tym co tu i teraz. Ale potrafimy się uczyć na podstawie naszego zrozumienia przeszłości - nie jako wycinka czasu, ale jako działania, bólu, zapachu. Nasze pojęcie o przyszłości ogranicza się do „jestem głodny, będę jeść”, i oczekiwania spaceru o ustalonej porze każdego dnia. My, wydobyli tamtego dnia z piwnicy, nie mieliśmy dość wyobraźni, by zobrazować sobie szczęśliwy dom; wiedzieliśmy tylko tyle, że teraz będzie inaczej.

W końcu podeszli do mnie. Małe zostały już spakowane; mama i tata stali w kagańcach; warczącego psa uciszono odrobiną głupiego jasia, a ten drugi skakał z radości jak oszalały. Wziąłem z niego przykład. Nie chciałem, żeby założyli mi kaganiec. Cierpię na lekką klaustrofobię. Aaa, aaa, aaa, powiedziałem, z zachwytem wymachując ogonem. My, gladiatorzy, wyglądamy wprost niewiarygodnie wesoło, kiedy wywiesimy języki i rozdziawimy szczęki w uśmiechu.

Ludzie dali się nabrać. Założyli mi na szyję pętlę i wszyscy poszliśmy wąskimi schodami na parter. Nigdy tam nie byłem. W pomieszczeniu śmierdziało potem chłopaków i gryzącym dymem. Na podłodze leżały pudełka po pizzy, kuszące, ale tuż poza zasięgiem mojego nosa, powstrzymywanego sztywną tyczką ścisną przez jednego z mężczyzn. Pod pękniętym oknem w nieumeblowanym pokoju wznosiła się równa piramidka puszek po piwie.

Nie miałem okazji lepiej się rozejrzeć, bo pospiesznie wyprowadzono nas na ulicę. Przy krawężniku stała biała furgonetka z włączonym silnikiem i otwartymi na oścież tylnymi drzwiami. Moich rodziców i dwa pozostałe psy sprawnie umieszczono w klatkach na pace. Przywykliśmy do klatek, więc nikt nie protestował. Zanim zapakowano mnie, z domu wyszedł inny mężczyzna, którego wcześniej nie widziałem. Dźwigał mojego ostatniego przeciwnika owiniętego w śliską niebieską

ceratę. Kroczył z ponurą miną, jakby opłakiwał śmierć przyjaciela albo jakby ze smutkiem przekonał się, że miał rację.

W chwili nieuwagi ciało martwego psa wysunęło się z rąk mężczyzny i z łomotem upadło na ziemię. Facetowi pozostała pusta cerata. Ludzie westchnęli chóralnie, a ja zauważyłem, że uchwyt na tyczce słabnie - moment roztargnienia spowodowany niezdarnym upuszczeniem zdechłego psa. Dałem nogę.

Adam siedzi obok swojego adwokata na zimnym, metalowym składanym krześle za prostokątnym stołem w sali rozpraw na pierwszym piętrze. Z blatu miejscami odłazi fornir, wyschnięty przez dziesięciolecia przegrzewania w zimie i letniej duchoty. Na podłodze obok, wierna do końca, stoi stara teczka Adama. Jego wieczne pióro Cartiera, prezent pożegnalny od kolegów z ostatniej korporacji, zanim zwabiło go Dynamie, leży zamknięte na żółtym notesie w linie. Adam chciałby założyć nogę na nogę, złagodzić niewytłumaczalny ból w piersi, ale wie, że musi siedzieć na baczność, z obiema stopami na podłodze, z rękami lekko opartymi o blat stołu, z dłońmi nabożnie zaciśniętymi. Obraz męczeństwa.

- Proszę wstać.

Adam pręży się jak wojskowy. Którym mógłby zostać, gdyby posłuchał doradcy w liceum. Gość był pod wrażeniem jego świetnych ocen w kiepskiej parafialnej szkole, ale nie aż tak, żeby zaproponować mu coś lepszego niż stanowy college czy szkoła wojskowa. Jego ostatni rodzice zastępczy, właściwie zastępczy ojciec, uważał, że wojsko to miejsce dla prawdziwego faceta. Walczył w Wietnamie.

„Zrobią z ciebie mężczyznę”. Pacnięcie i szturchnięcie w ramię. „Zahartowałeś się trochę, chłopcze”. Szturch, szturch.

Sophie stoi przy identycznym stole, z prawniczką, która wygląda zupełnie jak praktykantka na aplikacji. Obie mają na sobie stonowane kostiumy, Sophie granatowy, pani adwokat szary; obie ściągnęły długie blond włosy w proste kucyki. Wyglądają jak siostry.

Sophie. Gdyby tylko napisała te dwa decydujące, najważniejsze, najistotniejsze, wyjaśniające słowa na tamtej kartce. Pana. Cholera. Zony. Szwagierka. Siostra Sterling, która chciała omówić przyjęcie niespodziankę na urodziny Sterling. Mieliby teraz luz, cieszyli się owocami pracy Adama, on jako mianowany na dyrektora generalnego Dynamie, ona jako przyszła asystentka generalnego, odpowiednik królowej pszczoł w korporacyjnym ulu.

Zamiast tego tkwią obok siebie w sali sądowej po tym, co zostało powiedziane, po wszystkich wyjaśnieniach, jakie mógł wymyślić jego adwokat - stres,

odpowiedzialność, wymagające stanowisko - usiłując usprawiedliwić to, czego nie da się usprawiedliwić. To, że stres życia zawodowego i podniecenie przewidywanymi wydarzeniami tamtego dnia go przytłoczyło, brzmi, jakby Adam był słaby. Niegodny zaufania. Wyznaczony przez sąd psycholog wygłosił swój psychobelkot, a menedżerowie pod przysięgą wychwalali nieskazitelny przebieg kariery Marcha. Nieskazitelny, nie licząc tego jednego, brzemiennego w skutki błędu. Ten jednorazowy moment utraty panowania nad sobą kosztował Adama wszystko, co miał.

Z kolei bojownicy Sophie zaprezentowali własną, przejmującą opowieść o stresie, odpowiedzialności, wymagającym stanowisku i równie przykładowej karierze. Jej psycholog wytoczył ciężką artylerię syndromu stresu pourazowego.

Adam kątem oka obserwuje Sophie, nie odwraca głowy, żeby zobaczyć, jak wydyma pulchne wargi w wyrazie słusznego oburzenia. Krzywda noszona jak płaszcz. Ramiona w tył, głowa uniesiona. Sędzia Judy, której Adam dużo się naoglądał przez ostatnie miesiące, odesłałaby ją z niczym. Powiedziałaaby Sophie, że powinna się ogarnąć, że wywołała burzę przez własną niedokładność. Doświadczona asystentka popełniła błąd neofity. Pana. Żony. Ogromna różnica.

Sędzia wchodzi na salę. Za nim ciągnie się zapach chłodniejszego powietrza z klimatyzatora pracującego w miejscu o wiele przyjemniejszym niż ta komnata grozy. Za Sophie stoją rodzice i jej chłopak, krzepki typek z czerwono-zielonym tatuażem na szyi, jakby pod jego czarną koszulką zakorzeniła się tropikalna roślina. Za nimi zbiorowisko przyjaciół i zwolenników. Kilku reporterów z identyfikatorami prasowymi siedzi w ostatnim rzędzie.

Za Adamem nie ma nikogo.

Ted Abramowitz, jego adwokat, później mu pogratuluje.

- Mogło być gorzej, o wiele gorzej.

Energiczne potrząsanie dłonią przez rozradowanego prawnika grozi przejściem do klepania po plecach. Gorzej? Gorzej, czyli co? Wyrok śmierci? Sędzia skazał Adama na dwa lata w zawieszeniu i rok służby społecznej. Do tego koszty postępowania. I odszkodowanie finansowe. I obowiązkowa terapia. Koniec? Raczej nie. Sophie wykrzywia pulchne usta z niezadowoleniem. Pani adwokat klepie ją w ramię, wymieniają spojrzenia; teraz kolej na pozew cywilny.

Abramowitz zapewnia Adama, że powinien się nie posiadać z radości. W jaki

sposób, zastanawia się Adam, z taką rysą na nieskazitelnej przeszłości? Ponieważ nie zdołał obronić planu przejęcia, cały jego plan wygląda teraz na kolosalny błąd. Wannamaker zarządził wstrzymanie, czym jeszcze bardziej umocnił swój wizerunek wszechmocnego bóstwa, bo uratował reputację Dynamie. Poza tym Adam będzie musiał walczyć o jakąkolwiek odprawę z firmy. Nie zaproponowano mu żadnego złotego spadochronu. I „proszę, wychodząc, nie trzaskać drzwiami”. Jakby nawet najbardziej moralnie podejrzane korporacje-giganty miały swoje granice przyzwoitości. I to nie koniec - kto zatrudni kierownika wysokiego szczebla z kryminalną skazą, choćby najdrobniejszą?

A na dodatek rozwód.

Prawnik Adama oblizuje wargi, spodziewając się kolejnych kokosów. W tym tempie jeszcze trochę pożyje ze złotych jaj od tej kury. Chociaż Abramowitz pracuje w jednej z bardziej znanych w mieście kancelarii, Adam nigdy nie korzystał z jego usług. Sterling okazała się szybsza, wynajęła ich osobistych adwokatów i zapewniła sobie usługi najlepszego z najlepszych, kumpla od golfa, którego Adam uważał kiedyś za przyjaciela.

- Teraz musimy ustalić, gdzie pan odpracuje wyrok. Tak, żeby to nie było zbyt uciążliwe. Może wykłady na państwowej uczelni.

Ted Abramowitz wypycha torbę grubymi teczkami sprawy. Adam nie słucha drugiego najlepszego prawnika, jakiego można wynająć. Nie ma pracy, został skazany za głupi błąd - nie swój. Zona judzi przeciwko niemu córkę, a jego adwokat uważa, że to dobrze?

49

Kiedy odczytano wyrok, dziennikarze rzucili się z mikrofonami. Abramowitz ich odpędza, dość łatwo, bo sprawa

4 - Dobry pies

nie jest znów tak interesująca na tle niedawnych katastrof gospodarczych. Ten temat bynajmniej nie trafi na pierwsze strony.

- Czy jest panu przykro?

Reporterka z cienkim, wąskim notesem w dłoni czeka na odpowiedź. Ma na sobie dzinsy, a według identyfikatora na szyi pracuje dla lokalnego tygodnika. Rozdawanego za darmo. Wygląda na piętnaście lat. Czyżby Adam już osiągnął tak

dojrzały wiek, że wszystkie młode kobiety wydają mu się nastolatkami? Ze wszystkie przypominają Veronicę z ostatniego wspomnienia?

- Bez komentarza - beczy prawnik. Ale dziewczyna patrzy Marchowi w oczy i przytrzymuje jego spojrzenie siłą swojego pytania. I przez krótką chwilę zmieszania Adam myśli, że dziennikarka pyta o jego siostrę. To właśnie było najdziwniejsze, ten żal, że ostatecznie wcale nie chodziło o Veronicę.

Młoda reporterka i zhańbiony dyrektor patrzą na siebie, ona pragnie odpowiedzi, która zakończyłaby artykuł; on nie ma odpowiedzi. Tę chwilę przerywa głos woźnego - wzywa Adama i jego adwokata. Sędzia chce z nimi zamienić słowo.

Tak jak sugerował chłodny powiew, który wcisnął się do sali sądowej za sędzią, w gabinecie Franka Johnsona panuje chłód. Po zatechłej duchocie starej sali rozpraw Adam czuje na rękach gęsią skórę. Bez togi, siedzący na tym samym poziomie sędzia skurczył się w pospolicie wyglądającego człowieka. Krótka blond grzywka ze śladami siwizny od ucha do ucha, okulary w stylu Buddy'ego Holly'ego zsuwają się z nosa. Nie wygląda już tak staro ani tak wszechmocnie jak za sędziowskim stołem. Adam powstrzymuje oczyszczające westchnienie ulgi. Może sędzia zamierza go uniewinnić z dala od oczu opinii publicznej. Bez protestów Sophie i pani adwokat.

- Zaprosiłem tu pana, żeby porozmawiać o pana pracy społecznej. — Sędzia opada na wielki obrotowy fotel i wskazuje dwa krzesła dla petentów po drugiej stronie biurka: zimne, metalowe, składane. Za barykadą sędziowskiej pozycji chwilowe wrażenie jego łagodności znika. - Sam wyznaczę placówkę.

Adwokat wykrztusza z siebie nieśmiały protest.

- Rozmawialiśmy o wykładach.

Sędzia nachyla się do przodu, opiera na biurku i patrzy na Adama znad dużych okularów. Skóra na wysokim, gładkim czole się marszczy i Adamowi przychodzi na myśl klaun Bozo bez makijażu.

- Został pan lekko potraktowany, March. Mogłem posłać pana do więzienia. I chyba nawet powinienem. Uważam jednak, że pana największym problemem nie jest przemoc, tylko arogancja. Widziałem raport psychologa, wiem, że to była jakaś „emocjonalna samoobrona”, ale tak naprawdę to z pana kawał aroganckiego sukinsyna i trzeba pana trochę utemperować.

Westchnienie ulgi więźnie Adamowi w gardle.

- Nie rozumiem...

- Nie w tym rzecz, że brak panu moralnego kompasu, myślę, że go pan ma. Wbrew twierdzeniom prawniczki strony przeciwnej nie jest pan psychopata. Ale pana moralny kompas mocno się rozkalibrował. Jest pan zagubiony. Musi pan posmakować trochę pokory, a ja zaserwuję panu solidną porcję.

Adam zerka na Abramowitza - po raz pierwszy zauważa, że facet ma cofnięty podbródek.

- W poniedziałek rano zgłosi się pan do Boba Carmon- dy'ego w Fort Street Center. Zrobi pan wszystko, co panu każe.

Adam kiwa głową. Czeką, aż adwokat coś powie - zaprotestuje albo przytaknie. Ale Abramowitz i jego cofnięty podbródek ani drgną.

— Proszę wrócić do mnie za pół roku. Sędzia odpycha się od stołu, olbrzymi fotel się kołysze. Zostali odprawieni.

Ariel Carruthers March wita Adama w przedsionku stajni, wciąż w wysokich butach, z toczkiem na głowie i skrzywioną miną, która przypomina mu Sterling - kiedy ta była jeszcze dość młoda, by pozwalać sobie na mimikę twarzy.

- Nie musiałeś przyjeżdżać tak wcześnie. I oglądać.

Sugestia, że nigdy dotąd tego nie robił, zawsze czekał

na nią nad laptopem albo blackberry. Czemu więc stoi i patrzy teraz? Postawa Ariel wyraża jeszcze dobitniej, że córka się go wstydzi. Na pewno jej znajomi od koni wszystko o nim wiedzą; ich rodzice przy obiedzie rozmawiają o Adamie Marchu i jego upadku. Adam wie to z taką pewnością, jakby wciąż był na te obiady zapraszany. Ariel cierpi na ostrą zgryzotę okresu dorastania. Oto ojciec, którego nie chcą znać niczyi rodzice.

- Lubię oglądać.

Żadne z nich w to nie wierzy.

- Odprowadzę Elegancję.

- Dobrze, ale się pospiesz.

Adam nienawidzi proszącego tonu swojego głosu. Od niedawna właśnie tak rozmawia z Ariel. Jakby zaczął się jej bać.

Dziewczyna szarpnięciem otwiera drzwi do boksów, pozwala, żeby się za nią zatrzasnęły.

Adam opiera się o ścianę; woli nie siadać na wygniecionej kanapie ani na oblepionym włosiem fotelu, ustawionych tu dla czekających rodziców. W sieni cuchnie zwierzętami, kocimi sikami i mokrym psem. Nieważne, ile czasu Adam spędza w różnych stajniach Ariel, dla niego zawsze w nich śmierdzi. Zazwyczaj czeka na nią w samochodzie; lepsze to niż pokój z meblami z lat siedemdziesiątych i smrodem. Ale teraz może się spotykać z córką tylko co drugi weekend. Ogląda więc jej niekończące się ćwiczenia tylko po to, żeby móc się na nią napatrzeć w soboty, okrojone przez różne zaplanowane zajęcia. Lekcje jazdy konnej, lekcje tenisa, ważne przyjęcia urodzinowe. Skracanie widzenia odprowadzaniem konia. Ariel nie lubi spędzać z nim czasu i dba, żeby o tym wiedział.

Adam stara się nie myśleć, że jeszcze niedawno była jego małą córeczką. Tak dobrze grała tę rolę. „Mnie też zabierz, tatusiu!” Dawniej wszędzie chciała z nim jeździć, płakała i ciągnęła go za nogawki, kiedy wybierał się w kolejną podróż służbową. Przypominał sobie świergot jej dziecięcego głosiku w słuchawce, gdy prosiła, żeby pamiętał przywieźć jej coś specjalnego z Hongkongu czy Londynu. W którym momencie prośby o poświęcenie uwagi zmieniły się w żądania przedmiotów? W pewnej chwili przestała prosić, żeby zostawał rano w domu, przed jej wyjściem do szkoły; przestała mu trajkotać czułości, jak niektóre jej przyjaciółki swoim ojcom. Przestał być tatusiem, stał się bezimiennym. A jego „sytuacja” wszystko jeszcze pogorszyła. Teraz byli dwojgiem obcych sędownie zmuszonych do utrzymywania kontaktów. Dwadzieścia minut później Ariel w końcu się zjawia, wąskie bryczesy biodrówki opinają jej chude nogi, nad guzikiem widać pepek, odsłaniany przez koszulkę z nieco prowokującym napisem, łuk nadruku na małych piersiach. Adam nic nie mówi i znów zostaje odtrącony - kiedy chce pocałować córkę, ona wystawia policzek i wykrzywia się, żeby odsunąć usta jak najdalej od jego warg.

Bez słowa wsiadają do samochodu. Ariel garbi się na fotelu pasażera i wtyka do uszu słuchawki iPoda, skutecznie się odgradzając. Nie przeszkadzać.

Kiedy się urodziła, Sterling oznajmiła, że jedno dziecko wystarczy. Adam nie protestował, nie potrzebował dużej rodziny. Kołysał małą istotkę na kolanach i czuł największe w życiu przerażenie. Nie miał pojęcia o byciu ojcem. Dzięki Bogu, wynajęli dobrą niańkę; większość jego zmartwień zniknęła, bo pani Sanchez zadbała o szczęście Ariel.

- Jak zajęcia?

Dziewczyna wyciąga z ucha jedną słuchawkę i unosi brew.

- Jazda? Dobrze poszła?

Przez pole jego pamięci przelatuje jakiś obraz. Wydaje się znajomy, ale w wyrazie twarzy Ariel Adam widzi to coś po raz pierwszy. Córka dorasta, twarz ma coraz bardziej kobiecą. Przyswaja grymasy, które wywołuje jedynie rozczarowanie mężczyznami.

- Nieźle, w porządku.

Beznamiętna odpowiedź. Przed jego upadkiem Ariel trajkotała o swoich jazdach całą drogę do domu, a on i tak słuchał jej jednym uchem. Jego psycholog, doktor Stein, każe mu się uzbroić w cierpliwość. Poczucie bezpieczeństwa córki ucierpiało. Wszystko, co myślała o swoim ojcu, zostało zburzone jego postępowaniem.

Adam próbuje raz jeszcze.

- Och, powiedz coś więcej. Co było w niej takiego fajnego?

Kątem oka widzi, że córka zaciska zęby. Znowu wkłada do ucha słuchawkę i zaczyna powoli kiwać głową, do taktu dudniącej muzyki. Ciemny od potu kosmyk włosów spada na policzek. Ariel zakłada go z powrotem za ucho i nagle Adam rozpoznaje ten znajomy rys. Córka wygląda jak jego siostra. Ariel jest dokładnie w wieku, w jakim była Veronica, gdy najlepiej ją zapamiętał. Piętnaście lat, wtedy uciekła z domu. Jego jedyny sprzymierzeniec.

- Co tam, braciszku, pomóc ci budować wieżę?

Siostra Adama nabiera garść czerwonych i żółtych klocków Lego. Adam układa fort, ale nie ma sprawy, jeśli Veronica woli postawić wieżę, to zrobią wieżę. Myśl o dziesięciu minutach spędzonych razem napełnia go miłym ciepłem, daje mu poczucie przyjemności, którego nigdy więcej już nie doświadczy. Jakie to cudowne, uwielbiana siostra chce z nim spędzić trochę czasu. Veronica zakłada za ucho kosmyk ciemnoblonde włosów. Kiedy sięga po następny klocek, kosmyk znów opada na policzek.

Adam przyciska dłoń do żeber, gdzie czuje niewytłumaczalny ból.

Jak zwykle wstaje przed świtem. Stoi przy jedynym oknie, patrzy na cichą ulicę i czeka, aż w saloniku zapali się światło. Ma na sobie spodnie od dresu z logo Harvardu, które nosił cały weekend, wczorajszą przepoconą koszulkę z hasłem motywacyjnym z czasów, gdy pracował jako kierownik działu kosmetycznego Dynamie. Na białe stopy zamierzał wsunąć stare buty żeglarskie, żeby przebiec na drugą stronę ulicy, kiedy salonik się otworzy. Gasnące światło ulicznych latarni odbija się w wesołych rybkach tańczących po tęczy „Od A do Z Ryb Akwariowych”; rozświetla je w półmroku.

Kiedy Adam tak patrzy z pustym brakiem zainteresowania na bezludną ulicę, jego uwagę zwraca cień czegoś, co szybko przemieszcza się chodnikiem z północy na południe. To pies, rasy i maści nie do ustalenia w szarym przedświcie. Coś za sobą ciągnie. Tyczkę. Widok jest prawie komiczny - pies usiłuje uchylać się przed kijem i jednocześnie biec do przodu. Jego tylna część ciała porusza się ukosem, a przednia prosto. Nieustępliwa tyczka nie chce się poddać. Ze swojego miejsca Adam nie potrafi stwierdzić, czy to duże zwierzę, pies czy suka, czarny czy brązowy. Po chwili zwierzę znika z jego pola widzenia.

W końcu w saloniku włącza się oświetlenie. Adam bierze klucze do mieszkania, wkłada buty i schodzi po gazetę. Mija go biznesmen, punktualnie jak zwykle, z determinacją patrząc na wszystko oprócz Marcha. Adam myśli, że powinien być jakiś ustalony znak, jakieś ułożenie palców i dłoni oznaczające coś między biznesmenami; może palce wygięte w stylizowany wizerunek dolara. W swoim poprzednim strzeżonym osiedlu widywał chłopaków ćwiczących takie uliczne symbole. W każdą pogodę nosili gigantyczne bluzy z kapturem i opadające - choć drogie - džinsy. Ci nasto- latkowie - wszyscy z domów w Sylvan Fields, gdzie roczne dochody zapisuje się siedmioma cyframi - zbierali się swoimi paczkami i robili Bóg wie co za plecami rodziców.

Ledwie siedem przecznic od porażającej zwyczajnością kryjówki Adama chodzili rozkołysanym krokiem i witali się skomplikowanymi gestami.

Adam powstrzymuje słabą chęć, by zawołać za mężczyzną, rzucić parę fachowych biznesowych terminów i pokazać, że też jest żołnierzem handlu, chwilowo w dołku. Zamiast tego wchodzi do saloniku i wybiera gazety.

- Dobry. - Grubas na taborecie przesuwając w ustach nie- zapalone cygaro.

Nawzajem. Adam kiwa głową i nalewa sobie kawy.

- Co słyszeć?

- W porządku. Ładny dzień.

- Ochłodziło się.

- W końcu jesień.

Najprawdopodobniej to będzie jego najsympatyczniejsza rozmowa tego dnia.

Wychodzi na chodnik; właścicielka zoologicznego otwiera sklep. Te same albo podobne džinsy i koszulka, na nią jednak narzucona lekka polarowa kamizelka. Włosy już ściągnięte w praktyczny kucyk, przez co wyglądają pospolicie i

zwyczajnie. Kobieta widzi Adama z gazetami pod pachą i kawą w ręku.

- Dobry.

- Dzień dobry. - March unosi papierowy kubek w pozdrowieniu. - Ładny dzień.

Powtarza te same banały o pogodzie. Chciałby powiedzieć coś bardziej interesującego.

Sklepiarka uśmiecha się, zacierając wrażenie, że jest zwykła czy pospolita. Adam tak rzadko widuje kobiety bez starannie nałożonego makijażu, że potrzebuje chwili, by rozpoznać prawdziwą skórę, niepozobawioną skaz, ale naturalną. Ładny uśmiech. Przyjazne powitanie jest lepsze niż piękno. To pierwszy uśmiech, jakim obdarzyła go kobieta od bardzo dawna. I równie szybko, jak się pojawił, zniknął.

- To koszulka Dynamie Cosmetics?

- Słucham? Tak.

- Testują wszystkie swoje kosmetyki na królikach. Słyszał pan o tym? - mówi przyciszonym głosem, jakby zdradzała Adamowi straszny sekret. Podkreśla słowo „kosmetyki”, jak gdyby miało przykry smak. - Skąd pan ją ma?

- Pracuję... pracowałem... w Dynamie.

- Naprawdę. - Ton głosu znacząco oziębł.

- Jakiś czas temu.

- Wiedział pan, co robią?

- Tak. Chodzi o to, żeby piękne kobiety nie ucierpiały.

- Próżność ponad człowieczeństwem. Tak to określaliśmy.

Adam nagle przypomina sobie kampanię przeciwko Dynamie, którą sześć lat wcześniej rozpoczęły PETA2 i kilka innych organizacji obrońców praw zwierząt. Precz z Badaniami na Zwierzętach, tak się nazywała lokalna grupa, która prowadziła na tyle skuteczne akcje, że Dynamie Industries zdecydowało się pójść na pozorne ustępstwa. To Adam, jako szef działu kosmetyków, poszedł na pozorne ustępstwa. PBZ, gazety miesiącami odmieniały ten skrót przez wszystkie przypadki. Codzienne zdjęcia rozniewanych pikiet, szarpaniny. Felietony. Jajka.

Adam opracował plan - Dynamie zaprzestało wszelkich testów na zwierzętach... no, na królikach. PBZ zadowolilo się sprytnie sformułowanymi przeprosinami.

- Rozumiem, że jest pani obrońcą praw zwierząt.

- Aktywistką. Tak.

Adam wie, kiedy należy się wycofać. Akurat trafia się przerwa w ruchu samochodów.

- Wszystkiego dobrego.

- Mi-ego dnia. - Lekki południowy akcent. W slangu z tamtych stron: „spadaj”.

Adam pije kawę, stoi w oknie i patrzy na ulicę, która powoli ożywa. To jak oglądanie filmu w przyspieszonym tempie - ludzie pojawiają się i znikają na chodniku grupkami po dwie, trzy osoby; dzieci podskakują obok dorosłych, drzwi się otwierają, miarowy strumień samochodów przystaje na czerwonym. Drzwi sklepu zoologicznego są otwarte, ale sprzedawczyni więcej nie wychodzi.

Adam myśli o kompanii PBZ i o tym, jaki był dumny, kiedy wpadł na pomysł, jak się ich pozbyć. Powiedzieć im to, co chcą usłyszeć. Rzucić parę dolarów na jakieś schronisko. Wyplacić „odszkodowanie”. Nie zapamiętał kobiety z zoologicznego w morzu ludzi, którzy przez blisko miesiąc wystawali pod jego oknem w siedzibie działu w Westbo-rough; ich nieustanne skandowanie przypominało piosenkę uporczywie brzmiącą w głowie: „Czego chcemy? Stop testom na zwierzętach. Kiedy tego chcemy? Teraz”. Adam i jego koledzy nazywali ich bandą od Królika Rogera.

Konieczność przeprowadzania testów tłumaczyli sobie korporacyjnym przeświadczeniem, że takie działania są niezbędne, żeby wypełniacze do zmarszczek nie uszkodziły nerwów, żeby tusz do rzęs nie oślepił konsumentki. Czym wobec tego było kilka królików? A tak naprawdę chodziło o to, że produkty tworzone przez Dynamie w ramach linii Fraîche Crème, z niedrogich, często importowanych składników, miały być sprzedawane najbogatszym klientom z dwustuprocentowym narzutem. Nie mogli dopuścić, aby posypały się pozwy albo złe reklamy znanych osób poparzonych przez chemiczne peelingi w luksusowych spa. Aktywistów z PBZ należało uspokoić, ale tak, żeby nie stanęli na drodze dalszym zyskom.

I Adam March tego dokonał. Wynagrodzono go intratnym awansem do głównej siedziby korporacji oraz bardzo wysokim stanowiskiem w hierarchii firmy. To były dni jego chwały.

Kiedy odwraca się od okna, widzi, że bezdomny pies biegnie z powrotem ulicą, wciąż z uczeponą tyczką.

Właściwie nie wpadłem w panikę. Mimo półtorametrowej aluminiowej tyczki dyndającej mi jak drugi ogon wiedziałem, że nie jestem uwiązany do jakiegoś

demona, ale wyrwałem się człowiekowi, który potem mnie gonił. Wykrzykiwał inwektywy, ale one bardziej podkreślały jego błąd niż moją ucieczkę. I-haa! Byłem wolny. Nareszcie wolny.

Dzięki intensywnemu programowi treningowemu naszych chłopaków, w tym automatycznej bieżni, miałem dużo siły. Tyczka obijała się o różne przedmioty, dzwoniła głucho w moich wrażliwych uszach, ale poza tym - czułem się bosko. Biegałem w tę i z powrotem ulicą, znikąłem w wąskich zaułkach, pełnych zachęcającego zapachu śmieci w kontenerach ustawionych szeregiem za restauracjami - to ta brzydsza strona elegancji. Wiedziałem, że wolność jest krucha i że muszę szybko znaleźć kryjówkę. Ludzie deptali mi po piętach, a widok trzydziestokilowego psa z półtorametrową tyczką u szyi z pewnością zwróciłby uwagę nawet najbardziej niezainteresowanych przechodniów.

Musiałem się pozbyć tego drąga. Niestety, miałem swoje ograniczenia - bez przeciwstawnego kciuka ściągnięcie sobie pętli z grubego karku graniczyło z cudem. Próbowałem strząsania, pełzania, wykręcania, drapania i skomlenia.

Nic nie pomogło. Potrzebowałem przyjaciela. A ponieważ to nie była bajka ani film Disneya, raczej nie mogłem liczyć na nikogo ze swojego własnego gatunku. Co robić?

Jako pies prawie zapomniałem o swoim problemie, kiedy poczułem w nosie niesamowite zapachy ulicy. Zacząłem węszyć, identyfikować inne czworonogi i śledzić ich podróże. Suki - drzałem. Psy z jajami - warczałem i podnosiłem nogę, żeby pokryć ich znaki. Przesuwając się wąskim zaułkiem, wdychałem wonie nagromadzone za budynkami, zachłystywałem się węchowymi bodźcami. Doświadczony pies wiedziałby, że to szaleństwo zapuszczać się w tak łatwe do zablokowania przejście. Ale ja jeszcze nie opanowałem sztuki przetrwania na ulicy. Miałem za to dużo szczęścia. Na końcu uliczki pod ścianą kucąla jakaś postać. U jej boku - pies. Ruszyłem w ich stronę, węsząc i znacząc. Tyczka wlokła się za mną, zgrzytając cicho na szorstkim betonie. Z bliska postać pachniała człowiekiem, rozkosznie niedoprawionym paskudnymi perfumami, którymi zlewali się nasi chłopcy.

Oto człowiek w całej swojej prymitywnej, zwierzęcej chwale. Cuchnął. Nie maskował prawdziwej tożsamości częstym myciem. Jego pies, mała, długowłosa suka zawarczała na mnie, ale bez przekonania. Dawała tylko znać, że tu jest i nie będzie tolerowała zaczepek. Przestała warczeć, podniosła się i otrząsnęła; zobaczyłem błysk metalu na obroży. Przypomniałem sobie tamtego psa, oplakującego stratę swoich krążków, ale wciąż nie do końca pojmowałem ich znaczenie. Nasz

gatunek zazwyczaj nie otacza czią przedmiotów.

Również się otrząsałem, na znak, że nie mam złych zamiarów. Przywitaliśmy się. Pachniała dobrą karmą, mimo wyglądu jej właściciela.

Usiadła i podrapała się za zwisającym uchem, potem wstała i powąchała moją tyczkę. Aha, mieli cię, ale uciekłeś. Wiem, jak się tego pozbyć.

Czekałem, aż usłyszę jak.

Suka szturchnięciem nosa obudziła człowieka. Wzdrygnął się, ale zaraz głowa znów opadła mu na piersi. Był kosmaty jak długowłosey collie. I brudny. Suka zaskomlała. Człowiek otworzył oczy i zobaczył mnie.

- Co my tu mamy? — Jego głos brzmiał jak wysypywanie wiadra suchej karmy na podłogę. Szorstko, zachęcająco. - Gryziesz?

Odsunąłem się tuż poza zasięg jego rąk.

- Nic ci nie zrobię. — Nie ruszył się spod ciepłej ceglanej ściany.

Jego towarzyszka podeszła do mnie i powąchała mój nos, ogonem rozwiewając dręczące mnie wątpliwości. W porządku. Zbliżyłem się.

- Chcesz, żeby ci to zdjąć?

Zatańczyłem na przednich łapach, słysząc ten spokojny i apetyczny głos. Może i chcę.

Nie zrobił nic, czego spodziewałbym się po człowieku. Nie spróbował chwycić tyczki ani nie wstał, żeby mnie zastraszyć. Nadal kuczał pod ścianą i czekał, aż podejmę decyzję. Kiedy mówił, poczułem opary alkoholu - jego oddech był bardziej uczłowieczony niż skóra. Spojrzałem mu w oczy, opuchnięte i puste. Nie miał w sobie żadnego ognia, strachu ani żadnej myśli. Podeszedłem dość blisko, żeby mógł dać mi do powąchania rękę, z otwartą dłonią... żadnego zagrożenia.

Wciągnąłem woń miasta, aromaty, które chłonałem, uciekając od tamtych ludzi i ich samochodu, uciekając od piwnicy, gdzie spędziłem całe życie. Wszystkie te piękne,

poruszające wyobraźnię zapachy byiy na jego ręce, jakby zagarniał całe garście powietrza, cegieł, chodników i śmieci, składających się na świat niedostępny moim oczom. A do tego bardzo interesujący zapach zupy rybnej. Wiedziałem, co jadł na obiad. To uświadomiło mi, że jestem nieprzyzwoicie głodny i spragniony.

Dobra. Zdejmuje.

Mężczyzna ostrożnie zsunął mi pętlę z szyi. Poklepał mnie po głowie i wetknął tyczkę pod kontener, nie ruszając się z miejsca. Potem opuścił głowę i natychmiast zapadł w stan, z którego obudziła go towarzysząca.

Dzięki. Z wdzięcznością wywiesiłem język.

Nie ma sprawy. Suka ułożyła się obok mężczyzny i przykryła nos puchatym ogonem.

Odbiegłem w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Wystarczyło, żebym kierował się nosem. Znalazłem brzegi od pizzy i wafelek po lodach - resztki rozpuszczonej słodyczy przyklejały się do mojego długiego języka. Mmm. Włócząc się po sąsiednich ulicach, natknąłem się na niedomknięte śmietniki, które dało się otworzyć jednym szturchnięciem. W tych cylindrycznych bufetach znalazłem mnóstwo przekąsek, między innymi kawałki polędwiczek, frytki i pół kurczaka. Do tego, co najlepsze, kość z szynki - za taką pies mógłby zabić.

Oczywiście godzinę później wszystko to zwróciłem, ale potem zjadłem raz jeszcze. Na ulicy nic nie może się zmarnować.

65

O wodę było trochę trudniej. W parku stała fontanna, ale żeby z niej skorzystać, musiałbym zbliżyć się do ludzi. Od dawna nie padało, więc kałuże nie wchodziły w grę. Uratował mnie nieszczelny ogrodowy wąż — lizałem go jak

5 - Dobry pies

chomik poidło w klatce. Potem poszedłem szukać bezpiecznej kryjówki, żeby się przespać. Nie potrafiłem jeszcze żyć na ulicy, ale miałem niezły instynkt. Jeśli nie chciałem dać się złapać ludziom, to nie mogłem pchać się im przed oczy. Z drugiej strony potrzebowałem tego, czym oni dysponowali: jedzenia i wody. Choć miałem silne szczęki, nie czułem się mocny w polowaniu i wiedziałem, że przeniesienie się z miasta na rzadziej zaludnione wzgórza odpada. Potrzebowałem porady.

O tym, że na ulicach mieszkają inni tacy jak ja, przekonywałem się na każdym rogu i pod każdym ceglany budynkiem. Musiałem tylko wytropić kogoś, kto mógłby zostać moim mentorem. Nie powinno być problemu. Zwłaszcza ślady zostawiane przez pewnego samca sugerowały, że żyje na ulicy już od jakiegoś czasu, czyli zna się na rzeczy, więc jeśli uda mi się go znaleźć, może się okazać podatny na podlizywanie i mnie wesprze.

Byłem wtedy już nieźle zmachany - uciekłem jeszcze przed świtem. Zamiast próbować znaleźć sobie przewodnika, wyszukałem w miarę osłonięte miejsce w zaroślach w parku. Pod nisko zwieszonymi gałęziami nie wychwyciłem żadnych śladów poprzedniego zamieszkania - wydeptanej trawy, gniazda ani zapachu innego zwierzęcia. Jak mówiłem, byłem nowicjuszem. Myślałem, że jeśli ja nie widzę, co jest na zewnątrz, to oni nie mogą zajrzeć do środka. Nie minęło więcej niż piętnaście minut i właśnie zapadałem w sen, tak bardzo nam wszystkim potrzebny, kiedy obudziło mnie ciche skomlenie. W chwili dezorientacji zdawało mi się, że znów siedzę w klatce i że to moje rodzeństwo prosi o obiad. Skomlenie zmieniło się w niskie, dziwnie zachęcające wycie.

Okazało się, że wybrałem sobie krzak za niezwykle popularnym terenem parzenia się ludzi i nagle mój wzrok napotkał spojrzenie pracującego lędźwiami człowieka. Obaj rozdziawiliśmy pyski z zaskoczenia. Wypadłem ze swojej niedoskonałej kryjówki; on się zerwał, aż podskoczyły mu genitalia, i chwycił spodnie. Chyba myślał, że się na niego rzucę, bo chwycił za rękę swoją samicę i popędził w kierunku przeciwnym do zarośli. W porządku, krzaki w parku się nie nadają. Kolejna nauczka.

Tylko trochę odświeżony zygzakiem wróciłem na ulicę. Musiałem utrzymywać miarowe, szybkie tempo biegu, chociaż chodnik zaczynał dawać się we znaki moim łapom. Przedtem nie biegałem dużo po betonie. Ludzie byli wszędzie, wymijałem ich niczym mistrz gry wideo. Nikt mnie nie złapie. Nie wrócę do klatki.

Starałem się nie opuszczać zaułków - domyśliłem się już, że mój gatunek trzyma się tych kanionów jak wilki lasów. Cudem znalazłem kąć nadający się do spania, wielkości mniej więcej mojej klatki, pod tylnymi schodami jakiegoś domu. Tak, wywahałem zapach psa, ale bardzo stary i musiałem zaryzykować, że kryjówka jest do wzięcia. Znalazłem nawet podartą szmatę, którą ułożyłem sobie pod nosem. Dobrze się tam czułem i natychmiast zasnąłem. Zamierzałem trochę odpocząć, a potem pójść zdobyć coś do jedzenia. Może też rozejrzeć się za sukami szukającymi towarzystwa.

Zanim zasnąłem, oblizałem sobie łapy i pomyślałem: jest nieźle. Niecałe dwanaście godzin temu siedziałem w klatce, a moje życie było przewidywalne w swojej rutynie jak żywot mnicha. Walka tygodnia zaliczona, karma w misce. Ciągłe siedzenie w piwnicy. A teraz proszę, sam układam własne plany, jem jak król i już myślę o parzeniu.

W tym rajku miałem tylko jeden problem - rana, poszarpane rozdarcie, które zostawił mi na pamiątkę świętej pa mięci przeciwnik, znów zaczęła boleć.

Fort Street Center leży w najgorszej części miasta i obsługuje bezdomnych, zapewnia

im ciepły posiłek, miejsce spotkań i - dwudziestu wybrańcom - możliwość spędzenia nocy pod dachem. Adam to wie tylko dlatego, że setki takich charytatywnych instytucji co roku dopominają się wsparcia. Może rzucił im parę stówek, nie zastanawiając się nawet nad tym, co robią i po co.

Problem bezdomności nie interesuje Adama. Dla niego „bezdomny” to menel, uliczny żul, schizofrenik, który nie brał pigułek. Żebrak. Uprzykrzenie. Ktoś, kogo unika się na ulicy. Jak bezdomnego psa. Może być chory albo pijany. Potrząsa pustym papierowym kubkiem, prosząc o drobne na kawę. Giuliani pozbył się myjących szyby na światłach w Nowym Jorku, dlaczego to miasto nie może się pozbyć meneli z ulic - to właśnie Adam myśli, kiedy jakiś nieszczęśnik zastępuje mu drogę na chodniku.

Jeśli kiedykolwiek zastanawiał się nad przyczynami bezdomności, to doszedł do przekonania, że tak jak on jest człowiekiem, który sam się wspiał na szczyt, tak samo tamci są ludźmi, którzy sami się zepchnęli w dół. Ofiarami nałogów i złych decyzji. Wszyscy wiedzą, o co chodzi - facet woli mieszkać na ulicy, bo tu nie mogą go zatrzymać porzucona żona albo kochające dzieci. Albo spieprzył sobie życie do tego stopnia, że nikt się do niego nie chce zbliżyć; wylądował na bruku przez własną brutalność i porywczosć. Nawet nie próbował walczyć o rodzinę.

Adam odrzucił propozycję prawnika, że ten z nim pójdzie. Zgłosi się do Fort Street Center sam, jako człowiek z wolną wolą. Żadnego trzymania za rękę, żadnej widowni. Żadnych godzin liczonych według stawki. Nie miał pojęcia, czego się spodziewać, więc włożył swój zwykły biznesowy uniform. Ten cały Bob Carmondy będzie pewnie w siódmym niebie, że dostał do dyspozycji człowieka otraskanego w biznesie. Może w najgorszym wypadku posadzi Adama w księgowości. Takie placówki non-profit często są prowadzone po kosztach, gorzej nawet niż interesy typu wózek z lemoniadą. Adam wiąże krawat z Harvardu i patrzy na swoją świeżo ogoloną twarz w lustrze. Stara się nie widzieć ciemnych kręgów pod oczami po bezsennych nocach ani lekkiego zażółcenia białek, przypominającego blade echo piwnych tęczówek. Ani zapadniętych policzków. Ani nowych siwych włosów. Właściwie nawet się cieszy, że popracuje społecznie. To będzie nieźle wyglądało w CV, jak się trochę podkoloruje. Nie wystarczy już mieć za sobą historii kariery takiej jak jego: awansów i premii, które udowodniały, że jest solidnym facetem. Haniebne odejście z Dynamie zniszczyło jego atrakcyjność: dziś korporacje niechętnie zatrudniają ludzi zwolnionych za przemoc. Gorsza byłaby tylko malwersacja. Z czasem wszystko się ułoży, pociesza prawnik. „Niech pan nie zwraca uwagi na nagłówki, błogi, pręgierz opinii publicznej”. Trzeba zacisnąć zęby, to minie. Tymczasem konto bankowe Adama, jedyne, do którego nie dobrała się Sterling,

wysycha coraz bardziej, a on nie potrafi zatrzymać wycieku. Sterling stanowczo odmawia pozbycia się któregoś z domów, masażystki, kwiaciarki. To nie są luksusy, ale rzeczy niezbędne; nie może zrezygnować ze swojego poziomu życia, nie ze względu na siebie, ale na ich córkę. Ariel zasługuje na wszystko, co najlepsze. W ustach Sterling to brzmi tak, jakby bez dostępu do wynajmowanego odrzutowca to właśnie Ariel musiała znosić upokorzenia latania liniami komercyjnymi. Jakby jej młode życie miało przez to lec w gruzach.

W środku bezsennej nocy Adam uświadamia sobie, że Sterling nigdy niczego nie brakowało. W jej całym rozpieszczonym życiu spełniało się każde pragnienie. Zawsze. Wszystkie podstawowe potrzeby były zaspokajane tak doskonale, że sam luksus stał się podstawową potrzebą.

Adam dobrze znał pierwotne ludzkie pragnienia: ból głodu, prawdziwego głodu, kiedy jego zastępcza matka podawała mu tylko to, co według niej powinien jeść dorastający chłopiec, a resztę zamykała na klucz. Pragnienie uczucia. Pierwotne ludzkie pragnienie czułego dotyku.

Kiedy myśli zaczynają dryfować w tym kierunku, Adam znajduje zapomnienie w taniej szkockiej.

Nie ma tego złego... Za rok czy dwa praca z bezdomnymi będzie wyglądała jak filantropia. Przerwa w życiorysie dyrektora wielkiej korporacji; może nie Korpus Pokoju, ale wolontariat we właściwym ujęciu ładnie zapełni puste miejsce w CV.

Tak właśnie będzie. Rozweselony Adam strzepuje niewidzialny paproszek z klapy marynarki letniego garnituru Hugo Bossa. Szkoda że tamten samotny biznesmen nie może go teraz zobaczyć.

Chociaż Adam mieszka ledwie sześć przecznic od ośrodka, na Fort Street jedzie lexusem. To zupełnie inny świat niż jego obecna okolica, ale trudno nie dostrzec podobieństw. Z jednej strony ciągnie się rząd podobnych pawilonów z rodzinnymi sklepikami, po drugiej wyblakłe kamienice - siedziby różnych innych organizacji charytatywnych. Ulica Adama i Fort Street różnią się może tym, że tu są punkt realizacji czeków zamiast saloniku oraz lombard z tandetnymi lampami i kiczowatymi figurkami na wystawie zamiast wesołych rybek pluskających wokół tęczy liter.

jakimś cudem Adam znajduje wolne miejsce dokładnie naprzeciwko budynku, w którym mieści się ośrodek. Nie ma tam żadnego szyldu, tylko amerykańska flaga z wszechobecnym proporcem upamiętniającym jeńców i zaginionych w akcji. Przed zaparkowaniem Adam zastanawia się chwilę, czy nie powinien poszukać garażu.

Mężczyźni zebrani na schodach kamienic przyglądają mu się, gdy tak stoi na luzie, ale on odpędza niepokój. Jest biały dzień. Wysiada, wrzuca kilka monet do parkometru, zamyka samochód zamaszystym gestem i przechodzi przez ulicę krokiem mówiącym „ja się nie chrzanię”.

Fort Street Center znajduje się w budynku o wiele ładniejszym niż jego kamienica, XIX-wiecznym domu zbudowanym, kiedy to była jeszcze dobra dzielnica. Łukowate okna i schody z czerwonego piaskowca są czarne z brudu, ale wciąż widać ozdobną elegancję i solidną konstrukcję budynku. Adam porównuje adres na kartce z notesu, wręczonej mu przez sekretarza sędziego, z czarno-złotym numerem 27 pod lampą nad wielkimi, czarnymi drzwiami. To tu. Kiedy Adam stawia stopę na pierwszym stopniu, drzwi się otwierają i wytacza się z nich jakiś mężczyzna. Choć jest ciepły jesienny dzień, facet ma na sobie zielonkawą parkę z wypchanymi kieszeniami i pomarańczową podszewką widoczną w dziurach pod pachami. Nawet z tej odległości Adam czuje jego smród, niezdrowy, zalatujący moczem odór starych ubrań i niemytego ciała. Mężczyzna schodzi w trzech długich krokach, przystaje na chwilę, żeby popatrzeć na przybysza, potem wężykiem oddala się ulicą; kopie foliową torebkę i gniewnie mamrocze pod nosem coś, z czego można mniej więcej zrozumieć tylko jedno słowo. Pieprzony. Pieprzone. Pieprzę. Adam przesuwa wilgotną dłoń po krawacie, ruchem ramion poprawia idealnie skrojoną marynarkę i truchtem wbiega na górę.

Jeśli spodziewa się powitania na miarę głowy państwa, to się myli. Dopiero po kilku minutach znajduje szefa ośrodka, najpierw musi pytać bezdomnych płaczących się po wąskim korytarzu. Oni kierują go do biura.

Puka w otwarte drzwi do pomieszczenia... kiedyś dużego, teraz podzielonego na dwa mniejsze. Mężczyzna, którego bierze za dyrektora, siedzi za biurkiem na wprost. Jego stopy, w największych butach, jakie Adam w życiu widział, spoczywają na biurku zawalonym brązowymi kopertami. Facet rozmawia przez telefon - kręcony przewód jest pozwijany w kłęb. Widzi Adama, zaprasza go do środka zamaszystym gestem, bezgłośnie mówi „ważny sponsor” i wskazuje słuchawkę.

Adam się niecierpliwi, nie podoba mu się, że musi czekać, zanim się przedstawi i będzie to miał za sobą. Dyrektor rzuca bezradny uśmiech znad słuchawki: „nic nie poradzę”.

Lekko kołysząc się na piętach, z rękami w kieszeniach spodni, March ogląda rozwieszane na ścianach reprinty zdjęć z gazet. Na wszystkich dyrektor ściska prawicę kogoś o znanej twarzy: Teda Kennedy'ego, Johna Kerry'ego, burmistrza Menina, Billa Welda. Duvala Patricka. Każde zdjęcie jest studium dwóch

uśmiechniętych obliczy i dłoni splecionych w ostentacyjnym uścisku.

W końcu dyrektor rzuca słuchawkę na widełki, jeszcze bardziej płacząc rozciągnięty kabel.

- Przepraszam. Potencjalny darczyńca, trzeba słuchać ich pomysłów.

- Adam March. Jestem tu na, ee, wolontariat.

„Wolontariat” grzęźnie mu na chwilę w gardle, jakby nie

potrafił sobie przypomnieć właściwego słowa. Dla niego to wyrok.

- Robert Carmondy. - Jest potężnym mężczyzną. Wie

o tym i umie z tego korzystać. - Mówią na mnie „Duży Bob”. - Sięga nad biurkiem i wesoło wyciska życie z dłoni Adama. Plask. Męskie klepnięcie w ramię prawie obala Marcha na ziemię. - Dobrze, że przyjechałeś. Siadaj.

Biuro to pokój ledwie mieszczący biurko, szafkę na akta, niedomykającą się z przepełnienia, i samego Dużego Boba. Adam odwraca się do jedyne go krzesła, zawałone go teczkami. Bob najwyraźniej nie zamierza skakać przy swoim eleganckim gościu, więc Adam podnosi stos papierów

1 siada; nie widzi wolnego miejsca, żeby je odłożyć, więc trzyma na kolanach. Bob patrzy na niego z lekkim uśmiechem; Adam zaczyna się zastanawiać, czy tamten nie każe mu natychmiast ich segregować.

- Opowiem ci o tym przybytku.

Duży Bob rozpoczyna swoją już dobrze wyćwiczoną mowę o początkach Fort Street Center, jego ewolucji z heroiniarskiej meliny do przytułku; o własnym doświadczeniu z bezdomnością, wyjściu z narkotyków i nieustannym braku pieniędzy.

Adam się uśmiecha. Tu może się przydać.

- Mam parę pomysłów.

Bob przerywa mu nauczycielskim gestem.

- Przestrzegamy tu ścisłej zasady poufności. Nie wiemy, co się przytrafiło tym facetom, nie prowadzimy odwyku, nie doradzamy, nie krytykujemy. My tylko ich karmimy, myjemy, jeśli się zgodzą, dajemy im nocleg, jeśli o to proszą, a potem wysyłamy na ulicę. Oni tu nie mieszkają. Mogą przyjść i zostać na noc, ale to tylko przystanek. Kapujesz?

- Oczywiście.

- No to świetnie. - Duży Bob opada na oparcie fotela, który jęczy jak zranione zwierzę.

- Co pan chce wiedzieć o mnie?

- Nic. Jesteś tu i będziesz robił, co każe.

- Mam parę pomysłów. - Może Duży Bob za pierwszym razem nie usłyszał. - Przyjrzałem się kilku grantom...

- Żadnych pomysłów. Przebierz się i zamelduj u Rafe'a w kuchni.

Adam prostuje się na krawędzi krzesła, poprawia na kolanach spadające teczki. Odchrząkuje i przywołuje swój dyrektorski ton.

- Mogę się o wiele bardziej przydać przy finansach, pozyskiwaniu funduszy.

Duży Bob wstaje, odsuwa swój fotel pod ścianę.

- Zaprowadzę cię na dół.

- Panie Carmondy, skończyłem administrację i zarządzanie. Na pewno skorzystalibyście na takiej pomocy.

Duży Bob kładzie mięsistą dłoń na ramieniu Adama, ścisną je przyjaźnie, co boli jak uszczypnięcie tytana.

- Na pewno. - Przybliży usta do ucha Adama. - Sędzia Johnson bardzo jasno wyraził się o twoich zadaniach. Będziesz robił to, czego najbardziej potrzebujemy. Na razie to pomoc w kuchni. Pomysły są dobre, ale działanie jeszcze lepsze. I mów mi Duży Bob.

Adam March stoi w swoich spodniach Hugo Bossa, w nowiutkiej podkoszulce Calvina Kleina - bo uznał, że lepiej kupować nową bieliznę niż raz w tygodniu chodzić do pralni - i białej kuchennej kurtce z zapraną plamą od sosu po lewej stronie. Papierowa czapka dopełnia stroju.

Jest upokorzony. Oto jego praca społeczna - wydawanie ciepłych posiłków bezdomnym. Robienie tego, co mówi „szef”, czyli Rafe - żyłasty czarnoskóry mężczyzna z wygoloną do połysku głową, dłońmi jak liście palmowe i manierami sierżanta musztry. Rafe wskazuje Adamowi wieszak z kelnerskimi strojami i każe więcej nie wkładać eleganckich spodni.

- Wystarczą džinsy, o ile są czyste i niepodarte.

Podarte dzinsy. Jemu się zdaje, że z kim rozmawia?

- Serwujemy gorące obiady od jedenastej do drugiej. Dajemy tyle, ile chcą, tylko uważaj na łapczywych. Każdy dostaje wystarczająco dużo, ale nie więcej. Karmimy tu codziennie około trzydziestu pięciu chłopca, w zimie czasami więcej, latem mniej. To nie cordon bleu, ale i nie śmietnikowe żarcie.

Rafe wymawia „cordon bleu” z idealnym francuskim akcentem.

Adama dręczy doskonale wymówione „cordon bleu” w otoczeniu średnich lotów reszty słownictwa. Rafe może się posługiwać ulicznym slangiem, ale March podejrzewa tu inne wpływy.

- Jeszcze jedno. - Rafe kładzie swoją dłoń wielkoluda na ramieniu Adama. - Masz traktować ich z szacunkiem. Nie jesteś tu dlatego, że ich kochasz. Jesteś tu, bo dałeś dupy. Oni też, więc macie ze sobą coś wspólnego. Jasne?

Adam prostuje plecy pod dłonią Rafe'a i unosi brodę. Stoi twarzą w twarz z nowym szefem; patrzy piwnymi oczami w ciemniejsze oczy tamtego, oceniając przeciwnika. Rafe mruży powieki. Adam widział już takie spojrzenie w salach konferencyjnych i na zakulisowych biznesowych spotkaniach. Królowie własnych królestw. Ludzie pewni posiadanej władzy i swojego miejsca w świecie.

Krótko przytakuje.

- A teraz marsz na zaplecze, przynieś skrzynkę przekąsek.

I tak Adam March rozpoczyna pokutę.

Zostaje skierowany do pracy jako roznosiciel, chodzi z kuchni do jadalni z tacami pełnymi parującego jedzenia, zabiera z powrotem puste naczynia, żeby je umyć w przemysłowym zlewie. Stara kamienica sporo wycierpiała podczas transformacji z eleganckiego domu, przez narkotykową melinę, po schronisko. Wewnętrzne ściany wyburzono, łącząc połowę parteru w jedno wielkie pomieszczenie, teraz zasłane długimi stołkowymi stołami, bez wątplenia podarowanymi przez jakąś wyremontowaną szkołę. Stoły tworzą całość z ławami, tak że siadający przy nich mężczyźni muszą przekładać nogę górą. Panoramiczne okna nawet w ten ciepły dzień są zasłonięte przemysłowymi zasłonami tak, żeby klientela centrum pozostawała niewidoczna. Nikt nie może się gapić z ulicy, rozpoznać dawnego znajomego czy sąsiada w takich okolicznościach. Nikt nie wyjrzy też na zewnątrz.

Adam nie wycisnął tyle ciężarów od czasów liceum. Na aluminiowych tackach leżą plastry mięsa polane gęstym brązowym sosem z czymś, co wygląda na grzyby shi-take. Tłuczone ziemniaki są puszyste - prawdziwe ziemniaki, naprawdę tłuczone. Ale

ważą tonę. Adam zaczyna się bać, że wysiądą mu plecy. I co wtedy? Jeśli coś mu się stanie w trakcie pracy społecznej, czy będzie mógł kogoś pozwać? Po przyniesieniu puszkowanej kukurydzy z wielkiej spiżarni kazano mu otwierać puszki, jedną po drugiej. To, co ma zostać podane bezdomnym, jest mieszane pół na pół z fasolą lima i miksowane. Adam widywał takie potrawy na każdej dobroczynnej kolacji, na którą zawlokła go Sterling. Wspaniały zapach gotowania ginie w ostrym smrodzie bezdomnych ustawiających się w kolejkę po jedzenie. Ich odór całkowicie wypełnia wysoko sklepienie pomieszczenia i Adam czuje go za każdym razem, kiedy przechodzi za człowiekiem nakładającym porcje na dzielone tacki. Każdego klienta, witanego po imieniu, obsługujący - kolejny czarnoskóry w średnim wieku - pyta o to samo: „Jeden kawałek czy dwa? Chcesz do tego bułkę?”

Adamowi przypomina się Liceum Świętego Józefa, do którego zbiegiem okoliczności posłały go dwie ostatnie rodziny zastępcze. Stara stołówka z wypaczoną podłogą. Uczniowie przechodzili alejką, gdzie za szkłem znajdowało się jedzenie. Pokazywali, co wybierają, hamburgera z serem albo hot doga, ziti lub cienki plasterk przypalonego steku ozdobiony krążkiem rozmiękłego ananasa. Ponieważ stołówka służyła też za salę gimnastyczną, powietrze przesycił smród niemytych ciał i jedzenie nigdy nie smakowało dobrze. Większość była wywalana do szarych beczek na kołach przy wyjściu, gdy dzieciaki wybiegały na zewnątrz, żeby po cichu zapalić papierosa albo całować się po kątach.

Kiedy po obiedzie Adam wytacza wielkie, niebieskie plastikowe pojemniki do tylnych drzwi jadalni, siłą rzeczy zauważa, że prawie nic nie zostało wyrzucone.

Miał odpracować cztery godziny. Minęło cztery i pół. Czuje się wykończony fizycznym wysiłkiem, do którego nie nawykł. Jest też głodny, ale stracił apetyt. Nikt nie zaproponował mu posiłku. Nikt nie zwolnił go do domu. Adam stoi w progu olbrzymiej przemysłowej kuchni. Rafe nuci coś pod nosem, kiwa głową do melodii z iPod'a. Nakłada cztery porcje, piętrzy na nich wołowinę, ziemniaki i succotash³. Widzi Adama i przywołuje go gestem.

- Bierz jeden.

Adam nie jest w stanie dotknąć talerza, dopóki się nie umyje. Czuje się wyjątkowo brudny, jakby pracował przy śmieciach. Jakby nie miał założonych gumowych rękawiczek.

- Gdzie mogę się umyć?

Rafe wyciąga słuchawkę z jednego ucha.

- Męska toaleta po lewej.

Adam widzi swoje odbicie w poplamionym lustrze nad umywalką, z idiotyczną papierową czapeczką przekrzywioną na głowie. Wygląda jak pracownik McDonalda. Ściąga czapeczkę i ciska do kosza. Irytacja szybko rozplywa się w rozpacz.

Nie zamierza tu jeść.

Cztery talerze stoją teraz na świeżo wytartym stole. Ktoś poskładał pozostałe stoły i zsunął je pod ścianą. Podłoga wyłożona tanim linoleum we wzór desek - bez wątpienia w celu ochrony oryginalnego drewna - pokryła się brudem, piaskiem, rzuconymi papierowymi serwetkami i resztkami jedzenia. To najbardziej obrzydliwe miejsce, w jakim kiedykolwiek oczekiwano od Adama, że coś zje. Właśnie zamierza powiedzieć, że się stąd wynosi, kiedy Rafe wstaje i macha do niego ręką, nie jak gościnny gospodarz, ale jak dowódca. Siadaj i jedz. To część twojej pokuty.

- Wcinaj, człowieku, zanim wystygnie.

Facet, który przez ostatnie cztery godziny nakładał jedzenie nieprzerwanemu strumieniowi ludzi, klepie wolne miejsce obok siebie. Znów wspomnienie z liceum, przyływ satysfakcji z poczucia przynależności do grupy. Ale na przynależności do tej grupy Adamowi nie zależy.

- Właściwie nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Możesz mi mówić Ishmael.

Czarnoskóry mężczyzna szczyrzy zęby, zadowolony ze swojej dobrze przećwiczonej gadki i podaje rękę. Ściągnął czapkę, odsłaniając grzywę dredów. Zbite strąki kołyszają się jak węże Meduzy, grożą Adamowi.

Adam ściska dłoń, trochę zaskoczony jej miękkim ciepłem. Po czterech godzinach wydawania gorących talerzy palce są rozgrzane, jakby Ishmael miał gorączkę.

- March. - Adam przestępuje nad ławą i siada nad obiadem.

Rafe, po drugiej stronie blatu, wskazuje ostatniego z ich czwórki, otyłego białego z połową twarzy dotkniętą łuszczycą.

- Ten tutaj to Mike.

- Cześć, Mike. - March bierze widelec, ale jest pewien, że nie zdoła nic przełknąć.

- Adam to nasz nowy obserwator.

Adam rzuca szefowi zdeorientowane spojrzenie.

- No, obserwator. — Rafe wybucha śmiechem. - Łapiesz? Poobserwujesz sobie, jak żyje ta druga połowa - wyjaśnia, z trudem się opanowuje i zaczyna jeść.

Adam czerwieni się ze wstydu. Nie przypuszczał, że wszyscy się dowiedzą o jego przymusowym wolontariacie. Gdzie ochrona danych osobowych, kiedy naprawdę jej potrzeba?

Ishmael zabawia ich, syjąc anegdotami i dowcipami, jakby cztery godziny zadawania tego samego pytania były rozgrzewką przed głównym występem. Mike pakuje jedzenie do ust, wstaje i bez słowa zabiera talerz do kuchni.

Z góry schodzi do nich Duży Bob, siada na pustym miejscu Mike'a; stół lekko przechyla się pod jego ciężarem.

- I jak poszedł pierwszy dzień?

- Chyba powinienes spytać mojego szefa.

Adam poprzesuwał wołowinę po talerzu, skubnął trochę ziemniaków przyprawionych czosnkiem i grzyba, który - ku jego zaskoczeniu - faktycznie okazał się shitake.

- Da sobie radę. Musi tylko się pozbyć swoich fochów. - Rafe zeskrobuje widelcem resztki sosu i wyciera usta serwetką. - Cholernie dobre, że tak powiem. Adam, lepiej od razu przyjmij do wiadomości, że jestem najlepszy z tych co działają, działali i będą działali w świecie kuchni na skalę przemysłową.

Adam z uprzejmości kroi wołowinę i wkłada kawałek do ust. Choć mięso zdążyło już wystygnać, jest smaczne i kruche. Dzięki jakiejś nieokreślonej przyprawie smakuje niepospolicie, a nawet całkiem niezłe. Adam zjada resztę.

Duży Bob wybija krótki rytm na stole.

- Okej, do roboty.

Kiedy tylko dźwiga swój ciężar w górę, stół się unosi i Adam ma wrażenie, że razem z Ishmaelem spadną. Mike wrócił z mopem i kreśli ślad na linoleum, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, zaczynając od drugiego końca sali i przesuwał się w ich stronę. Trzech mężczyzn wstaje, a Ishmael przynosi ścierkę, żeby znów wytrzeć blat.

- Możesz iść. - Rafe jeszcze raz kładzie swoją olbrzymią dłoń o chudych palcach na ramieniu nowego podwładnego. — Będzie lepiej.

Adam ściąga białą bluzę, teraz z nowymi plamami sosu, i wciska ją do kosza na pranie.

Kiedy wychodzi, widzi pod wycieraczką mandat; a na szybę lexusa narobił gołęb.

6 - Dobry pies

Adam budzi się zlany potem, chociaż przez otwarte okno wpada orzeźwiający poranne powietrze. Puls tyka mu w uszach - pozostałości przerażenia z koszmaru. Mimo wysiłków, by zapewnić sobie mocny sen z pomocą panów Walkera i Dewara, co noc nachodzą go najrozmaitsze podejrzane obrazy. Gdyby śnił o Sophie, Sterling albo walących się budynkach, byłoby to zrozumiałe. Ale jemu śnią się ulice miasta i że się spóźnia. Ze nie słyszy, co się do niego mówi. Ze nie wie, gdzie jest. To tajemnicze senne wiadomości albo sny bez żadnego znaczenia.

Chciałby przestać zrywać się przed świtem. Minęły całe miesiące, odkąd musiał być w pracy na wpół do ósmej, odkąd przyszło mu do głowy iść pobiegać. Teraz ma mnóstwo „czasu dla siebie”, za dużo, żeby wypełnić nim wszystkie godziny. Praca w Centrum zajmuje mu łatwą część dnia. Poranki i noce są jego brzemieniem.

Headhunter nie oddzwania. Nie udało mu się zorganizować żadnych spotkań i najwyraźniej ma dość powtarzania tej informacji. Adam myśli, że wyjściem może być praca konsultanta. Rozreklamować się, zamówić wizytówki i zacząć doradzać firmom w planowaniu strategicznym albo przejęciach. Headhunter o tym też nie wyrażał się zbyt zachęcająco, ale Adama powstrzymuje ilość pracy, jaką musiałby włożyć, żeby wystartować, żeby zacząć realizować swój plan; inercja otula go swoim ciepłym kokonem. Włącza telewizor. Jak zwykle na cały dzień.

Doktor Stein również nie ma na ten temat zbyt wiele do powiedzenia. Chce, żeby Adam prowadził dziennik, zapisywał uczucia. Uczucia. Cholera. Jak, według pana doktora, Adam może się czuć? Opuuszczony? Osaczony? Źle potraktowany?

Adam zajmuje stałe stanowisko przy oknie. Jest tuż po ósmej trzydzieści, poranny szczyt zmalał do codziennego strumyka ludzi i samochodów. W pralni ruch. Nieważne, jak stoi gospodarka, ludzie wciąż wykazują troskę o swoje rzeczy „tylko do prania chemicznego”. Salonik ożywa dwa razy dziennie, wcześniej rano i o piątej po południu.

Adam rzadko widzi, żeby ktoś wchodził do sklepu zoologicznego. Klientami są zazwyczaj drobni staruszkowie albo dziesięcioletnie dzieciaki wybierające swoją pierwszą rybkę. Adam unika właścicielki sklepu od chwili niezręcznego odkrycia ich wspólnej przeszłości. Wciąż patrzy, jak kobieta myje witrynę, ale nie jest już

zainteresowany uprzejmościami.

Fort Street Center, czy mu się to podoba czy nie, zajęło najważniejsze miejsce w jego życiu. To jedyna rzecz, która wyciąga go z domu pięć dni w tygodniu; tylko tam w ogóle jada coś ciepłego. Już całkiem zapomniał o mieszanych na zamówienie norweskich muesli, a kiedyś tak ich potrzebował. Krakersy serowe i kawa w saloniku rano, szkocka wieczorem.

Adam odsuwa się od okna, ślad jego ręki niknie, kiedy pot paruje - rozmazane odciski palców na poziomie oczu. Jedna z jego zastępczych matek była walnięta na punkcie śladów palców. Adam jako ośmio- i dziewięciolatek żył w strachu, żeby tylko nie zostawić śladu na wypolerowanej powierzchni albo szkła. Pani Markowitz sprąłaby mu tyłek, gdyby zobaczyła wachlarzyk odcisków na panoramicznej szybie.

Ogółem miał siedem rodzin zastępczych, odkąd skończył pięć i pół roku; każdą średnio po trzynastu miesiącach. Ostatni, Potterowie, trzymali go najdłużej, przez całe dwa lata Świętego Józefa. W dniu osiemnastych urodzin zyskał prawo do decydowania o sobie, nagle stracił opiekę i ochronę państwa, w magiczny sposób stał się niezależny. Chociaż tęsknił do tej chwili, jej nagłe urzeczywistnienie, trzy dni przed skończeniem liceum, zaszokowało go swoją ostatecznością.

— Możesz zostać, ale musisz płacić czynsz.

Pani Potter, chuda jak szczapa kobieta tuż po wieku średnim, trochę zarabiała na przyjmowaniu sierot, dlatego chciała, żeby zwolnił jedno z łóżek. Nic osobistego, czysty pragmatyzm. Od dziś jesteś już mężczyzną.

Z początku byli niechętni, jak powtarzali mu bez końca, braniu pod dach nieadoptowalnego nastolatka, ale pracownik społeczny przekonał ich, żeby zaryzykowali. Ciągłe czepiali się, że jada więcej niż inni, na co idzie praktycznie cała jego państwowa dotacja. Bez przerwy narzekali też na jego zachowanie. Zawsze podejrzewali, że gdzieś na górze popala trawkę albo że zadaje się z ulicznymi gangami i planuje jakąś rozróbę. To, że mógł robić te rzeczy, ale ich nie robił, nie było dla nich żadnym pocieszeniem.

Potterowie zbyt zaprzątnięci pozostałą czwórką dzieci - zawsze o wiele młodszych, krążących po systemie opieki nad sierotami, czekających na adopcję albo powrót do zrehabilitowanych rodziców - nie przykładali wagi do wykształcenia Adama. Brakowało im energii albo wyobraźni, by gonić go do odrabiania lekcji. Wystarczyło im, że nie zostali okradzeni ani schwytani w wymyślony ogień krzyżowy strzelaniny ich zastępczego syna z rywalizującą bandą. Adam nienawidził Potterów i kiedy drzwi się za nim zamknęły, nigdy więcej się z nimi nie skontaktował.

Praca egzaminacyjna na studia - rozprawa o życiu w systemie opieki społecznej, otworzyła mu drzwi do ucieczki z tego systemu. Niepełne stypendium na Uniwersytecie Stanu Massachusetts-Amherst dało mu cel w życiu. Nieoczekiwane zainteresowanie finansami i ekonomią oraz biegłość w tych dziedzinach uwolniły jego świat z ciasnoty robotniczego, konserwatywnego, klanowego środowiska, w którym żył do tej pory. Praca prawie na pełen etat jako kierowca w Pioneer Valley Transit pozwoliła mu opłacić naukę i wzmocniła postanowienie, by nigdy nie wracać do Dorchester. Wyrwał się dzięki zaletom swojego umysłu; one też pozwolą mu wspiąć się na szczyt. Zapomni o przeszłości i sam sobie stworzy niczym nieograniczoną przyszłość. Nie zabawiał się wizjami powrotu do którychś z zastępczych rodziców, żeby powiedzieć im: „A nie mówiłem”. Nigdy nie przyszło mu to do głowy. Przeszłość zostawił za sobą i nigdy się nie oglądał.

Dostał się do Harvardzkiej Szkoły Biznesu. W trzech czwartych drogi do dyplomu MBA zwerbowała go pierwsza duża korporacja. Kiedy skończył studia — już dwa szczeble wyżej w korporacyjnej karierze, z wysoką płacą i wspaniałymi premiami - poznał Sterling. Była nimfą z innego świata. Nie, nie innego - ze świata, którego mieszkańcem Adam zamierzał zostać. Jej ojciec, błękitnokrwisty gospodarczy guru tamtej dekady, Herbert Carruthers, wygłaszał gościnnie mowę na wyjeździe integracyjnym, a Adam chciwie chłonał wszystko, co ten wielki człowiek miał do zaoferowania. Kiedy szef przedstawił Marcha Carruthersowi, Sterling stała obok ojca i patrzyła z chłodnym dystansem. Przywykła do młodych pochlebców, pragnących dotknąć rąbka szaty mistrza.

- Musisz być bardzo dumna ze swojego taty - szepnął do niej Adam. — Taka inspiracja.

Sterling spojrzała na niego z wyniosłością, w której potem się zakochał. Jej wzrok mówił: no i co z tego? Powiedz mi coś, czego nie wiem.

- Jeżdżenie z nim po uczelniach to świetny sposób poznawania wolnych facetów, takich jak ja.

Błysnął zębami w uśmiechu swoich rówieśników. Miał niezłe uzębienie, choć nie zawsze dbał o nie jak należy. Po prostu genetyka. Jej usta również wygięły się powoli w uśmiechu, odsłaniając idealne zęby. Była wtedy tak naturalnie śliczna. Wysoka, szczupła; cudownie odrzucała blond włosy. Mogła zdobyć każdego z dziesiątków młodzieńców wychowanych na Park Avenue, ale wybrała Adama. Upiększona przeszłość Marcha znaczyła dla niej mniej niż jego świetlana przyszłość. Herbert Carruthers z kolei aprobował Adama właśnie z powodu tej upiększonej przeszłości. Podobała mu się myśl o zięciu, który do wszystkiego doszedł sam. Jeśli Adam

zredukował liczbę swoich zastępczych rodzin, jeśli zasugerował przyzwoite wychowanie, kładące nacisk na ciężką pracę, to tylko dlatego, że prawda nie miała przełożenia na to, kim się stał. Nikt nie chciał słuchać opowieści o samotności, o wykorzenionej egzystencji. O chłopcu pozbawionym prawdziwego domu. O ofierze losu.

O Veronice, o swoim ojcu nie powiedział nic. Oni nie istnieli. Nie brali udziału w tworzeniu Adama Marcha.

Nie myślał zbyt wiele o tamtych czasach, dopóki nie został odkryty kamień węgielny jego samookreślenia. Doktor Stein wciąż o to nagabuje. Chce, żeby Adam zgłębił swoje uczucia. Dręczy go, żeby się przyznał do jakichś lęków, słabości. Żeby zrozumiał, dlaczego nie kontroluje gniewu.

Adam pochyła się do przodu w niskim fotelu, z łokciami na kolanach i dłońmi splecionymi pod brodą.

- W biznesie, w życiu, wygrywa ten, kto ma najwięcej strzał w kołczanie. Pod każdym względem. Używanie ich czasami przypomina gniew.

- Dlaczego wygrana jest tak ważna? - Psycholog palcami zaznacza cudzysłów przy słowie „wygrana”.

- Bo tak działają ludzie - mówi Adam. - Tak działa świat. Nawet pan, doktorze, w jakimś momencie swojego życia zastanawiał się, co zrobić, żeby wygrać. Coś osiągnąć, zaznaczyć swoje istnienie. Żeby mieć lepiej niż na początku. Trzeba być twardym, żeby to zrobić. - Opada na oparcie, wojowniczo wysuwa podbródek.

- Rozmawiamy o panu, Adamie. Nie o mnie. - Doktor zamyka notes. - I dopóki nie pogodzi się pan z faktem, że ma pan problemy z kontrolowaniem gniewu, z poczuciem porzucenia, nie wyzdrowieje pan.

- Nie wyzdrowieję z czego? Dziadowskiego dzieciństwa? Niby dlaczego się wściekam? Dawno zostawiłem to za sobą. Nie jestem już dzieciakiem, tym gnojkiem, którego ojciec odwiedzał raz do roku, zabierał do McDonalda i nie mówił ani słowa o rozłące. Ale wiedziałem, jak to się nazywa. Dobrowolne oddanie. Dobrowolne. - Adam się opanowuje. Czuje fantomowy ból pulsujący mu w piersi. Słyszy własny oddech, taki jak wtedy, gdy budzi się przed świtem z koszmaru. - Było lepiej, kiedy w ogóle przestał się pojawiać. - Śmiech, krótki wyrzut powietrza pozbawiony wesołości. — Kiedy wiedziałem, że przyjdzie, pakowałem swoje rzeczy do papierowej torby. Na wszelki wypadek, gdyby mnie zabrał. Miałem dziewięć albo dziesięć lat, siadałem na schodach, z papierową torbą obok, jak jakiś wierny pies, i czekałem. I czekałem. Aż w pewnym momencie moja zastępcza matka, nie pamiętam

która, kazała mi wracać do środka. Nie powiedziała, dlaczego nie przyszedł. Powkładałem rzeczy z powrotem do szuflady. Chyba właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że i tak nie chciałbym z nim iść. Dlaczego miałbym chcieć? Nie potrzebowałem go, sam mogłem dać sobie w życiu radę.

- Czy na pewno teraz nie wmawia pan sobie tego?

Odzywa się cichy brzęczyk; ich czas, godzina, właśnie się skończył. Psycholog uderza się w kolano złotym notesem.

- Do zobaczenia za tydzień.

Adam trochę się czerwieni, kiedy musi poprosić Steina, żeby skrócili spotkania do pół godziny. Już nie może sobie pozwolić na pełną stawkę. Kiedy Dynamie go zwolniło, stracił ubezpieczenie, a nie stać go na opłacanie składek samemu, bo Sterling uznała, że Ariel potrzebuje korepetycji przed maturą, u profesora z Lesley College.

- Nie podoba mi się to, ale w porządku. Pół godziny dwa razy w tygodniu.

Adam za bardzo się wstydzi, żeby spytać, czy doktor oferuje rabaty. Kto by uwierzył, że człowiekowi w garniturze za tysiąc dolarów na tym zależy?

Widywał go już dziesiątki razy. Stojącego na rogu, z wyciągniętym pustym papierowym kubkiem. „Zbieram na kawę, proszę pana. Rzuci pan parę drobnych?” Ubrany w zatłuszczone spodnie z demobilu i spłowiałą wojskową kurtkę z jasnozielonym prostokątem w miejscu, gdzie była przyszyta naszywka z nazwiskiem pierwszego właściciela. Niezależnie od pogody żebrak nosi czarną, wełnianą czapkę, mocno naciągniętą na skołtunione siwe włosy, zwisające spod niej jak wodorosty. Policzki ma zapadnięte, przekrwione oczy spoglądają znad szarych spuchniętych worków. Adam odnosi wrażenie, że za każdym razem, kiedy jest w centrum, ludzie tacy jak ten wyciągają brudne łapy i chowają wyszczerbione zęby; ich służalcze żebranie nie budzi litości, tylko irytację. Tego w czapce widzi zawsze pod budynkiem psychologa; tkwi jak wartownik na rogu pod Dunkin' Donuts. Adam zastanawia się, dlaczego policja po prostu nie zamknie faceta. Łachmyta jest nachalny, pewnie wariat. „Daj pan na jedzenie dla psa”. To jego refren. Obok żebraka siedzi wielki, paskudny kundel - latem przenosi się w cień budynków, jakby był mądrzejszy od swojego właściciela. Kiedy Adam natyka się na nich w zimie, kulą się na kołdrze w kolorze cementowego pyłu; przytuleni chronią się przed wiatrem wiejącym kanionami miasta. Żul wyciąga rękę z wszechobecnym kubkiem od Starbucksa. Pies ani drgnie, ale jego załzawione czerwone ślepia śledzą Adama, kiedy ten ich mija.

Kiedy March wychodzi przez obrotowe drzwi z biurowca, gdzie przyjmuje psycholog, oczywiście widzi żebraka i kundla na posterunku. Ale to już nie jest menel z psem. Teraz Adam wie, że mówią na gościa Jupi, od Jupiter. Ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę, to musieć wrzucić facetowi monetę tylko dlatego, że dwa razy w tygodniu nakłada mu na talerz tłuczone ziemniaki. Nie znają się nawzajem. Adam nie życzy sobie, żeby zaistniało między nimi choćby najłżejsze potwierdzenie znajomości. Jest w garniturze Armaniego i biznesowych butach Cole'a Haana. Czerwony jedwabny krawat stanowi symbol autorytetu. To nie jest ten Adam, który w czapeczce z McDonalda nakłada jedzenie z bema- ra. Robi jeszcze jedno kółko w obrotowych drzwiach i rusza w drugą stronę.

Trzeciego dnia po ucieczce z niewoli stałem się już bardzo obolałą psiną. Ta część rany, której nie mogłem sięgnąć językiem, spuchła i zaropiała. Miałem gorączkę, osłabłem i nie byłem nawet głodny. Jak na stworzenie żyjące na ulicy, wpadłem w poważne kłopoty. Refleks mi siadł, z nosa ciekło. Dlatego właśnie, kiedy przyszli ludzie, prawie nie walczyłem.

Łagodnie jak baranek dałem się odwieźć białą furgonetką. Moja przygoda z ulicą dobiegła końca. Rzuciłem tęskne spojrzenie na swoją kryjówkę pod tylnymi schodami, jak się okazało, salonu tatuażu. Podejrzywałem, że któryś z tamtejszych pracowników wyszedł na papierosa albo skręta, zauważył mnie przez kratę metalowych stopni i zawiadomił kogo trzeba. Tacy jak ja nie wywołują u ludzi reakcji „Ooo, znalazłem pieska, mogę go zatrzymać?” Dlatego przyjechali ci z dużej, białej furgonetki, zastawili nią jeden wylot krótkiej, wąskiej uliczki, a drugi zablokowali sami. Musiałem się poddać.

Trafiłem do klatki - może jednak to moje przeznaczenie? Było w niej chłodno i wygodnie, lekarze opatrzyli mi ranę, delikatnie dali kilka zastrzyków z antybiotykiem, aż poczułem się jak nowy. Przycięli mi pazury i wykąpalili - co za rozkosz. I jeszcze mnie wykastrowali, ale z początku o tym nie wiedziałem, bo zrobili to przy okazji zszywania rany na piersi, kiedy spałem pod narkozą. Jadłem od nich karmę i lizałem ich po rękach. Nie jestem głupi, przyjacielski pies ma najlepiej.

Takich jak ja wyjątkowo ciężko komuś wcisnąć. Reputacja psów morderców zamyka przed nami drogę szybkiej adopcji. Żadna drobna staruszka szukająca towarzysza nie wybierze pitbula czy nawet mieszańca takiego jak ja. Po pierwsze, wyglądamy na silnych. Po drugie, wyglądamy na groźnych. Po trzecie, nie jesteśmy tacy znów atrakcyjni. Dla starszych pań - kudłate pudelki. Przychodzą tu też młodzi mężczyźni; szukają męskich psów. Wykluczone. Władze nie urodziły się wczoraj. Nie sprzedajemy tu używanych wojowników. Pozostają młodsze pary, gotowe wziąć psa ze zszarganą opinią i problemem z PR-em. Ale nie ma ich zbyt wiele, na pewno

mniej niż nas.

Podstawa to zachowywać się jak labrador. Pozwolić im wsadzić sztuczną rękę w miskę z żarciem - zero reakcji. Przynieść im tę durną piłkę na kolana. Udawać, że sztuczne dziecko to prawdziwe dziecko; że jedyne, czego się pragnie, to polizać je po twarzy i chronić od zła. Trochę się poślinić. Ładnie uklonić, zachęcając do zabawy. O tak, byłem całkowicie zresocjalizowany.

I tak dostałem swojego pierwszego człowieka. Sympatyczną panią w średnim wieku; potrzebowała psa stróża. Mieszkała na skraju miasta, przecnicę od złej dzielnicy; uznała, że musi wziąć dużego, groźnego psa o złotym sercu. Byłaby nawet w porządku, gdyby tak uparcie sama się mnie nie bała. No dobrze, może niepotrzebnie brałem każdego przechodnia za zagrożenie miru domowego, no i prawie ją przewracałem, rzucając się na mijane psy, ale nie do końca wiedziałem, jak się zachować. Wychowałem się w piwnicy. Walczyłem na arenie. Tego ode mnie oczekiwano i ta nagła zmiana kierunku mnie zdeorientowała.

Uciekłem po tygodniu. Nie mogłem już znieść tego jej dreptania, piekielnie uspokajającego zdrabniania, które nie było w stanie ukryć strachu. Od tego wszystkiego nachodziła mnie chęć, żeby spełnić jej obawy. Przypadkiem zostawiła otwartą furtkę; uznałem to za jasną sugestię: spadaj. Wróciłem tam kilka tygodni później - zastąpiła mnie ujadającym pudelkiem. Cudownie.

Niedługo potem poznałem swojego mentora. Zostawiał dla mnie znaki; czułem, że chcę się z nim spotkać. Był to wychudzony samiec, dojrzały w latach, niekwestionowany król okolicy, gladiator jak ja, ze śladami wojowniczego żywota na skórze. Natknęliśmy się na siebie na rogu, gdzie jego terytorium stykało się z moim ostrożnie powiększonym terenem. Po jego znakach wiedziałem, że tam jest, on wiedział o mnie. Z zaskoczeniem zobaczyłem u niego krążki zwisające z obroży na grubej szyi; z dużym zdziwieniem stwierdziłem, że ma kompana, chociaż jego zapach opisywał psa ulicy.

Przywitaliśmy się, zaznaczyłem swoją uległość liźnięciem jego fafli. Po co irytować króla już na starcie? Nie chciałem wyjść na konkurenta, zależało mi na kilku radach. Zmierzał na wschód, więc poszedłem za nim. Szliśmy wzdłuż estakady, rozmawiając o tym, co porabiałem do tej pory. Przesunął nosem po moim grzbiecie, obejrzał genitalia i mrugnął. Będzie ci ich brakowało mniej, niż myślisz. Poza tym, krótkie więzienie czasem wychodzi na zdrowie. Następna świetna sprawa to bezdomny człowiek. Niewiele się od nas różnią, też grzebią po śmietnikach i śpią pod gołym niebem. Tak samo jak my są niewidzialni dla ogółu populacji i tak samo jak nas czasami się ich zamyka. W towarzystwie człowieka łatwiej jednak o jedzenie.

Dlatego lepsze to niż samotność. Bezdomni dzielą się tym, co znajdują, i otwierają rzeczy, których my nie umiemy.

Partnerstwo z ludźmi mamy zapisane w genach. Powstało z tego samego powodu, z jakiego ten weteran zawarł sojusz ze swoim towarzyszem. Bezpieczeństwo, jedzenie, głos w niemym świecie.

Musisz sobie znaleźć własnego.

Otrząsnąłem się, podniosłem łapę pod latarnią. No, nie wiem. Chyba wolałbym na razie podziałać solo.

Z klatki? Pytał, czy jestem świeżo na wolności.

Tak. Ukłoniłem się, przeciągnąłem i zostawiłem nowego przyjaciela, który pobiegł do swojego człowieka, wychodzącego z jakiegoś budynku. Nawet z tej odległości czułem od mężczyzny zapach ciepłego jedzenia. Z bezpiecznego oddalenia patrzyłem, jak człowiek wyjmuje rękę z kieszeni i daje plaster mięsa królowi ulicy. Może powinienem się jeszcze zastanowić nad tym działaniem w pojedynkę. Poszli ulicą, człowiek ze spuszczoną głową, coś cicho mamrocząc, mój przyjaciel z nosem przy jego piętach. Żywy obraz partnerstwa.

Myśl o staniu nad gorącą wodą przy przemysłowym zlewie i splukiwaniu jednego obrzydliwego talerza po drugim przyprawia Adama o lekkie mdłości. Zapach gotowania połączony z ciepłymi pomyjami wżarł mu się w skórę i nie chce się zmyć.

Kiedy Adam przychodzi na swoją zmianę, w ośrodku panuje już ruch. Kilkunastu mężczyzn stoi na schodach, czekając w chłodzie, aż otworzą się drzwi jadalni. Na parterze jest sala dzienna: telewizor, mała biblioteczka książek w miękkich okładkach, a nawet komputer z łączem internetowym i blokadą na strony porno. Ale pomieszczenie świeci pustkami, jak za każdym razem, kiedy Adam pracuje. Mężczyźni są jak spłoszone króliki, będą jeść z ręki organizacji dobroczynnej, ale nie chcą za długo siedzieć na jej kolanach.

Adam z nimi nie rozmawia. Wciąż nie zna imion większości klientów, nie rozpoznaje ich z widzenia; przydzielony do wydawania obiadów nie patrzy na nikogo, tylko na talerze. Bezdomni nie rozmawiają zbyt wiele nawet ze sobą nawzajem. Jest w nich jakieś dogłębne milczenie, jakby każdy żył w swoim świecie, a bliskość innych w podobnej sytuacji nie tworzyła więzi, ale mur.

Adam nie może ścierpieć, że Duży Bob każe wszystkim bez wyjątku używać frontowego wejścia, a nie wślizgiwać się tylnym, od zaułka. Marchowi musiał to powtarzać dwa razy.

- Co to ma niby znaczyć? Jestem wolontariuszem, tymczasową pomocą, czemu muszą wiedzieć, jak wchodzić?

- To kwestia godności. W ten sposób równamy do jednego poziomu.

Adama znów zaczyna kłuć w żebrach. O czyjej konkretnie godności mówi Duży Bob? Czy nie byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby Adam po prostu wchodził od kuchni?

Jupi i jego pies czekają, aż otworzą się drzwi do jadalni. Razem z innymi stoją w kolejce na schodach. Bardzo nieliczni zabijają czas rozmową, często gadają sami ze sobą. Adam oblizuje usta, przekrzywia bejsbolówkę, którą ostatnio zaczął nosić, i przemaszerowuje obok grupy. Zebrani milkną jak nastolatki w obecności dyrektora szkoły. Kiedy wspina się po schodach, pies Jupiego pręży się i ziewa, machając ogonem. Adam czuje rumieniec wstydu, jakby przyłapano go na unikaniu kogoś znajomego. Pozdrawia mężczyzn kiwnięciem głowy.

- March, dzisiaj obsługujesz stoły. Mike ma gripę.

Rafe cały czas kiwa głową do rytmu podawanego

wprost do uszu i mówi odrobinę za głośno. Obsmaża cebulę na wielkiej patelni. Zapach przebija się przez opary pomyj i mokrych przemysłowych mopów; pobudza ślinianki Adama. Na blacie z nierdzewnej stali leży olbrzymia, fiole- towobrazowa wątróbka; nóż Rafe'a zaraz pokroi ją na cienkie plastry. Dwa kotły wielkości beczek na ropę bulgocą na kuchni - to gotują się ziemniaki. Mimo odrazy, Adam czu

je, że w ustach wzbiera mu ślina. Rafe podrzuca cebulki na patelni, raz, drugi, nie gubiąc ani jednego krążka.

Obsługa stołów oznacza pracę blisko bezdomnych. Zadaniem Adama jest chodzić z wiadrem i gąbką, wycierać stoły między kolejnymi grupami, zbierać resztki, pilnować, żeby nie zabrakło przypraw - innymi słowy, ma robić za pomocnika kelnera. Bezdomni napływają szybciej, niż Adam zdąża przygotować dla nich miejsce, więc często wyciera blat, kiedy już siadają z talerzami pełnymi rozkosznie pachnącej cebulki i mięciutkiej wątróbki. W dzieciństwie często jadał wątróbkę - tanie mięso, rzekomo bardzo dobre i zdrowe. Nie każdy potrafi przyrządzić ją tak, żeby nie była twarda i niestrawna. Samo wspomnienie jest dla Adama wstrętne. W dorosłym życiu nigdy nie pozwolił, żeby pojawiła się na jego stole. Ariel w ogóle nie widziała wątróbki z cebulką. Jedna z gospodyń, które Adam i Sterling zatrudniali na początku, zaproponowała to danie i dostała solidny opieprz. Wątróbka z cebulką to jedzenie biedaków. A jednak kuszący zapach neutralizuje przykre skojarzenia. Rafe, Adam już to wie, nie wypuści ze swojej kuchni kiepskiej wątróbki; nie dość, że jest

świetnym kucharzem, to do tego bardziej dumnym niż wszyscy szefowie eleganckich kuchni razem wzięci. Patrząc na talerz z ręcznie krojonymi, smażonymi ziemniakami i cienkim plasterkiem wątróbki przybranej idealnie przysmażoną cebulą, Adam z zaskoczeniem stwierdza, że nie może się doczekać własnego posiłku.

97

Ale najpierw musi obejść salę, gdzie przepyszny aromat zмага się z falami smrodu brudnych ubrań i niemytych głów. Natychmiast traci apetyt. Wciąż dolewa do wiadra coraz gorętszej wody, coraz więcej płynu o zapachu sosny. Byłoby tylko pozbyć się odoru bezdomnych, zanim usiądzie do obiadu.

7 - Dobry pies

- Przepraszam pana. Czy mógłbym prosić o czysty widelec? Na tym są resztki jedzenia.

Adam staje za Jupim z wiadrem w ręku. Zdania padające z ust starego żuła tak bardzo kontrastują z jego wyglądem, z ulicznym „Kolego, rzuć drobniaka”, jakby był marionetką na ręku brzuchomówcy.

- Jasne.

Bierze brudny widelec i wrzuca go do wiadra z wodą. Jak dobry kelner przynosi Jupiemu czysty.

- Dziękuję.

Jupi trzyma widelec w lewej dłoni, nóż w prawej i kulturalnie odkrawa kawałki mięsa. Co chwila ukradkiem chowa trochę do kieszeni - menelskie sztuczki.

Adam wyciera drugą połowę stołu. Nie może się powstrzymać od zerkania na Jupiego, otoczonego mężczyznami ubranymi we wszystko, co zdołali zgromadzić. Starzec naciągnął wełnianą czapkę nisko na oczy; długie siwe włosy wystają mu spod prującej się krawędzi na wytarty kołnierz wojskowej kurtki. Jak wielu innych, Jupi ma chyba wystarczająco dużo lat, żeby być weteranem wojny w Wietnamie. Jest wśród nich jeden czy dwóch, którzy wciąż nie wrócili z pola bitwy - zrywają się za każdym razem, kiedy Rafe upuści coś w kuchni. Duży Bob mówi na nich „stresy”. Przechodząc do stołu za Jupim, Adam widzi, że facet chowa do kieszeni pół porcji wątróbki. Niektórzy z bezdomnych słyną z gromadzenia jedzenia, jakby się obawiali, że ośrodek za chwilę zniknie, a oni zostaną głodni. Ale Adam wie, że Jupi dzieli się darmowym jedzeniem ze swoim kompanem, który czeka na dole schodów. Duży Bob

powtarzał Jupiemu wiele razy, żeby nie zostawiał tam kundla, bo ludzie się boją. Jupi mówi, że pies robi co chce.

Kiedy ostatni bezdomni wychodzą z jadalni, jest już późno. Adam czuje się skażony, jakby całe życie wycierał śmierdzącą gąbką stoły i krzesła. Wcześniejsza chęć na obiad dawno została zduszona. Zewsząd otacza go zapach sosnowego płynu, potu i własnych dłoni wyjętych z gumowych rękawic. Poskładał stoły i zaniósł je pod ścianę, wytarł podłogę szerokim mopem. Przy stole dla obsługi Rafe i Ishmael dyskutują zawzięcie o bejsbolowych rozgrywkach. Duży Bob podchodzi do nich z pełnym talerzem.

- Idź, nałóż sobie obiad, Adam.

March opiera mop o bema, człapie do kuchni przesiąkniętej aromatem wątróbki z cebulką. Przez długą chwilę patrzy na plastry mięsa w podgrzewaczu, teraz brązowe, prawie tak samo jak Rafe.

Trzecia matka zastępcza sadza Adama przed talerzem wątróbki z cebulą i wali przez leb za każdym razem, kiedy chłopak odkłada widelec. Wątróbka jest sucha, tworzy paskudną breję w jego ustach. Adam nie może jej przełknąć. Z oczu zaczynają mu płynąć łzy, to nie płacz, ale ujście frustracji. Przebywa w tym domu zaledwie od kilku tygodni. Teraz już rozumie, że zawsze trafia do kogoś tylko na jakiś czas. Nie powinien się przyzwyczajać do żadnego domu, tylko próbować być grzeczny, nie robić kłopotów. Ale zastępczy rodzice niezmiennie znajdują sposób, żeby zrobić coś nie tak. W nocy słyszy, jak zastępcza matka kłóci się z mężczyzną - on nie jest jej mężem, wbrew temu co uważają ludzie z opieki społecznej. Czasami do Adama dociera płacz, czasami odgłos policzka i płacz ustaje. Wczoraj urządzili sobie awanturę, więc dzisiaj jest zmuszany do zjedzenia czegoś tak obrzydliwego, że nie jest w stanie tego przełknąć.

Z pełnymi ustami szepcze: „Veronicaveronicaveronica”. To mantra ochrony. Któregoś dnia Veronica przyjdzie i ukarze tych, którzy byli dla niego okrutni. Którzy go nie kochali. W swoim wąskim łóżku albo tu, na wersalce służącej za cały jego pokój, Adam wyobraża sobie bohaterski powrót na wpół wymyślonej siostry. Nie chciała zostawiać brata. Nie może go znaleźć, bo tak często się przeprowadzał. Mit Vero- niki, wyszlifowany do połysku w bezsenne noce. „Veronicaveronicaveronica”. Talizman nadziei.

Bryła przeżutego mięsa powoli przeciska się w głąb przełyku jak kamień, a potem nagle zostaje zwrócona.

Zastępcza matka numer trzy ciska garścią tłuczonych ziemniaków w jego

ośmioletnią twarz.

Adam ściąga kuchenną bluzę i wrzuca do pojemnika na pranie. Mnie w rękę papierową czapkę i celuje nią do beczki. Wychodzi tylnymi drzwiami. Nie wraca tutaj. Pieprzyć sędziego. Później Abramowitz przypomni mi, że zlekceważenie wyroku sądu może prowadzić do gorszych rzeczy niż sprzątanie po bezdomnych. Sędzia ma nieograniczoną władzę. Adam, tak samo jak podopieczni ośrodka, których codziennie obsługuje, jest ofiarą systemu.

Patrzy na pustą, nocną ulicę; czeka, aż zapalą się światła w saloniku. Aż znów zacznie się jego życie.

W ładną pogodę na ulicy czujesz się cwaniakiem. Zbyt bystrym, żeby od kogoś zależeć; wystarczą otwarty śmietnik i ciekący ogrodowy wąż. A potem robi się zimno. Ja i moi pobratymcy zaczynamy ze sobą walczyć o kryjówki, które dają osłonę przed kąsającym wiatrem, i jakieś legowisko, koc albo suche gazety. Za dużo nocy spędziłem w pozycji płodowej grzbietem do teoretycznej osłony ściany, w suchym przepuście albo w przejściu podziemnym, niezajętym jeszcze przez kogoś, kto nie chciał mieć współlokatora. Do mojej letniej kryjówki pod schodami wrócił jej poprzedni właściciel - koniec podnajmu.

Mentor pokazał mi kilka co lepszych podwórek. Jego człowiek podróżował wczesnym rankiem przez śpiące miasto, grzebiąc w ciężkich plastikowych śmietnikach - dla nas, psów, nieotwieralnych. Rzucił mojemu przyjacielowi najsmaczniejsze kąski, a dla siebie zabierał różne przedmioty; chował je w kieszeniach kurtki. Ja trzymałem się daleko za nimi. Mentor wyraźnie zakazał mi kontaktów ze swoim człowiekiem - było przy nim miejsce tylko dla jednego psa i ja nie zamierzałem się wtrącać. Pokazywał mi za to suchy kanał wentylacyjny albo klimatyzator ukryty za zaroślami, bardzo wygodne i ciepłe gniazdo.

Nie licząc ochłapów, które czasem zostawiał mi kumpel, z coraz większym trudem zdobywałem jedzenie, bo ludzie spędzali mniej czasu na dworze. Straciłem kondycję i zimno doskwierało mi przez to podwójnie. Restauracje wyrzucały zaledwie trochę resztek, jakby ludzka populacja szykowała się na mrozy i przestawała marnować żywność. Moje źródła wody zakrecono i to było największe wyzwanie — mogłem liczyć tylko na nieliczne podgrzewane baseniki dla ptaków. Jeziorko w parku często zamarzało. Wychowanie w klatce nie zapewniło mi umiejętności potrzebnych do kruszenia lodowej skorupy. Czekałem, aż gęsi swoim dreptaniem wydepczą dziurę w lodzie, a potem się tam wypuszczałem. Ryzykowne, wiem, ale pragnienie to potężny motywator.

Zmarznięty, głodny i często spragniony, wciąż czułem się szczęśliwszy na ulicy niż

w klatce w piwnicy, czekając na walkę albo na godzinę na bieżni, czy na te upragnione dziesięć minut ulgi na podwórku. Tutaj załatwiałem się, gdzie i kiedy chciałem. Zaczęłem nawet budować własne małe terytorium. Mimo przymusowej kastracji wciąż lubiłem dziewczynki i z paroma się zapoznałem. Słodkie. Żadna nie miała jeszcze rui, więc na razie tylko się spotykaliśmy.

Ogólnie było nieźle. Aż do śnieżycy.

Śnieg zaczął sypać przed świtem. Wiatr gnał płatki tak małe, że w świetle latarni wyglądały jak zacinające igły. Śnieg pada z boku, zawraca i wiruje w przeciwnym kierunku. Media zapowiadały śnieżycę od kilku dni, a radosna twarz pogodyni dzisiaj rano promieniuje zadowoleniem kogoś, kto udowodnił, że ma rację. Adamowi przypomina się Sterling.

Teraz są już oficjalnie rozwiedzeni; sąd wydał ostateczny wyrok trzy dni przed Gwiazdką. Sterling podpisała się gdzie trzeba godzinę przed przyjściem Adama. Patrzył na jej zamaszty podpis, Sterling Madeleine Carruthers. Odmówiła mu nawet najmniejszego miejsca w swoim życiu, wracając do budzącego respekt panieńskiego nazwiska. Dla niej Adam już nie istniał. Liczyły się tylko jego pieniądze. Potęga i reputacja Herberta Carruthersa ułatwiły sądowi przyznanie Sterling większości ich wspólnego majątku. Domy, samochody, pakiety akcji. Sąd dał jej także prawo do części przyszłych zarobków Adama w ramach alimentów. Jego firma doradcza nie wystartowała; bądźmy szczerzy, w ogóle nie powstała, a Adam czerpie pewną satysfakcję, że nie ma się czym dzielić.

Sterling i Carruthersowie wyjechali z Ariel na święta do Grecji; powiedzieli, że dziewczyna jest w stresie, dlatego muszą ją zabrać z zasięgu Adama w terminie, w którym mógł się z nią widzieć. Sądowi jakoś to nie przeszkadzało, prawa Adama były najwyraźniej mniej ważne niż prawa Sterling. Natychmiast po powrocie Ariel wpadła w wir obowiązków. Adam zastanawia się, czy Sterling nie śpi po nocach, wymyślając preteksty, żeby nie pozwolić mu się spotkać z ich jedyną córką. Nawet kiedy udaje mu się z nią zobaczyć w sobotnie popołudnie, Ariel jest ponura i milcząca, jakby był kimś obcym, z kim kazano jej przebywać w jednym pomieszczeniu. Adam tłumaczy sobie to zachowanie nastoletnim buntem, ale czuje się zraniony. Wie, że jak wszyscy rozwiedzeni ojcowie za bardzo się stara, wizyty Ariel w jego mieszkanku zmienia w zabawę, omija rzeczywistość; sushi zamiast wyjścia na miasto, gry wideo zamiast rozmowy. Ariel ze stoickim uporem odmawia wspólnych rozrywek. Nigdy nie zostaje na noc. Nie będzie spała na sofie i nie chce się zamienić.

Zupełnie jakby Adam gościł u siebie nieznaną języka studentkę z zagranicznej wymiany. Pantomima dobrego ojca i kochającego dziecka gubi się w tłumaczeniu.

Adam wygląda przez okno; ma nadzieję, że mimo pogody sklepikarz otworzy salonik. Dziecinnie się ludzi, że Duży Bob zadzwoni i każe mu zostać w domu - hurra, śnieżycą. Od pierwszego dnia mrozu ośrodek przyjmował dwa razy więcej bezdomnych niż do tej pory. Mężczyźni przychodzą po trochę jedzenia i dużo ciepła. Wielu szybko znika, ale około dziesięciu facetów korzysta z łóżek w sali sypialnej na górze - to głównie ci, którzy na ulicy wylądowali stosunkowo niedawno, jeszcze nie zhardzieli. Duży Bob wita ich serdecznie, daje im koce i poduszki, pokazuje, gdzie jest jadalnia i pokój dzienny. Spisuje nazwiska, proponuje, że będzie za nich odbierał pocztę, comiesięczne zasiłki, wojskowe emerytury. Namiastka domu.

Po drugiej stronie ulicy zapala się światło. Adam narzuca kurtkę, znajduje narciarską czapkę w kieszeni i ją zakłada. Wsuwa stopy w buty, luźno je sznuruje, łapie czysty kubek z pokrywką z zebranej kolekcji. Zupełnie pusta ulica jest pełna śnieżnych zasp, światła przy skrzyżowaniu łopoczą na wietrze jak zwariowana flaga; w każdej chwili mogą się zerwać z kabli i runąć na asfalt. Adam brnie pod wiatr; przez oślepiający śnieg czuje się jak we śnie - cel wcale się nie przybliża. Kiedy w końcu dociera na drugą stronę ulicy, policzki go szczypią, oczy mu łzawią, dyszy jak zmęczony sprinter. Z trudem otwiera drzwi, silny podmuch je zamyka - to jak zabawa w przeciąganie liny. Kiedy wichura przystaje, żeby złapać oddech, Adam zwycięża.

- Dzień dobry, Artie. - Łapie krakersy i nalewa świeżej kawy do kubka z nadrukiem „Cumberland Farms”. Rozgląda się za prasą; nie dowieziono.

- Co za cholerna pogoda. - Sprzedawca przesuwając zapalone cygaro w drugi kącik ust. - Nic, tylko siedzieć w domu.

- Bez gazet. - Adam grzebie w kieszeni, szukając drobniaków.

- Będą, będą, nie bój nic. Przyjdź za godzinę.

- Jak dam radę. Na zewnątrz coraz gorzej.

- Uważaj na siebie, Adamie.

- Ty też.

Teraz z kolei ciężko otworzyć drzwi, ale kiedy to się udaje, Adam staje pod osłoną wejścia, zakłada kaptur kurtki i pociąga może ostatni gorący łyk kawy z plastikowego kubka. Kiedy już decyduje się dać krok w śnieżycę, pojawia się jakaś postać.

To biznesmen. Truchta z pochyloną głową, w długim płaszczu zapiętym pod szyję. Od wiatru i zimna płyną mu po policzkach łzy. Adam ma chęć zatrzymać go i odesłać do domu. Czemu facet zasuwa na piechotę? Czemu w ogóle idzie do pracy? Nawet Adam zarządziłby dziś wolne. Albo ten gość jest durniem, albo jego szef.

- Hej, kolego... - Adam wyciąga rękę, tę z plastikowym kubkiem, żeby zatrzymać mężczyznę.

- Odwal się, popaprańcu. - Biznesmen macha ręką, opędzając się od niego, i wytrąca mu kubek Cumberland Farms. - Znajdź sobie pracę.

- Pieprz się. - Adam rzuca się w śnieg, zanim cała kawa wyleje się przez otwór do picia. Co jest, do cholery? Ściągając sznurki kaptura, widzi swoje niewyraźne odbicie w szybie witryny saloniku. Zaczyna się śmiać. W tym stroju wygląda jak klient Fort Street Center. Nic dziwnego, że tamten się wystraszył. „Kolego”? Naprawdę powiedział do faceta „kolego”? Musiał to podchwycić u bezdomnych. Wszyscy tak mówią. To takie ogólne „kolego” kierowane do nagabywanych ludzi: „Kolego, rzuć parę drobnych” i do siebie nawzajem. Cała jadalnia jest pełna „kolegów”.

Jeśli zamknięto ośrodek, gdzie się podzieją?

Nie do wiary, z zamieci wyłania się kolejna postać. Kobieta z zoologicznego. Zakutana w gigantyczną kurtkę, wygląda jak połknięta przez niedźwiedzia polarnego. Wiatr pcha ją w tył, więc każdy krok do przodu to wygrana bitwa. Adam czuje siłę podmuchu na plecach, kiedy do niej biegnie. Z jego pomocą w końcu dociera do drzwi. Adam bierze od niej klucze i otwiera zamek, potem odsuwa się, żeby puścić ją przodem.

- Proszę wejść, proszę wejść.

Kobieta wyłącza alarm, otupuje śnieg z butów. Policzki ma jasnoróżowe, lokiem ciemnych włosów, który wymknął się z gumki, ocieka wodą.

- Dzięki za pomoc, wieje mocniej, niż myślałam.

Strząsa kurtkę, ukazując gruby rybacki sweter i sztruksy wpuszczone w zimowe buty.

- Jestem Gina DeMarco. -1 znów to słabe zabarwienie akcentu. - Witam w Rybach Akwariowych i Akcesoriach Zoologicznych.

Adam ściąga kaptur.

- Adam March.

Gina przestaje się uśmiechać.

- Ty nie tylko pracowałeś w Dynamie Cosmetics, byłeś tam szefem. - Ostatnie słowo wymawia z odrazą.

- Tak.

Nie zamierza się wypierać. Dobrze kierował tym działem, nawet jeśli PBZ protestowało przeciwko niektórym ich zasadom.

Wchodzi głębiej do sklepu, rozgląda się po rzędach rozjarzonych akwariów pełnych kolorowych rybek, stojakach z obrożami i smyczami, po półkach z piszczącymi zabawkami i smakołykami. Widzi kosze z kraciastymi poduchami, gabloty z najróżniejszymi psimi i kocimi podobiznami na podstawkach pod kufle do piwa, kubkach, figurkach, podkładkach. W wolno stojącej klatce jazgot i feeria barw dwóch papug, szczęśliwych na widok Giny. Na klatce kartka z odręcznym napisem „Nie na sprzedaż”.

Wyjątkowo mocne uderzenie wiatru łomocze w drzwi, brzęczy szyba.

- Gino, chyba nie myślisz, że ktoś przyjdzie dzisiaj kupić rybkę? W taką zamieć siedzi się w bezpiecznym miejscu. Gwardia narodowa ostrzega, żeby nie jeździć samochodami. Policja...

Gina mu przerywa:

- Siądzie prąd i po sklepie. A tak uruchomię generator. Poza tym dużym rybom trzeba dać jeść, inaczej zaczną się zjadać nawzajem.

Ośrodek nie będzie zamknięty. Adam naciąga kaptur na wełnianą czapkę.

- Muszę iść.

Gina ociera grzbietem dłoni czoło, żeby zetrzeć wodę kapiącą z przemoczonego kosmyka włosów. Bierze mokrą kurtkę.

- Miłego dnia. - Mi'ego. Może odejść.

Adam puszcza kłamkę, odwraca się do kobiety.

- Jak wrócisz do domu?

- Nie wrócę. Przynajmniej dopóki trwa zamieć. Nie mogę ryzykować.

Adam przez chwilę rozważa, czy nie zaproponować, że zostanie, ale nie może wymyślić żadnego pretekstu. Gina wyraźnie wie, co robi, a poza tym znają się tylko z widzenia. Kiedyś byli wrogami, może według niej wciąż są, więc nie troszczą się o siebie nawzajem.

- W porządku. Powodzenia.

Napiera na drzwi barkiem, zmagając się z siłą wichury.

Adam March wychodzi na śnieżycę i rusza na Fort Street z nadzieją, że podjął słuszną decyzję.

To była cholernie groźna zamieć. Kulilem się w przepuście z kilkoma innymi psami - zawarliśmy chwilowy rozejm. Mentor też tam siedział, sam. Nieduża suka o sztywnej sierści podeszła do niego w uległej pozycji, służalczo polizała mu pysk, prosząc o wyrozumiałość. Wyczułem ją wcześniej w tej okolicy, miała twardzielka z lekko wysuniętą dolną szczęką.

Do towarzystwa mieliśmy jeszcze dwa tłuste labradory. Uciekły ze swojego podwórka - z zaskoczeniem odkryły, że elektryczne ogrodzenie jest wyłączone; nie zdołały oprzeć się pokusie, pobiegły przed siebie i natychmiast zabłądziły. Miłe chłopaki, trochę naiwne. Wszyscy wiedzieliśmy, że ich ludzie wpadną w panikę. Przez to stanowiły dla nas zagrożenie. Jako psy domowe, a nie uliczne, zostawiły za sobą ślad na kilometr szeroki i na półtora metra głęboki. Wystarczyło, żeby zamieć się skończyła, a władze i gromada ochotników ruszyłyby na poszukiwania. Rozlepiono by plakaty. Zdjęcia na każdym słupie, uśmiechnięte labradory z wywalonymi językami, Buffy i Muffy, czy jak tam ich ludzie nazywali. Nagroda!

Ale na razie śnieżna burza stłoczyła nas w tunelu, ciepłota ściśniętych ciał chroniła nas przed zimnem, więc obecność grubych labradorów bardzo nam pasowała. Kęs śniegu, szybkie siknięcie i ułożyliśmy się, żeby przekimać dzień.

Ja z mentorem leżałem grzbiet w grzbiet. Z lekkiej ciekawości zapytałem, gdzie jest jego człowiek.

Nie wiem.

Czyli po prostu gdzieś poszedł?

Myślę, że mogli go złapać.

Ludzie?

Wszedł do budynku i już nie wyszedł.

Budynku z jedzeniem?

Nie, takiego, do którego wcześniej nie wchodził. Nam nie wolno wchodzić do żadnego, dlatego zostajemy na zewnątrz. Budynki nie są dla nas. Poza tym, w środku mogliby nas schwycić. Pamiętaj, trzymaj się z dala od budynków, chyba że są puste.

Byłem zaskoczony, słysząc skomlenie mentora, żalony, samotny dźwięk

zatroskania.

Nie wiem, gdzie on jest.

Znajdziesz swojego kompana. Po śnieżycy.

Nie ma go.

Jak już mówiłem, psy żyją tym co tu i teraz. Nie rozumiemy koncepcji przeszłości ani przyszłości. Człowiek mentora mógł zniknąć sześć dni albo trzy godziny temu. Tak czy inaczej, mój przyjaciel był niezwykle - jak na siebie - zmartwiony. Przetoczyłem się na drugi bok, przywarłem do niego grzbietem, żeby się ogrzać. Ale przez całą burzę czułem, że dygocze z niepokoju.

Kiedy Adam widzi schody ośrodka, czuje się jak Shackleton docierający do celu. Nie zdziwiłby się, gdyby na obiad podawano potrawkę z foki. Mike jest na zewnątrz, bezsilnie atakuje miotłą zaspy rosnące na stopniach. Patrzy na Adama, plamy łuszczycy na jego twarzy są czerwone z zimna, ale się uśmiecha. March po raz pierwszy zostaje powitany przez zawsze milczącego mężczyznę.

- Witamy na Fort Street.
- Dzięki, Mike. Jak się tu dostałeś?
- Nie wychodziłem.
- Szkoda że ja o tym nie pomyślałem.

Adam klepie Mike'a w grubo opatulone ramię i wchodzi do środka.

Jest tu więcej bezdomnych niż kiedykolwiek. Choć do obiadu jeszcze godzina, sala jadalna jest otwarta, żeby przyjąć tłum; mężczyźni siedzą tyłem przy stołach, wciąż w przemoczonych kurtkach; nie rozpinali guzików ani suwaków. To coś, co już dawno przestało Adama dziwić. Ci ludzie nie ryzykują osobistego dobytku. Najgorsza bójka, jaką widział - a widział całkiem sporo - wybuchła, kiedy jeden weteran z Wietnamu oskarżył drugiego o kradzież noża. Twierdząc, że sporny przedmiot należy do niego, oskarżony zamachnął się i zdzielił tamtego w twarz. Trysnęła krew, a cała grupa zaczęła ich dopingować. Rafe i Duży Bob rozdzielili walczących, zanim w ruch poszedł sam nóż.

Noże, jak Adam się dowiedział, należą do najcenniejszych przedmiotów bezdomnych. To broń, narzędzie, pamiątka z dzieciństwa albo wojny. Są też zakazane w ośrodku. Na kieszonkowe nożyki, takie jak szwajcarskie scyzoryki z demobilu, przymyka się oko, ale wszystko, co ma ostrze dłuższe niż piętnaście centymetrów,

jest natychmiast konfiskowane. W jadalni bezdomni używają stołowych noży z nierdzewnej stali. To nie więzienie, ale schronienie. Duży Bob trzyma się swoich zasad.

Adam ostukuje śnieg z butów i przepycha się przez tłum do kuchni. Rafe już tam jest, kiwa głową do swojego iPod'a, z patelnią w rękę, czapką kucharską zawadiacko przekrzywioną na wygolonej głowie i wciąż czystą bluzą. Podnosi wzrok i widzi Adama w drzwiach.

- Cześć, bracie, dobrze, że wcześniej przyszedłeś.

- Pogoda do dupy.

- Myśleliśmy, że dzisiaj sobie odpuścisz. Jesteś wolontariuszem, stary. Nie musisz narażać życia.

Adam ciężko opiera się o framugę. Przedzieranie się przez zamieć mocno go wyczerpało. Nogi dygoczą mu z wysiłku. Wciąż ma w kieszeni serowe krakersy, ale gdzieś po drodze zgubił kawę. A może zostawił ją przy sklepie zoologicznym, kiedy Gina stawiała czoło śnieżycy dla złotych rybek i papug. A teraz Rafe mówi mu, że niepotrzebnie przychodził. Przez ułamek chwili Adam myśli, że powinien

się wściec. Duży Bob mógł zadzwonić, żeby mu to powiedzieć. „Siedź w domu i oglądaj zamieć w telewizji, w ciepłym i suchym fotelu”. Dobry kierownik dba, żeby jego ludzie byli poinformowani.

A potem się zastanawia - może dzwonił. Przecież wyszedł do pracy o siódmej trzydzięci. Poczucie narastającego gniewu mija. Nie widział Ishmaela, a hałas z jadalni jest wyjątkowo głośny.

- No ale dotarłem. Nie odmówiłbym jednak kawy, zanim zacznę.

Rafe podkręca płomień pod patelnią i idzie do szafki. Wyjmuje kubek i napełnia go z ekspresu Bunna. Adam siada na stołku, topniejący śnieg kapie z kurtki na czystą podłogę.

- Trzymaj, stary.

Adam ściąga mokrą czapkę i wpycha do kieszeni, potem bierze gorący napój.

- Dzięki.

Spojrzenie dwóch par piwnych oczu się spotyka i Adam widzi we wzroku Rafe'a szacunek. Szybko upija łyk mocnej kawy, czerwieni się po części od gorąca, po części ze zdumienia. Nigdy wcześniej nie widział szacunku bez strachu.

Dzisiaj są tu kobiety. Fort Street ma „siostrzane” centrum pomocy dwie przecznice dalej, ale zaciekłość śnieżycy zatarła podziały. Nikt się nie przejmuje, do którego ośrodka trafił, cieszy się tylko, że nie marznie na dworze. Duży Bob sprawdza nieoficjalną listę obecności. Krąży między grupkami, wita się z ludźmi, w myślach odhacza, kto jest, kogo nie ma. Niedługo zadzwoni do Alice Crandall Center sprawdzić, czy pojawił się tam ktoś z jego podopiecznych. AC, jak go nazywają, to darowizna od zamożnej dobrodziejki, która ofiarowała swoją wiktoriańską kamienicę

8 - Dobry pies

miastu na przytułek dla bitych i bezdomnych kobiet. Zasady są tam surowsze niż w Fort Street Center, ale dwójkę dyrektorów łączą przyjacielskie stosunki.

Adam z ulgą widzi, że do budynku wchodzi Ishmael; martwił się, że będzie musiał sam obsługiwać taki tłum, a do tego pilnować bema. Ishmael otrząsa się jak pies; krople z dredów opryskują ściany korytarza. Potem upycha włosy pod czapką i siada, żeby zmienić buty na suche, przyniesione w foliowej torebce. On też patrzy na Adama z uśmiechem.

- Dałeś radę, stary.

Co jest, do diabła? Wszyscy się spodziewali, że wykręci się od swojego obowiązku? Adama zaczyna trochę irytować sugestia, że jest mięczakiem, tchórzem, który stawia się do pracy tylko w ładną pogodę. A on tu przecież, cholera, przykotłował na piechotę. Sześć przecznic, równie dobrze mogło to być sześć kilometrów, tyle trwała ta wędrówka.

Już ma powiedzieć Ishmaelowi, żeby się odwalił, kiedy czuje dłoń Dużego Boba na ramieniu.

- Dzwoniłem do ciebie.

- Wcześniej wyszedłem. - Adam wzrusza ramionami. - I jestem.

Duży Bob ściska jego ramię. Jak dobry nauczyciel albo szanowany druh drużynowy - ten drobny męski gest uznania jest wyraźny i porusza w Adamie coś, co on sam uważał za pogrzebane. Tak dawno już nikt go nie chwalił. Za swoje sukcesy był nagradzany premiami. Cieszył się z poklepywania po plecach przez kierownictwo za osiągnięcie celów. Raz nawet dostał brawa od pełnej sali dyrektorów za powerpointową prezentację podsumowującą przejęcie. Wiwatowali wtedy jak piraci wdzierający się na statek z ładunkiem złota.

Jedyna pochwała, jakiej Adam pragnął po blisko dwudziestu latach, to aprobata teścia. Utratę szacunku Herba Carruthersa opłakiwał bardziej niż wszystko inne. Herb Carruthers cenił Adama; nie mając syna, traktował zięcia jak swojego dziedzica. Sterling, skarb tatusia, zapamiętała lekcje swojej towarzysko aktywnej matki i kiedy Adam się oświadczył, uparła się, że musi dostać zgodę jej ojca.

March zaprosił Herba na spotkanie w Harvard Club. Obaj do niego należeli - jeden od niedawna, drugi od pokolenia. Adam kochał klub; uwielbiał to, że mile go tam widziano, że zasłużył na prawo siedzenia w tej sali, równy między olbrzymami już w wieku dwudziestu sześciu lat. Nad grillowanym łososiem ostrożnie przedstawił swój ambitny plan, tworząc obraz przyszłości, która mogłaby się spodobać potencjalnemu teściowi. Bardzo prawdopodobną, zwłaszcza przy wpływach Carruthersa, ale Adam starannie unikał wszelkich wzmianek o oczekiwaniu pomocy. Zamiast tego potwierdził, że ma wizję dobrego życia, w którym Sterling cieszyłaby się wszystkimi prawami i przywilejami swojej klasy. Starszy mężczyzna nie podnosił wzroku znad talerza, pochłaniając jedzenie jak głodny doker. W końcu Adam przerwał i czekał, aż Carruthers coś powie.

Przyszły teść wyczyścił talerz, otarł usta lnianą serwetką i beknął.

- To wszystko? - Marmurowoniebieskie oczy spojrzały na Adama. Źrenice miał małe jak łebki szpilek. To były oczy drapieżnika.

- Nie zawiedzie się pan na mnie. - Adam zamartwiał się, że wyjdzie to zbyt pompatycznie albo że Carruthers wychwyci w tym starannie wyuczonym harwardzkim akcencie Dorchester jego dzieciństwa.

- Jedno pytanie.

- Słucham.

March poczuł ukłucie niepokoju, cień strachu, że Herb może go podziwiać jako cudowne dziecko, ale nie jako przyszłego zięcia.

- Żeglujesz?

Obawy Adama rozplynęły się w ciepłej fali ulgi.

- Nie, proszę pana. — Uczciwa odpowiedź.

- Wejdiesz do mojej rodziny, to będziesz musiał.

Herb Carruthers wstał i podał mu rękę. Dobili targu.

Wielka dłoń Dużego Boba wyciska z Adama szorstkie emocje. Całe życie brakowało mu kogoś, kto autentycznie jest z niego dumny.

- Muszę się brać do roboty.

Godzinę później Duży Bob dołącza do reszty mężczyzn w kuchni.

- Ciekawe gdzie Jupi?

Ishmael nakłada do miski zupę z bakłażanów na maśle orzechowym, posypuje ją pietruszką i stawia na tacy.

- Ma fioła na punkcie swojego kundla. Może nie przyjdzie, skoro psu nie wolno tu wchodzić.

- Dzisiaj nikomu nie zabraniam. Slicker wziął ze sobą psa. Oczywiście wsadził go do kieszeni, ale wie, że ja wiem, co tam trzyma. - Duży Bob bębni palcami w metalowy blat. — Nie, ostatnio Jupi zachowywał się, jakby nie brał leków. Właściwie wczoraj też go nie widziałem.

Adam stawia na barmie nową tacę ziemniaków.

- Sprawdzałeś w szpitalach?

- Zazwyczaj zaczynam od policji. W porządku. Jakby

Adam przenosi ją na blat.

- Czyli Jupi jest umyślowo chory?

- Nie wolno nam tego mówić, ale jeśli już, tobym powiedział, że to jeden z tych geniuszy, którym w końcu coś wysiada w głowie. Był profesorem na MIT czy gdzieś. Loty kosmiczne. Dlatego nazywają go Jupiter.

- Myślałem, że to weteran.

- Gdzie tam. Dostał te ciuchy ze sklepu z demobilem. Mnóstwo gości je nosi, żeby nikt się nie czepiał. Nie, to profesor. Zacznij z nim gadać o gwiazdach, to się nasłuchasz.

- Myślisz, że tam się przeniósł?

- Mam nadzieję, że nie. Zamarznięcie na śmierć... nic przyjemnego.

- To co? Nie przychodzi z powodu tego czworonoga?

- Może.

- Dlaczego ktoś miałby zrezygnować z ciepła i jedzenia ze względu na psa?

- A podczas Katriny? Ludzie nie dawali się ratować, bo ekipy nie pozwalały im zabierać zwierząt. To się nazywa oddanie, stary.

- To obłąd.

- Czy ja wiem?

Ishmael nakłada ostatnią porcję zupy i skinieniem głowy każe Adamowi zabrać kocioł.

- Mam nadzieję, że przyjdzie.

- Ja też.

Na zewnątrz wieje jeszcze mocniej, wichura nieustannie gwizdże o róg budynku. Opustoszałymi ulicami pędzą małe trąby powietrzne. Światła mrugają, na chwilę gasną, potem znów się zapalają. Adam myśli o Ginie i jej akwariowych rybkach.

Śnieżyca ucichła nad ranem następnego dnia. W pełnym świetle obudziłem się ze snu o ucieczce i odkryłem, że przed naszym przepustem stoją ludzie. Nie wiem, dlaczego nikt z nas ich nie usłyszał ani nie wyczuł. Za to śnieg udeptany wokół wejścia do prowizorycznej nory obwieszcział obecność zgrai psów głośno i wyraźnie; nie potrzebowali nosów ani uszu, żeby nas znaleźć. Wesołe labradory latały w tę i z powrotem, za każdym razem zostawiając wielkie, bijące po oczach ślady, które wprost wołały „Tutaj!” Szkoda że od razu nie kazaliśmy im spadać.

W pierwszym odruchu, tak samo jak reszta, chciałem prysnąć. Pobiegliśmy do drugiego końca przepustu, ale to byli zawodowcy. Znaleźliśmy się w pułapce, ludzie stali z obu końców w wielkich buciorach, ze sznurami i tyczkami w rękach, przynieśli nawet karabin na pociski usypiające.

Labradory wyszły niezdarne i szczęśliwe, że ktoś się nimi zajmie. Miałem nadzieję, że jeśli ludzie znajdą zaginioną dwójkę, reszcie nas odpuszczą. Ale nie.

Chuda suka spróbowała się przedrzeć; zygzakiem puściła się między długimi nogami stojącymi po kolana w śniegu. To śnieg ją zgubił, nie mogła biec i zakopała się, szczekając z frustracją. Czyjaś ręka bez wysiłku podniosła sukę i zapakowała do

pudła; ujadanie, choć stłumione, nie ucichło.

Spojrzałem na mentora. Spuścił kanciasty łeb, obnażył zęby. Nie warczał, ale wargi drżały mu ostrzegawczo. Nagle zrozumiałem, że popełnia błąd. Mój jedyny pobyt w niewoli nauczył mnie, że trzeba być miłym. Mentora też kiedyś złapali, świadczyła o tym tabliczka na obroży, ale zamknięcie teraz, kiedy jego kompan zaginał, nie wchodziło w grę. Przywiązanie do człowieka, bardziej przypominającego nas niż swój własny gatunek, skrzywiło mentorowi myślenie.

Jak go znajdę? Nie będzie wiedział, gdzie jestem.

Zaskomlał, wydał żalony, słaby dźwięk. Natychmiast zdał sobie sprawę, że to nieprzystojny pokaz słabości, i przeszedł ze skomlenia do warkotu na cały regulator. Fafle w górę, zęby na wierzch. Nie brać jeńców.

Ale to nas zabrali.

Mnie to nie przeszkadzało. Trafiłem do tego samego schroniska, gdzie byłem na leczeniu. Jedzenie niezłe, do tego ciepło i sucho. Fakt, niewola, ale z przyjemnością spędziłbym tam kilka dni, kiedy na dworze taka pogoda. Nie zamierzałem zostawać na długo.

Próbowałem powiedzieć to mentorowi, ale on nie rozumiał. Wpadł w panikę i nic, co mówiłem, nie mogło go uspokoić. Bez przerwy tylko warczał.

To go zgubiło.

Adam przepycha się obok bezdomnych kucających w wąskim korytarzu na parterze; są najedzeni, rozgrzani i nie chcą wychodzić, dopóki śnieżycy na dobre nie minie. Pługi zgarnęły zasy z ulicy, na idealnie białych przyzmacz śniegu skrzy się słońce. Mike odśnieża chodnik przed ośrodkiem.

Większość bezdomnych spała w pokojach sypialnych na górze, inni nie, drzemali skuleni pod ścianami, cały czas czujni, jakby nie byli w bezpiecznym Fort Street Center, ale na ulicach miasta. Adam spędził w ośrodku całą noc, po części dlatego, że nie zamierzał znów pokonywać tych zdradzieckich sześciu przecznic w wicherę, nawet bezśnieżną. Chociaż Rafe i Ishmael bez wahania położyli się w małym pokoju przeznaczonym dla „personelu”, Adam nie mógł się zmusić, żeby zasnąć jak szczenię między kolegami z pracy, na śpiworach wątpliwej czystości. Duży Bob też całą noc nie spał, razem z Marchem przysypiali na fotelach w biurze, z przerwami co godzinę na telefon na policję i do innych schronisk w poszukiwaniu Jupitera.

Minęły blisko dwadzieścia cztery godziny, odkąd Adam przyszedł do ośrodka przewiany i zmarznięty. O dziewiątej wydał poranną kawę i pączki, dar z miejscowej

cukierni. Ma nadzieję, że Duży Bob pozwoli mu iść do domu, skoro ulice są już oczyszczone, a chodniki powoli odśnieżane. Jest, cholera, wolontariuszem, musi odrobić tylko dwadzieścia godzin tygodniowo, a przepracował już dwadzieścia jednego dnia.

- Zrobisz mi przysługę? - Duży Bob zakrywa dłonią słuchawkę telefonu.

- Jasne. - Adama nachodzą złe przecucia. Przysługa. To słowo zawsze, niezależnie od życiowej sytuacji, skłaniało jego umysł do pospiesznego wymyślenia powodów, żeby odmówić. — Wal.

- Skocz do Memoriał i sprawdź, czy jest tam Jupiter.

Rzednące blond włosy Dużego Boba sterczą, targane mięsistymi dłońmi jak tłuste łany zboża wiatrem. Przekrwione jasnoniebieskie oczy wpatrują się w Adama.

- Naprawdę chciałbym już iść do domu. - Ostatnie, na co March ma ochotę, to gwizdać do pobliskiego szpitala i szukać bezdomnego, który pewnie przez własną głupotę zamarzył na śmierć w jakimś zaułku.

- To po drodze. - Głos Dużego Boba przypomina jego własny z poprzedniego życia. Asertywny, zwracający uwagę i niedopuszczający sprzeciwu.

- Jak go znajdę? Nie pozwolą mi łązić po salach.

- Pogadasz z Pam Stone, to oddziałowa z szóstego piętra. Jeśli już, to tam trafił. Ona ci pomoże.

- Nie lepiej do niej zadzwonić?

Duży Bob podnosi się z krzesła, opiera dłonie płasko na biurku. Adamowi przychodzi na myśl Niewiarygodny Hulk.

- Nie może powiedzieć. Kwestie poufności.

- Czyli mam wmaszerować do szpitala, spytać o wariata w wełnianej czapce, być może bredzącego coś o głosach z kosmosu, a oni mnie skierują, gdzie trzeba?

- March, nie używamy tu słowa „wariat”. A on może być nieprzytomny, nie do zidentyfikowania.

- Albo martwy.

Duży Bob siada ciężko na swoim umęczonym fotelu, wraca do stanu sprzed Hulka.

- Albo martwy. Zobacz w kostnicy.

Po izbie przyjęć w pogodnych kolorach wizyta na oddziale na szóstym piętrze jest nagłym skokiem w lata pięćdziesiąte. Upchnięty w najstarszym skrzydle miejskiego szpitala, jako jedyny został nietknięty podczas renowacji. Pachnie tu dokładnie jak w szpitalu. Takim, który przyjmuje bezdomnych i biednych. Podobnie jak w ośrodku. Lizolem i brudnymi ubraniami wciśniętymi w foliowe worki. Jarzeniówki rzucające zielonkawe światło na spękane linoleum, poręcz na wysokości biodra na beżowej ścianie, bez choćby jednej pseudoakwareli, żeby złamać czymś monotonię. Adam prześlizguje się obok mężczyzny na wózku inwalidzkim, nie patrząc na niego.

- Szukam siostry Stone.

Znajduje jedyną poruszającą się o własnych siłach osobę na piętrze, młodą wolontariuszkę z uparcie wesołym uśmiechem na spłoszonej twarzy; aparat na jej zębach lśni w seledynowym świetle.

- Jest u pacjenta.

- Zaczekam.

W pobliżu nie ma żadnych krzesel, więc Adam opiera łokcie o blat dyżurki pielęgniarek, z policzkiem na pięści. Szum urządzeń nad jego głową dopplerowsko faluje; Adam przysypia. Cicho i głośno, cicho i głośno. Dryfując po bezkresnym oceanie wyczerpania, March walczy, żeby nie zamknąć oczu.

- Mogę w czymś pomóc?

Wyrwany z drzemki z zawstydzeniem czuje wilgoć w kąciku ust. Stoi przed nim wysoka kobieta w średnim wieku, jej różowy uniform ostro kontrastuje z beżem korytarza.

- Szukam człowieka. Jednego z naszych... - Adam się waha. Jakim słowem Duży Bob określa podopiecznych? - Jednego z naszych gości z Fort Street Center. Nie przyszedł do ośrodka w czasie zamieci. Ma problemy z głową. Może jest tutaj?

- Jak się nazywa?

Szlag by trafił Dużego Boba. Nie powiedział nazwiska.

Adam wzrusza ramionami.

- Mówią na niego Jupiter.

Pamela Stone mocniej splata ręce na jaskraworóżowej piersi. Adam spuszcza wzrok, nie może znieść pełnego dezaprobaty spojrzenia. Pielęgniarka ma na nogach miękkie gumowe crocsy, też różowe.

- Wie pan, że nie udzielam informacji o naszych pacjentach?

- Tak, oczywiście. Duży Bob sugerował, że mimo to może nam pani jakoś pomóc. Chcemy tylko się upewnić, że nic mu się nie stało.

- Gdyby szedł pan korytarzem i zobaczył, że leży tu pana znajomy... nic na to nie poradzę. A tak się składa, że jest pan krewnym.

- Ale ja...

Pam Stone podnosi palec, prawie dotykając nim ust Adama.

- Nie słyszałam, żeby pan mówił, że nim nie jest, więc muszę założyć, że pan jest.

Adam nachyla się do jej ucha.

- Ja nawet nie wiem, jak on się nazywa.

Nagle czuje zawstydenie, przypomina sobie, że nie mył zębów, że w ogóle się nie kąpał.

- Abernathy. Charles Abernathy.

Pam Stone odwraca się i odchodzi w burzy wściekłego rózu.

Dobra, załatwione. Jest tutaj. Mogę wracać do domu. Adam wyciąga komórkę, chce zadzwonić najpierw do Dużego Boba, potem po taksówkę.

- Nie wolno używać komórek. Zakłócają pracę urządzeń. — Nastoletnia wolontariuszka z klamrami na zębach grozi Adamowi palcem, potem marszczy brwi.

- Nie znoszę tego przepisu.

March wpycha telefon do kieszeni i rusza korytarzem do wind. Duże okno na końcu korytarza filtruje zimowe promienie słońca przez osłonę z siatki; Adam mruży oczy porażony jasną szpilą światła. Mija czworo drzwi szerokich na tyle, żeby zmieścił się w nich wózek inwalidzki; każde z nich otwierają się na sale z pacjentami. Słońce sprawia, że Adam odwraca się i siłą rzeczy zagląda do środka, ale ustawienie łóżek nie pozwala mu zobaczyć chorych. Czwarte drzwi prowadzą do większego pomieszczenia z trzema łózkami. Na tym najbliższej okna - podniesiony pod kątem trzydziestu pięciu stopni i przez to lepiej widoczny z korytarza - leży chudy Jupiter. Adamowi przynajmniej tak się wydaje. Ten tutaj jest gładko ogolony i nie ma czapki. Włosy na poduszce są żółtawe z pasmami siwizny i długie, ale zaczesane w tył, jakby ktoś się nim zajął. Adam czuje w brzuchu kłęb paniki, nie może zdecydować: uciekać czy pójść odwiedzić chorego człowieka, którego zna tylko z drugiej strony bębora.

Jupiter, Charles Abernathy, zauważa Marcha.

W tej jednej chwili Adam mógłby pójść dalej, udawać, że oślepiiony słońcem nie dostrzegł pacjenta. Zadzwoń do Dużego Boba i jazda do domu. Przysługa wykonana.

Ale facet się uśmiecha. To odruchowy uśmiech na widok znajomej twarzy. Nawet z odległości całego pokoju Jupiter poznaje Adama i woła do niego, jakby zebrał na ulicy:

- Hej, kolego!

Jasna cholera.

Kurtka nagle nabiera ciężaru ołowiu. Adam ją rozpina i zdejmuje, potem wchodzi do sali i staje obok łóżka.

- Co słychać?

Uśmiecha się jak stewardesa, szeroko i nieszczerze.

- Trochę mi wstyd. Czasami wydaje mi się, że mogę się obyć bez leków, i za każdym razem okazuje się, że nie mam racji. Wysyłają mnie z powrotem do szpitala psychiatrycznego na regulację. — Jupiter zaznacza palcami w powietrzu cudzysłów przy słowie „regulacja”. — Ale muszę cię prosić o wielką przysługę.

Zupełnie jakby się Adama spodziewał.

Dwie przysługi jednego dnia. March zgrzyta zębami.

- Zobaczę, czy dam radę pomóc.

- Mój pies. - Z bladobłękitnych oczu płyną łzy. - Nie mam pojęcia, gdzie jest.

- Nic mu nie będzie.

- Nie, ja muszę wiedzieć, czy mu się nie stało nic złego. Muszę wiedzieć, gdzie jest. Pewnie trafił do schroniska.

- Nosi tabliczki, zatrzymają go.

- Są stare. I z innego psa. Nie zdjęłem ich tylko dlatego, żeby się mnie nie czepiali.

- Nawet jeśli, nie martw się o niego. Powinieneś się martwić o siebie.

Jupiter zaczyna płakać na dobre.

- Nie mogę się przestać martwić, a kiedy się martwię, nie słucham lekarzy. - Nagle

gwałtownie siada. - Wychodzę stąd. Podaj mi spodnie.

- Daj spokój. Leż.

Do diabła, teraz będzie odpowiedzialny za dezercję, czy jak tam się nazywa wyjście ze szpitala przed wypisem.

- Nie. Benny to moje całe życie.

Jupiter szlocha głośno, żałośnie. Zsuwa chude nogi z łóżka. Napinają się kable biegnące pod cienką piżamą do monitora zapisującego czynności życiowe. Gdzieś w korytarzu odzywa się brzęczyk.

- Dobrze już, dobrze. Uspokój się. Pójdę. - Adam chce tylko, żeby Jupi z powrotem się położył. Widok tych chudych nóg z topografią gruzłowatych żył i sterczących kolan to dla niego za dużo intymności. Łatwiej się zgodzić, niż walczyć z facetem i ściągnąć sobie na głowę tę różową pie- lęgniare. - Cśś, spokojnie. Pojadę do schroniska.

- Naprawdę? Obiecujesz? - Łzy przestają płynąć; pokaz szczerbatego uśmiechu.

- Wracaj do łóżka, to sprawdzę.

Jupi posłusznie wykonuje rozkaz, a Adam ucieka do windy.

- Przechowaj go, dopóki nie wyjdę. To nie będzie długo, obiecuję. Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję!

Drzwi windy odcinają krzyki uszczęśliwionego Jupitera.

Alówię ci, zamknij się.

Jak leciała ta piosenka? Kiedy uczeń staje się mistrzem? Tak właśnie było ze mną i mentorem. Bóg jeden wie, jak mogłem kiedyś myśleć, że ten skamlący, ujadający, tchórzliwy, agresywny ze strachu gnojek jest wart mojego podziwu. Powtarzałem mu, uspokój się. Nie kłap za każdym razem, kiedy ktoś przychodzi cię nakarmić. Co za dureń. Ale on nie odpuszczał. Nie mógł znieść odseparowania od swojego człowieka. Szczerze mówiąc, ja tego po prostu nie rozumiałem. Wiem, że wielu z nas łączy z ludźmi więź, ale niewolnicze oddanie po tylu dniach rozłąki wydawało mi się lekką przesadą. Jesteśmy psami, nie powinniśmy pamiętać wiele poza tym, co nam wpojono tresurą. Idziemy dalej.

Ja z kolei grałem jak zawodowiec. Uwieeelbiam ludzi. Cacy-cacy. Tak, pocałuj mnie w mój paskudny poharatany nochal. Daj mi dom, gdzie karma sypie się bez końca, a piszczących zabawek obfitość. Spodziewałem się, że powtórka mojego

poprzedniego zachowania zagwarantuje mi siedlisko, z którego łatwo uciec. Oczywiście zamierzałem zaczekać do wiosny. Koniec z zimami na ulicy. Czego nie wziąłem pod uwagę, to braku chętnych w lutym. Wygląda na to, że wszyscy pragną wiosennego szczeniaka albo nie podoba im się perspektywa codziennego spaceru, kiedy temperatura spada poniżej zera, a wiatr wydaje się arktyczną wichurą. Ludzie naprawdę chcą mieć psa tylko w lecie.

Personel był dla nas miły, a poprzednie doświadczenia uodporniły mnie na życie w klatce, ale okropnie się nudziłem. Zdążyłem już przywyknąć do samowolki, buszowania po swoim wyznaczonym terytorium, witania sąsiadów, sprawdzania śmietników. Nie licząc codziennego spaceru na smyczy w tę i z powrotem po ulicy i jedzenia dwa razy dziennie, nie miałem co robić. Spałem. Co akurat jest przyjemne, ale naprawdę chętnie zobaczyłbym się z paroma starymi znajomymi, a odkąd mentor zniknął za drzwiami na końcu korytarza, zza których się nie wraca, nie miałem wokół siebie nikogo, kto znałby mnie z czasów ulicy.

Wprost zdychałem z nudów.

Jeśli Adamowi się wydawało, że szpital śmierdzi, to schronisko dla zwierząt z łatwością przebiło tamto obrzydzenie dodatkowym, gryzącym odorem zwierzęcych sików. Nawet w błyszczącej od czystości recepcji miejskiego schroniska - słowo „przysłup”, jak się dowiedział, jest politycznie niepoprawne — Adam czuje unoszący się zapach nadmiernie podekscytowanego zwalnianego więźnia.

- Szukam jednego psa. Jego właściciel jest w szpitalu.

Adam czekał trzy dni, zanim rozpoczął polowanie na kumpla Jupitera. Po wyjściu ze szpitala poszedł prosto do domu i resztę dnia przespał. Obudził się, wstał, zjadł miskę płatków z mlekiem i położył się z powrotem - to była pierwsza noc od miesiąca, kiedy nie zaaplikował sobie szkockiej i nie miał snów. Kiedy taksówka podwiozła go pod budynek, zapłacił i przebiegł przez ulicę do zoologicznego. Drzwi były zamknięte na klucz, ale w środku jaśniała niebieskozielona poświata akwariowych lamp. Gina najwyraźniej przetrzymała śnieżycę i wróciła do domu.

129

Przez następne dwa dni Adam był za bardzo zajęty spotkaniami, prawnikami, psychologiem i praniem, żeby chociaż sprawdzić, gdzie jest miejski przysłup. Schronisko dla zwierząt.

9 - Dobry pies

- Kiedy ten pies mu się zgubił?

- Nie wiem, chyba w tę śnieżycę - odpowiada młodej kobiecie z włosami ściągniętymi w kucyk, w fioletowym kitlu i oczywiście crocsach. Czy już wszyscy w medycznych zawodach noszą te głupie klapki? Jak ktokolwiek odróżnia jeszcze pielęgniarki od salowych, od lekarzy, od weterynarzy, od recepcjonistek?

- Jaki to pies?

Adam wraca myślą do spotkania z Jupim i jego kundlem na ulicy, potem na schodach ośrodka.

- Krótka sierść, ciemny. - Tak mało uwagi zwracał na psa Jupitera, że teraz czuje się, jakby próbował przypomnieć sobie jakiś detal z cudzego życia. — Chyba tu i tam biały. Tej wielkości. - Kreśli linię przy kolanach. - Wabi się Benny.

- Terier?

- Nie. Raczej bokser, ale z ogonem. - Adam jest coraz pewniejszy swojego opisu.

- Pitbul?

Wzrusza ramionami.

- Nie wiem. A co?

Dziewczyna skubie dolną wargę dwoma palcami.

- Muszę porozmawiać z szefem. Proszę wypełnić, ile pan może. - Wpina formularz w podkładkę z długopisem przywiązany do klamry kawałkiem sznurka. Cały zestaw przesuwa po wysokiej ladzie do Adama. - Dobro psa jest dla nas najważniejsze.

- A zwrócenie psa właścicielowi pod to nie podpada?

Dziewczyna robi zakłopotaną minę.

- Proszę poczekać tam. - Wskazuje dwa plastikowe pomarańczowe krzesła.

Marchowi zaschło w ustach. Doktor Stein mówi, żeby Adam rozpoznawał objawy nadchodzącej wściekłości po swojej postawie, smaku w ustach, drzeniu rąk. Ma głęboko oddychać i odepchnąć od siebie powód irytacji, zanim jej poziom za bardzo wzrośnie. W recepcji jest automat z wodą, ale bez kubków. Adama trochę kusi, żeby się nachylić i napić z kurka. Rozmyślnie się garbi, potem porusza ramionami w przód i w tył, strząsając napięcie. Kręci głową, kiwa nią na boki. Proszę. Teraz uśmiech. Jest dumny, że radzi sobie z frustracją trochę lepiej niż kiedyś. Kolejki na pocztę,

stanie w korku już go tak nie wkurzają. Adam nie kojarzy tego z wolnym tempem swoich dni czy brakiem sensownego zajęcia; uważa, że po prostu robi postępy; idzie w stronę tego, co doktor Stein nazywa zrównoważeniem.

- Panie, ee...? - Zwalisty mężczyzna z kucykiem wchodzi energicznie przez wahadłowe drzwi dzielące recepcję do reszty placówki. Ma niebieski uniform i, jak można było przewidzieć, niebieskie crocsy.

- March. Adam March.

- Doktor Gil. - Napis na identyfikatorze mówi co innego, Gilbert Dufrense. Doktor Gil.

Jak miło. Staruszki od kotów na pewno za nim przepadają.

Adam podaje podkładkę i czeka w milczeniu, gdy weterynarz studiuje formularz.

- To nie pański pies? - Po raz pierwszy doktor Gil podnosi wzrok, patrzy na Adama.

- Sądziłem, że recepcjonistka przedstawiła panu sytuację. Mam chorego znajomego, jego jedynym zmartwieniem jest odzyskanie psa.

Doktor Gil kładzie podkładkę na ladę i wskazuje twarde plastikowe krzesła. Adam nie rusza się z miejsca. Już stracił pół poranka na tę wyprawę.

- Panie March. Tu obowiązują pewne zasady.

- Nie macie tego psa, prawda?

- Mieliśmy. Tak mi się wydaje.

- Nasuwają mi się na myśl dwie rzeczy. Po pierwsze, może najlepiej pójść poszukać. Po drugie, najwyraźniej są tu zagrożone prawa obywatelskie chorego człowieka.

Adam żałuje, że się nie ogolił przed przyjściem, nie włożył czegoś innego niż codzienne dzinsy i sprana bluza z logo Red Soksów.

Weterynarz w niebieskim w zamyśleniu dotyka palcem brody. Adam zauważa, że doktor Gil nadal ma na dłoniach lateksowe rękawiczki, jakby zapomniał, że są właśnie po to, żeby go chronić przed kontaktem z zarazkami.

- Przywieziono do nas dwa psy w typie pitbula. Jednego znamy. Drugi był... agresywny.

Adam wzrusza ramionami.

- Benny prawdopodobnie nie jest agresywny. - Próbuje sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział, jak pies Ju- piego zachowuje się agresywnie, albo przeciwnie, przyjaźnie. Nic takiego nie pamięta, ale logika podpowiada mu, że pies bezdomnego będzie taki albo taki. Przypuszczalnie coś to znaczy, że nigdy nie zauważył, żeby ktokolwiek poza Ju- pim głąskał tego kundla. - Może załatwmy to w najłatwiejszy sposób i pójdźmy zobaczyć, czy ten pies tu jest - sugeruje znów Adam.

Doktor Gil nagle zrywa rękawiczki, zwija je w kulkę i rzuca nad ladą do kosza na śmieci, jakby to był najradośniejszy moment jego dnia.

- Dobra.

Idą krótkim korytarzem obok drzwi z napisami „Chirurgia”, „Pokój badań numer 1”, „Pokój badań numer 2”.

Adopcje.

Na końcu korytarza są wahadłowe drzwi bez tabliczki. Doktor Gil otwiera je i wkraczają w kakofonię szczęknięć, skomleń, warkotów, zawodzenia i wycia. Zgiełk przypomina parkiet na Wall Street. Do tego dochodzi grzechot drucianych drzwiczek i przewracanych metalowych misek, stukot pazurów stepujących po betonie i po metalowych podłogach górnych klatek. Przywodzi to na myśl filmy o więzieniach.

- Te psy są do adopcji?

- Niektóre. Inne idą do domów zastępczych.

- Czyli? - Adam wie, co to znaczy w odniesieniu do dzieci. Tyle że w przypadku zwierząt brzmi to jakoś lepiej. Łagodniej.

- Trafiają do tymczasowych domów, żeby sprawdzić, czy się nadają do ludzi.

- A inne? Do adopcji?

- Nie zawsze.

Jak on.

Pracownik opieki społecznej sadza go i tłumaczy mu, że nie ma szansy na prawdziwy dom. Jesteś już dużym chłopcem, Adamie. Niedługo poradzisz sobie sam.

March rozgląda się po pyskach przyciśniętych do krat. Uszy są nadstawione w jego stronę; wyobraża sobie, że psy nie mają pojęcia o swoim beznadziejnym położeniu. Odrzuca go smród, połączenie mokrej gazety i płynu do czyszczenia. I zwierzęcia. Weterynarz idzie przed nim, pokazuje kolejne klatki, po lewej i po prawej, wymienia

rasy, do których mieszkańcom klatek najbliżej.

- Owczarek niemiecki?

- Nie.

Nieduży, czarno-łowy pies z jednym oklapniętym uchem bez przekonania podnosi wargę do warkotu.

- Beagle?

Zdecydowanie pies tropiący. Załzawione oczy, spojrzenie pełne poczucia winy.

- Nie.

- Border collie?

- Proszę pana, mówiłem, że to czarno-biały, krótkowłose pies.

Puchaty border collie patrzy na Adama jednym okiem niebieskim, drugim brązowym.

- Opisywanie zwierząt jest bardziej sztuką niż nauką. Dla jednego pies z krótką sierścią, dla innego labrador.

Dotarli do końca. Został jeden kundel, ale Adam doszedł już do wniosku, że czworonoga Jupiego dawno nie ma. Właśnie zamierza zapytać, czy w mieście jest jeszcze jakieś schronisko, kiedy widzi tego ostatniego. W tymczasowym kojcu, nie w klatce. Jedynie z miską wody, jakby trafił tu tylko na chwilę. Jakby niedługo miał iść gdzie indziej. Jakby był na końcu kolejki.

To ciemny pręgowany pies; jedno ucho obwisłe, z drugiego została poszarpana połówka. Na piersi biała plama, a na niej wąska, wciąż niewygojona do reszty blizna, świecąca różowo w blasku jarzeniówek. To zwierzę wyróżnia się z ujadającej reszty tym, że siedzi z milczącą godnością. March staje przy drzwiach klatki, wplata palce w metalowe oka; pragnie, żeby to był kumpel Jupiego. Pies podnosi wzrok i patrzy mu w oczy. Otwiera pysk, wywala długi, szeroki jęzor. Wstaje i łagodnie macha ogonem. Wygląda jak ktoś, komu została ostatnia iskierka nadziei.

- To ten.

- Jest pan pewien?

Wręcz przeciwnie.

- To on.

- Nie może pan adoptować psa za kogoś innego.

- Więc wezmę go na „dom zastępczy”, dopóki Charles nie wróci do siebie.

- Proszę pana. Ja wiem. Chce pan wyświadczyć przysługę przyjacielowi. Ale tu obowiązują pewne zasady - powtarza doktor Gil i kładzie rękę na zasuwce. Pies przekrzywia łeb, ciekawy, co będzie dalej. - Zwłaszcza w przypadku takich psów. To mieszaniec pitbula.

- Ale pan, weterynarz, wolałby go zabić bez sądu?

- Ma blizny. Brał udział w walkach. Takie zwierzęta z zasady się nie oswajają.

- Ależ on już jest oswojony. - Adam czuje przyływ gniewu; nie należy do osób, którym można się sprzeciwiać; to on zawsze mówi „nie”. - Wpłacę kaucję.

Zapada długie, niezręczne milczenie, obaj mężczyźni patrzą sobie w oczy. W końcu doktor Gil kręci głową.

- Będzie pan musiał wypełnić dokumenty adopcyjne, zaświadczyć, że albo posiada pan własny dom, albo pana wynajmujący pozwala trzymać psa.

- Mam lepszy pomysł. - Obok stoi wieszak z kolczatkami i smyczami. - Wezmę go i dam wam dużą darowiznę. - Adam ściąga smycz z wieszaka.

- Zapłaci pan dwieście dolarów standardowej opłaty adopcyjnej i podpisze zobowiązanie, że nie odda psa.

- Chyba że prawowitemu właścicielowi.

- Przyprowdzi go pan tu z powrotem, jeśli nie będzie pan go chciał dłużej trzymać.

- Weterynarz splata ręce na potężnym torsie. - Takie są zasady.

Adam nie rozumie, dlaczego się kłóci z facetem, wie tylko, że nie zamierza się ugiąć przed tym nadętym weterynarzyną, który nie dałby sobie rady jako prawdziwy lekarz, więc zajmuje się zwierzętami. Jest zdeterminowany wyjść ze schroniska z tym cholernym kundlem. Grubas w niebieskim nie będzie mu mówił, że nie może sobie zabrać psa i tak przeznaczonego do uspienia. Adamowi nie chodzi o pieniądze, nie dostanie zwrotu opłaty adopcyjnej. Nie będzie pobierał żadnego zasiłku. Nikt go nie pochwali za humanitarne postępowanie. Nie otrzyma tytułu zastępczego ojca roku, jednocześnie uprzykrzając życie jakiemuś niewinnemu dzieciakowi. Grożąc paskiem, jeśli znajdzie ręcznik na podłodze.

Adam się prostuje. Co on, do licha, wyprawia? Nagle podpisuje papiery, nagle wychodzi ze schroniska z Visą zadłużoną na kolejne dwieście dolarów, których nie

ma nadziei splącić, i prowadzi na smyczy psa, który - z całą pewnością - nie jest kumplem Jupitera.

Stają na chodniku i czekają, żeby przejść na drugą stronę, do samochodu. Adam zerka na psa. Ten patrzy na niego, wywalając język, jakby nie posiadał się ze szczęścia.

- Lepiej, żebyś nazywał się Benny.

Adam szarpie smycz i obaj przechodzą przez ulicę.

Alam jego psa. - Adam zagląda do pokoju Dużego Boba. - Co z nim zrobić?

- Jupi tu jest.

Adamowi czoło pokrywa cienka warstewka potu. Dzięki Bogu. Mimo swoich zapewnień składanych weterynarzowi, nie zamierza brać psa do domu. W tej chwili pitbul siedzi na tylnym fotelu lexusa, z uchylonym oknem i ręcznikiem na kremowej skórzanej tapicerce. Adam nie ma pojęcia, czy bydlę będzie spokojne, czy zdemoluje mu samochód.

- Jak on się czuje?

- Lepiej. Jest bardziej sobą. Ale ucieszy się, gdy zobaczy psa. Odkąd tu przyszedł, mówi tylko o tym, że znajdziesz jego kumpla. Przepraszam, że to spadło na ciebie, ale zapiszę ci za to dobry uczynek.

To eufemizm na punkty zbierane podczas pracy społecznej. Każda godzina spędzona w ośrodku jest odnotowywana; „Dobry uczynek” w słowniku Dużego Boba oznacza jedną godzinę mniej do odsłużenia. Oczywiście Adam właśnie zmarnował kilka godzin i dwieście dolarów, ale postanawia o tym nie wspominać.

- Pójdę po psa.

Wnętrze samochodu cuchnie leczniczym szamponem i psim oddechem. Kanciastogłowe zwierzę wita Adama jak zaginionego przyjaciela, merda ogonem, wywiesza język z wielkiej paszczy.

- Chodź. Twój pan chce z tobą zamienić słowo. - Adam wciąga psa po tylnych schodach do ośrodka.

Jupi czeka w pustej jadalni. Już dawno po obiedzie, większość mężczyzn albo poszła, albo siedzi w sali dziennej. Stoły są poskładane i poustawiane pod ścianami. Jupi ma nową wełnianą czapkę, wojskową kurtkę zapiętą pod szyję. Adam widzi, że spojrzenie bezdomnego jest zamglone od legalnych narkotyków. Jupi wygląda jak

człowiek, który dopiero co stanął na stałym lądzie po długiej morskiej podróży.

Adam spodziewa się, że narkotykowy spokój faceta zniknie na widok zaginionego psa; zamierza oddać mu smycz i uciec, zanim tamten zdąży go z wdzięczności uściskać. Ostatnie, na co ma ochotę, to przytulanki. Jest późno, chce wrócić do domu, otworzyć butelkę Johnny'ego Walkera i wyluzować się przed telewizorem. Tylko tego pragnie. Samotności powolnego ośpienia.

- To nie Benny.

- Oczywiście, że to Benny. - Adam wciska Jupiemu smycz do ręki. — Weź go sobie.

Pitbul siada. Wodzi wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego.

- Znam swojego psa. To nie on. To jakiś przybłąda.

- Posłuchaj. Tylko ten był...

Po zapadniętych policzkach Jupiego zaczynają płynąć łzy. Nie łka, nie próbuje ich wycierać.

- Benny? Co się z nim stało? Szukałeś wszędzie?

Adam szturcha smyczą zaciśniętą dłoń Jupiego.

- To dobry pies. No, bierz.

Nagle twarz Jupiego się zmienia, pojawia się jakaś jego dawna osobowość, profesor, ojciec czy dobry mąż.

- Myślisz, że tak łatwo przenieść uczucie? Ze można pokochać cudze dziecko, otrzymane w zamian za własne? Masz w ogóle pojęcie, co to znaczy kochać kogoś albo coś? Mój pies to przyjaciel, towarzysz, ochrona na ulicy. Nie kochałem wystarczająco swojej rodziny ani siebie. Ale kocham Benny'ego.

Równie nagle Jupi znów staje się potarganym, wychudzonym starcem z poprzedniej chwili, potem wzrusza ramionami i odchodzi, zostawiając Adama z umięśnionym czworonogiem.

Pies wstaje, otrząsa się, ziewa.

Adam z wysiłkiem przełyka ślinę. Czuje się pusty jak Blaszyński Drwal. Słyszy w uszach łomot pulsu, wie, że musi coś zrobić, ale utknął, nie ma sił. Pitbul szturcha go w nogę, jakby chciał powiedzieć „chodźmy stąd”.

Duży Bob był świadkiem tej sceny, tak samo Rafe, który stoi w drzwiach kuchni i pociera policzki swoimi dłońmi jak wachlarze. Adamowi wydaje się, że słyszy ciche parsknięcia wesołości; śmieją się jego kosztem. W brzuchu kumuluje się znane uczucie frustracji i porażki, co grozi wybuchem gniewu czającego się tuż pod powierzchnią. Tyle wysiłku dla jakiegoś bezdomnego i taki efekt.

- To dobry pies, człowieku. - Tylko jeden ton dzieli głos Rafe'a od kpiny. - Dam mu coś do żarcia.

Adam powoli się odwraca; nie wie, czy Rafe drwi, czy mówi szczerze.

- Cóż, starałeś się. - Duży Bob nie podchodzi, żeby poklepać go po plecach, właściwie raczej trzyma dystans. — Chyba będziesz musiał go oddać.

- Jasne. Super. — Za pół godziny Adam ma spotkanie z potencjalnym klientem na drugim końcu miasta. — Możecie go przechować, dopóki nie wrócę?

- Nie. To chyba nie najlepszy pomysł.

- Ja go nie mogę wziąć.

- Zawieź go z powrotem po drodze.

- Nie mam czasu. Daj spokój. Znalazłem tego cholernego psa, a przynajmniej bardzo podobnego; chyba nic się nie stanie, jak tu posiedzi dwie godziny.

- Nie. Przykro mi. Na dworze jest zimno, niech zaczeka w twoim samochodzie.

Adam szarpie za smycz przyzwiązaną do kolczatki i wyciąga psa z jadalni na tylny korytarz. Rafe czeka tam z talerzem resztek z obiadu i miską wody. Masywne zwierzę szybko, hałaśliwie czyści talerz i wychłęptuje wodę do dna. Rafe patrzy na nie z taką samą satysfakcją na twarzy, jak wtedy gdy przystaje, żeby poobserwować jedzących bezdomnych.

- Głodomór.

- Chcesz go?

Rafe cicho prychnął i kręcił głową.

- Tam, gdzie mieszkam, nie wolno trzymać zwierząt.

- Szczęściarz z ciebie.

- Poza tym żona by mnie zabiła, jakbym coś takiego przyprowadził do domu.

Adam jest zaskoczony. Rafe nigdy dotąd nie wspominał o żonie. Z drugiej strony,

Adam też się nie zwierzał. To tak, jakby ich życie zaczynało się i kończyło w tej starej wiktoriańskiej kamienicy. Rozmowy kręca się wokół sportu i polityki; różnice dzielące mężczyzn zostawiają bardzo małą płaszczyznę porozumienia; ani Adam, ani Rafe nigdy nie mówią o swoim życiu osobistym, albo bardzo ogólnie.

- No, to może zmieniałby zdanie.

Rafe gładzi policzek palcami, jakby się nad tym zastanawiał.

- Nie.

March zaciska uchwyt na smyczy i odciąga psa, który wciąż wylizuje pusty talerz.

Adam otwiera tylne drzwi lexusa. Przez półtorej godziny wielki kundel wylegiwał się na tylnej kanapie, kiedy Adam produkował się przed grupą przedsiębiorców wyglądających na, słowo, maksymalnie dwanaście lat. W tym czasie bydlakowi udało się zasmrodzić wnętrze i przyozdobić wszystkie szyby odciskami nosa. Na widok „swojego pana” szczerzy się szeroko i wywiesza język. Merda ogonem, tłukąc w skórzaną tapicerkę jak w bęben.

Adam wywleka pitbula za obrozę i maszeruje z nim do drzwi schroniska. Strategiczny odwrót jest lepszy niż całkowita klęska. Odda psa, spróbuje odzyskać pieniądze i zapomni o całej sprawie.

Zamknięte.

Niech to szlag. Dopiero czwarta. W jakich godzinach oni tu urzędują?

Adam się rozgląda. Może gdzieś uwiąże psa, po prostu go zostawi, potem nagra na sekretarkę wiadomość, dlaczego to zrobił. Na pewno ktoś tu przychodzi w weekendy, żeby nakarmić zwierzęta. Równie szybko, jak przychodzi mu to do głowy, odrzuca ten pomysł. Pewnie pozwaliby go o okrucieństwo. Adam March zdecydowanie nie potrzebuje kolejnych kłopotów. W przyszłym tygodniu ma randkę z Johnsonem i żywi złudną nadzieję, że sędzia da mu trochę więcej luzu, może w ogóle odpuści.

- No dobra, głupolu, chyba musisz ze mną zostać. Ładuje potwora z powrotem do swojego upaskudzonego lexusa i jedzie do domu.

Adam ma zaledwie mgliste pojęcie, jak opiekować się zwierzęciem. Nigdy nie zgadzał się na psa w domu. Chociaż Ariel domagała się szczeniaczka, tłustego, czarnego labradora, jakiego przywlekają ze sobą wszystkie inne dzieciaki mieszkające przy Martha's Vineyard. „Dlaczego nie? Dlaczego nie można?” Adam zawsze stanowczo odpowiadał „nie”; czasami zrzucał winę na Sterling. „To by było nie fair wobec twojej mamy, ona ma tyle na głowie”. Córka, nawet jako małe

dziecko, szybko przejrzała ten blef. Adam się wycwanił. „To by było nie fair wobec...” - tu wstawiał imię aktualnej gosposi - „...ona ma tyle na głowie”. Ariel musiała się zadowolić końmi, które przynajmniej mieszkały gdzieś indziej.

Dlatego, stojąc w kawalerce, w budynku bez podwórka, twarzą w twarz z najpaskudniejszym psem na świecie, Adam myśli, że chyba oszalał.

Brązowawy i pręgowany kundel, z białymi plamami i naderwanym uchem, siedzi i gapi się na niego. Co jakiś czas rozdziawia pysk i wywiesza chorągiew języka. Dyszy, oblizuje nos, w prawo, w lewo, potem chowa jęzor. Cały czas patrzy na Adama, jakby czekał na przemówienie albo na taniec ze stepowaniem. Albo na bijatykę.

- Nie przyzwyczajaj się za bardzo, jutro tam wracasz.

Adam grozi mu palcem. Przetyka resztki szkockiej ze

szklanki i zamyka się w sypialni. Rzuca ubranie na podłogę, dolewa sobie whisky z butelki na szafce nocnej, kładzie się do łóżka. Wyczerpanie zalewa go falami i nie pozwala nawet doczytać do końca artykułu w „Business Weeku”. Adam dopija szkocką i wyłącza światło.

Natychmiast słyszy skrobanie pazurów w drewno.

- Idź spać.

Skrob. Skrob. Jak jakiś drapieżca u Stephena Kinga.

- Spokój.

Drapanie staje się rytmiczne, uporczywe.

- No przestań wreszcie.

W ten szczęśliwy dzień, kiedy wyprowadzi się z tej nory, właściciel nie odda mu kaucji, jeśli pies poniszczy drewno. Adam wyskakuje z łóżka i otwiera drzwi.

Drań siedzi, ogonem zamiata podłogę. Pysk ma rozdziawiony. Aur. Aur. Brzmi to prawie jak sylaba. Wstaje cały w skowronkach, widząc, że Adam znów jest w pokoju.

March zatrzaskuje drzwi, kładzie się do łóżka i zakrywa głowę drugą poduszką.

W końcu udało mu się zasnąć. Nieprzytomny, bo nie- nawykły do tak głębokiego snu, wychodzi z sypialni i prawie wdeptuje w psią kupe, starannie umieszczoną przed drzwiami. Pies smacznie śpi na sofie.

Wrzaski i gdakanie dwóch papug w sklepie Giny De- Marco stają się jeszcze bardziej ożywione, kiedy Adam wchodzi tam z psem. Gina jest pochylona nad akwariem z rybkami na dolnej półce. Jej dzinsy biodrówki odsłaniają kuszący fragment ciała tuż pod ostatnim guzkiem kręgosłupa.

Kobieta prostuje się, wykrzywia usta w lekko zaskoczonym uśmiechu, który szybko znika.

- Co my tu mamy? — Odsuwa się, żeby przyjrzeć się psu, potem patrzy na Adama.
- Nie wzięłabym cię za kogoś, kto lubi pitbule.

- Bo nie lubię. — Pies napiera na kolczatkę, chce podejść bliżej do ozdobnej klatki z papugami.

- No dobrze. Czyli to na smyczy to nie pitbul?

- Długo by mówić. - Adam przyciąga psa z powrotem do nogi.

- Skąd go wzięłeś?

- Ze schroniska.

Pogarda Giny nagle znika. Zastępuje ją niechętna aprobata.

- O rany. Gratulacje. Adoptowane psy są najlepsze, zupełnie jakby wiedziały, że zostały uratowane. Mam trzy charty...

- To tymczasowe. - Adam nie zamierza opowiadać całej tej żalosalnej historii. Chce tylko kupić jakieś psie żarcie. - Nie zostaje u mnie.

- Dom zastępczy to też dobra rzecz.

Dom zastępczy. Marchowi nie kojarzy się to z niczym bohaterskim.

- Nie. To nie dom zastępczy.

Gina nie zwraca uwagi na jego zastrzeżenie, jakby był małym chłopcem, który grymasi przy szpinaku.

- Jak się nazywa?

- Nijak. Nie musi się nazywać. Zabieram go z powrotem do schroniska w poniedziałek, kiedy tylko otworzą.

145

- To po co go stamtąd zabrałeś? To są żywe stworzenia, nie można uznać, że źle

leżą, i oddać ich jak jakąś cholerną koszulę.

10 - Dobry pies

- Słuchaj, szukałem psa jednego faceta i to nie ten. Dlatego wraca.

Zwierzę znów napiera na kolczatkę, ostro węszy jasno- brązowym nosem.

- Daj mu szansę.

Przyciągnięty do nogi, pies siada.

Gina opiera się o ladę, znów odsłaniając ten półksiężyc ciała nad džinsami. Sięga do słoika i wyjmuje psie ciastko. Ostrożnie podchodzi do czworonoga, który utkwił spojrzenie w smakołyku. Opuścił głowę, oblizwał wargi.

- Masz, kolego.

Gina podaje mu ciastko, pies pokazuje dobre maniery, delikatnie biorąc przysmak z ręki. Gina wstaje i się uśmiecha.

- Wydaje się grzeczny. Powinieneś go zatrzymać.

Sam pomysł jest nedorzeczny, do listy zmartwień Adamowi brakuje jeszcze paskudnego psiska. Nawet nie wie, czy w jego budynku wolno trzymać zwierzęta, ale zgaduje, że takie psy nie są tam raczej mile widziane.

- Nie mogę.

Gina dotyka dłoni Marcha, jakby chciała go pocieszyć.

- Oczywiście, że możesz. - Znów ten lekki południowy akcent. - On cię lubi.

Podoba mu się jej dotyk na rękę, przekonujący gest kogoś, kto myśli, że może na niego jakoś wpłynąć.

- Ale ja go nie lubię.

- Polubisz. Jest śliczny.

Adam się śmieje.

- Niespecjalnie. Do tego się ślini. I śmierdzi.

- To normalne. - Kobieta gładzi kwadratowy łeb tą samą ręką, którą dotykała Adama. Pies wije się pod jej pieszczotą. Gina przemawia do niego pieszczotliwie,

patrzy na Adama i wzdycha. — Zapewnienie psu dobrego życia po trudnych początkach może dać mnóstwo satysfakcji. Tak było z moimi chartami, a kilku znajomych adoptowało pit- bule.

- To bez znaczenia; na pewno go nie zatrzymam.

- Po co więc go przyprowadziłeś?

- Nie mam żadnej karmy. Zostaje u mnie na weekend, potem wraca.

Teraz Gina patrzy na niego z wymalowanym na twarzy rozczarowaniem.

- Daj mu szansę. Nigdy nie potrzebowałeś, żeby ktoś dał szansę tobie?

Adam omal się nie roześmiał z jej szczerości, z bajkowego zakończenia, do jakiego go namawia.

- Ja zawsze sam dawałem sobie szansę.

- I proszę, dokąd to cię zaprowadziło.

- To znaczy?

- Widzę, jak stoisz całymi dniami przy oknie. Za długo jak na kogoś, kto ma coś lepszego do roboty.

Adam czuje, że się czerwieni, że skóra swędzi go z irytacji. Ma ochotę odwarknąć.

Gina idzie na zaplecze. Wraca z małą torbą suchej karmy, dwoma puszkami i piłką tenisową.

- To wystarczy na kilka dni. Tylko pamiętaj, żeby dawać mu też wodę. — Ostrożnie podtyka psu jeszcze jedno ciastko. - Moim zdaniem robisz błąd.

- Skoro widzisz w nim taki potencjał, z przyjemnością ci go oddam.

- Wziąłabym, ale te trzy charty zajmują bardzo dużo miejsca.

- Ile jestem winien? - Adam wyławia portfel z tylnej kieszeni.

- To prezent. Dla psiaka. Porzucaj mu piłkę. Obu wam przydałoby się trochę ruchu.

- Nie, żadnych prezentów. Zapłacę.

- Nie trzeba. - Pełne wargi Giny zaciskają się w wąską kreskę. Krzyżuje ręce na piersi, zdecydowana absolutnie nie przyjmować pieniędzy.

Adam nie wie, co zrobił nie tak, ale coś zrobił. Wszystkie kobiety posiadają tę

zdolność przekazywania dezaprobaty bez słów. Gina podaje mu torbę z karmą.

- Dziękuję.

- Pewnie lepiej, żeby nie żył, niż żeby żył niekochany.

- Nie żył? Ktoś go adoptuje.

- Mało prawdopodobne.

- Przed chwilą mówiłaś, że twoi znajomi przygarniają pitbule. Dlaczego temu nie miałyby się poszczęścić?

- Gdzie siedział?

- W ostatniej klatce.

- Sprawa jasna. To cela śmierci. Byłeś jego ostatnią szansą.

Pies przestaje ciągnąć smycz, żeby obwąchać wszystko na poziomie nosa, nagle siada. Patrzy na dwoje ludzi, przenosi wzrok od jednego do drugiego, śledząc rozmowę jak sędzia liniowy. Adam odwraca się od lady i prawie o niego przewraca. Uderzenie kolanem w psie żebra jest wystarczająco mocne, żeby zwierzę zaskomlało.

- Hej, dość tego. - Adam szarpie smycz.

- To do mnie czy do psa?

March nie odpowiada, przyciąga mieszańca do nogi i wychodzi. Naprawdę, nie może znieść tej kobiety.

Kiedy czekają na zielone, słyszy, że pies warczy, wydaje z siebie niski gardłowy pomruk wymierzony gdzieś wzdłuż ulicy. Mężczyzna w średnim wieku, w dresie, prowadzi labradora retrievera. Warkot psa przybiera na sile, zmienia się prawie w ryk i Adam prawie upada szarpnięty, kiedy pitbul rzuca się na przybysza. Torba z karmą ląduje na chodniku, piłka tenisowa wypada. Bestia jest tak silna, że trzeba obu rąk, żeby nie sięgnęła labradora.

- Panie, to niebezpieczne zwierzę, załóż mu pan, do cholery, kaganiec, co?

Facet przyciąga pupila do siebie i przyspiesza kroku, mamrocząc coś o przepisach. Pitbul ujada, omal nie wypluwa płuc, jakby samo istnienie biszkoptowego czworonoga było dla niego obrazą. Labrador ogląda się na niego, potem patrzy tęsknie na toczącą się piłkę.

- Spokój! - Adam ciągnie za smycz, ale pies nie zwraca na niego uwagi.

Kiedy tylko mężczyzna z labradorem znikają za rogiem, pitbul siada, oblizuje się, drapie w porwane ucho, potem spogląda na Adama, jakby oczekiwał pochwały.

Trzeba się go pozbyć. Jak najszybciej.

^O^stydziłem się, że musiałem narobić w domu, ale z drugiej strony, skąd miałem wiedzieć, jak się zachować. Nie przyszłoby mi nawet do głowy tutaj brudzić, w końcu to pomieszczenie było niewiele większe od klatki w piwnicy, ale przecież nie dał mi żadnych wskazówek co do właściwego postępowania. Posługiwał się znanym mi językiem; rozumiałem „zamknij się!” i „spokój!”, ale moje własne próby porozumienia nie dały efektu, nie rozumiał mnie. Dlatego nafajdałem w takim miejscu, żeby do niego dotarło. Nie po kryjomu, za meblami, nie ja. Co to, to nie. Tak, żeby wdepnął. Wtedy dopiero zareagował. Znów usłyszałem znajome słowa, ale mnie nie dotknął. Po kilku minutach tyrady miał też dość przyzwoitości, żeby się zawstydzić. „Musiałeś na dwór? Powinienem się domyślić. Nie twoja wina”. No, nie powiedział tego wprost, ale zgarbił się i ukrył twarz w dłoniach, po tym poznałem, że do takiego doszedł wniosku.

Przypiął mi smycz i po trzech biegach schodów wyszliśmy z budynku. Chodnik był odśnieżony, ale na pasie trawy między nim a jezdnią piętrzyły się zasy. Podniosłem nogę, żeby zaznaczyć swoje nowe terytorium na hydrancie, zostałem jednak powleczony dalej, zanim zdążyłem skończyć. Gość w ogóle nie umiał się zachować na spacerze.

A potem, o rany, ale frajda, znaleźliśmy się w takim miejscu, gdzie zapach najróżniejszych łakoci i gumowych zabawek wprost odurzał. Kobieta nawet dotknęła mnie delikatnymi palcami. Czegoś takiego nigdy przedtem nie doświadczyłem i nagle, niespodziewanie zacząłem tego pożądać. Pieszczotliwe odgłosy, jakie wydawała, sprawiły, że zatęskniłem za szczenięctwem. Ach, gdyby tylko tępak na drugim końcu smyczy miał dość rozumu, żeby mnie tu zostawić!

A potem, uwierzycie? Ulicą prosto na mnie idzie jeden z tych labradorów z nocnej śnieżycy; chęłpi się, że jest czymś rozpieszczonym pupilkiem. Chyba mu dałem popalić; kundel pisał ze strachu-agresji i przerobiłbym go na mielonkę, gdyby się odważył urwać tamtemu człowiekowi. Prowadzący mnie facet był zaskoczony, ale miał mocny uchwyt. Biskoptowi się upiekło.

Mężczyzna szarpnął za smycz i wróciliśmy do mieszkania. Jeśli miałem nadzieję na powtórkę z mojego pierwszego przybranego domu, z milutkim podwórkiem, z którego łatwo zwiać, to nic z tego. Zanim zdążył otworzyć kluczem drzwi wejściowe, przykucnąłem. Skoro nie dany mi był luksus ulżenia sobie na podwórku, musiałem załatwić sprawę, zanim wciągnie mnie do budynku. Mam swoje zasady.

Rozpoznawanie zachowania ludzi samców sprawia pewną satysfakcję; a język tego gościa dobrze znałem. Mówił jak moi chłopcy. Mruczał, tak, nie krzyczał. I żadnej przemocy, to prawda. Nie siedziałem zamknięty w klatce, ale trzymał się na dystans, jakby jednak dzieliła nas metalowa siatka. Po prostu czułem, że moja kariera na arenie zacznie się na nowo. W przeciwnym razie po co wykupywałby mnie ze schroniska? Twardziel. Szukał kogoś tak samo twardego jak on. Od samego początku podobało mi się, jak wygląda.

Hej, wiem, że nie jest w formie, ale na pewno niedługo dojdzie do siebie. Właściwie nie mogłem się już doczekać biegów i ciężarów. Niezła z nas para, o tak.

Nasypał mi trochę karmy do plastikowej miski. Dobry początek. Pożarłem ją, zaczekałem na dokładkę. Nie zwrócił na mnie uwagi, siedział tylko i mówił do siebie z tą małą zabawką, którą oni wszyscy pocierają sobie uszy. Nagle wstał i zaklął. Uchyliłem się. Nie jestem dumny ze swoich klatkowych odruchów, rzadko o nich mówię, ale je mam. Uciekłem poza zasięg faceta. Mały stolik zapewnił mi w miarę bezpieczny kąt. Nogi krzesła, nogi stołu, prawdziwa ochronna „jaskinia”. Mogłem z niej wyglądać i obserwować stopy człowieka chodzącego w tę i z powrotem, ale on by mnie nie dosięgnął.

- Co z tobą? - warknął jak pies alfa.

Aur. Uznałem jego dominującą pozycję w naszym dwuosobowym stadzie. Miał ręce, którymi potrafił otwierać puszki, musiałem się ukorzyć.

- Ty cholerny farciarzu. Upiekło ci się. To pieprzone schronisko nie przyjmuje w weekendy. Jasny gwint. Przydałby się im lepszy biznesplan.

Zaśmiałem się. Tych słów nie znałem, ale wiem, kiedy sytuacja się poprawia. Aur. Hn, hn.

- Może zabrałbym cię do jakiegoś innego schroniska. - Podrapał się w brodę, potem mruknął: — Na pewno jest jakiś przytułek dla pitbuli. O tak, właśnie. - Bawił się dość długo, ale na koniec rzucił swoją zabawkę na stół. — Szlag by trafił.

Więcej słów, ale wiedziałem, że to tylko puste dźwięki. Wygiąłem się, żeby polizać sobie tylne rejony. Byłem najedzony i, na razie, bezpieczny.

Dzisiaj jest jego dzień z dzieckiem. Wyznaczona przez sąd, zaakceptowana przez Sterling wizyta. March przestał już próbować ściągnąć Ariel do siebie; spotka się z nią w Sylvan Fields, gdzie musi czekać w samochodzie, aż ona się do niego zwlecze. Zabierze córkę na obiad do restauracji, na którą go już nie stać, a ona będzie pisać esemesy do przyjaciółek, bez wątplenia narzekając na zmarnowane popołudnie.

Potem wynegocjowana wycieczka do centrum handlowego, gdzie Ariel wystawi na próbę jego cierpliwość, łażąc ze sklepu do sklepu, zostawiając go na ławce jak porzucony bagaż; później powrót do Sylvan Fields. Sterling zbeszta go za to, że uległ wątpliwemu gustowi Ariel w doborze ubrań, choć kupił jej coś ponad swoje możliwości finansowe. Wszelkie nadzieje na pracę konsultanta czy zatrudnienie w swojej dziedzinie jak dotąd okazały się płonne.

Adam pamięta, żeby przed wyjściem wyprowadzić psa. Poranne powietrze jest kryształowo chłodne, a on zszedł w starych kapciach na bosych stopach i rozpiętej kurtce.

- Tylko szybko.

Zwierzę z radością się go słucha. Adam schyla się z foliową torebką w rękę. Nie wie, czy sąsiedzi go obserwują, ale nie chce ryzykować, że ktoś doniesie właścicielowi, że ten z kawalerki ma psa. Nawet jeśli tylko do poniedziałku. Inne schronisko tego drania nie weźmie. Adam zobowiązał się, że odda go w to samo miejsce. Żadnego naginania zasad.

Pies szturcha Marcha nosem, pora wracać. Gdyby miał jaja, właśnie by mu odmarzały.

— Koniec srania w domu.

Aur.

— W porządku.

Adam wsypuje karmę do miski, napełnia garnek zimną wodą i wskazuje sofę.

— Nie wolno.

Pies rozwiera pysk i wywala język na znak akceptacji dżentelmeńskiej umowy.

— Jasne, akurat. Dopóki się nie odwrócę.

Adam zamyka za sobą drzwi na klucz. Nie ma pojęcia, ile pies może wytrzymać, zanim narobi sobie kłopotów, ale wydaje mu się, że powinien dać radę przez sześć godzin, przez które Ariel będzie znosić towarzystwo ojca. Maksimum sześć. Przed chwilą się załatwił, dostał jedzenie i wodę. A Adam przewidująco zostawił włączony telewizor, żeby psu się wydawało, że ma towarzystwo. Nie chce się zastanawiać, czy ta bestia kontroluje się na tyle, żeby się grzecznie zachować. Potem pociesza się myślą, że jak dotąd pies narobił na podłogę tylko raz. Nic nie pogryzł, nie ujada na hałasy. O ile trudno było go utrzymać na ulicy, bo rzucał się na każdego

przechodzącego kundla, to w mieszkaniu nie sprawiał problemów.

Ariel wyłania się z domu ledwie ubrana. Chude nogi w legginsach, na biodrach skąpa spódniczka w kwiaty, kurtka szeroko rozchełstana. W drodze ustępstwa wobec pory roku włożyła uggsy. Takie, jakie nosi Gina. Oba kciuki ma zajęte komunikacją z mniej pechowymi przyjaciółmi. Wsiada do samochodu bez słowa, puszczając mimo uszu „Cześć, skarbie”. Kiedy Adam rusza wzdłuż podjazdu w szpalerach ozdobnych krzewów, Ariel kończy pisać ese- mesa i podnosi wzrok.

- Coś tu śmierdzi!
- Zauważyłaś? - Sili się na humor, ale słabo mu to wychodzi.
- Fuj. Jedzie mokrym psem.
- Ciekawe spostrzeżenie. Bo to właśnie mokry pies.

Nagle Ariel robi się zainteresowana. Szeroko otwiera oczy.

- Ty masz psa? - Z naciskiem na „ty”. Jakby Adam nagle zaczął skakać na bungee.
- Chwilowo.
- Mogę go zobaczyć?

Adam staje przed dylematem. Jeśli pokaże psa, a potem się go pozbędzie, córka będzie na niego wściekła jak nigdy dotąd. Jeśli nie pokaże psa, będzie na niego wściekła jak nigdy dotąd. Sytuacja między młotem a kowadłem - Adam czuje się jak w domu.

- Jest u mnie tylko na jeden dzień. Nie ma sensu się z nim zaprzyjaźniać.

Ariel wpycha dłonie w rękawy kurtki; garbi się i kuli w sobie. Adam odbiera to jako sygnał, że sprawił jej zawód.

- Jasne.
- Zarezerwowałem nam stolik w Trois Chevaliers.

To ulubiona elegancka restauracja Ariel. Tam pozwala jej napić się trochę szampana. Jego portfel domaga się

McDonalda, ale duma i karta kredytowa wybierają Trois Chevaliers.

- Może być.

- Jak w szkole?
- Dobrze.
- Jakież koncerty albo występy w tym roku?
- Na razie nie.
- Co u twojej starej kumpeli Kiki?

Przewraca oczami, niezbyt uroczo.

- Chodzimy do innych szkół.
- U dziadka i babci w porządku?
- Chyba tak.
- A u mamy?
- Czemu mnie o to wypytyujesz? Ciagle zadajesz te same pytania i odpowiedzi też są takie same. Zresztą sam zapytaj mamę.

Adam dusi w sobie komentarz: Sterling, o ile czegoś ode mnie nie chce, nie odbiera telefonów. Wszystkie istotne sprawy między nim a byłą żoną są załatwiane przez pośredników. Ariel, na dobre czy złe, została jedynym łącznikiem z dawnym życiem. Jego forum dyskusyjnym. Biedny dzieciak. Nic dziwnego, że nie znosi tych wymuszonych spotkań.

Adam w gestach Ariel dostrzega coraz więcej gestów jej ciotki. Zupełnie jakby dawne wspomnienia o Veronice nakładały się na rzeczywistość jego ponurej córki. Ulubiony ton Ariel pobrzmiwa echem na wpół zapomnianych gniewnych słów Veroniki. „Wynoszę się stąd, stary”. Nie wykrzyczanych, ale wymówionych wyraźnie i z prawie namacalną pogardą. Od chwili załamania uspięte myśli o siostrze często wracają. Widmo Veroniki nawiedza go w wyrazie twarzy jego córki.

Próbuje raz jeszcze.

- Jak koń?

Ariel nie korzysta z okazji, żeby zacząć trajkotać o możliwościach swojego wierzchowca, o zabawnych chwilach, śmiesznych nawykach, jak kiedyś.

- W porządku. - Wkłada w uszy słuchawki i wbija wzrok w krajobraz.

Adam nie wie, czy zniesie taki ból. Trwa to już tak długo, że zastanawia się, czy Ariel w ogóle kiedyś zacznie traktować go łagodniej. To, co zrobił, zniszczyło go w

oczach córki. A Sterling dba, żeby sytuacja się nie zmieniła.

Ariel traktuje go tak, jak Veronica traktowała ich ojca. Z pogardą. I stary na to zasłużył. Miała rację, że uciekła od człowieka, który wolał oddać jedyne syna do opieki społecznej niż być samotnym rodzicem. Który zostawił sześciolatka w rękach obcych ludzi. Adam nie dopuścił się żadnego równie ciężkiego grzechu, ale Ariel odnosi się do niego jak do kogoś zhańbionego; z ledwie skrywaną odrazą. To coś więcej niż zwykła pogarda nastolatki wobec rodziców. A może Adam popada w paranoję? Przecież nie opuścił rodziny z wyboru. Został wyrzucony przez żonę; to Sterling nie chciała wytrwać u boku męża.

Veronica uciekła, ale ojciec się jej wyrzekł. Adam nie zamierza wyrzekać się swojego miejsca w życiu Ariel. Przygląda się córce, kiedy stoją na czerwonym.

- Dlaczego tak się na mnie złościysz?

Ariel nie odpowiada, iPod zagłusza pytanie; Adam jest dla niej nikim.

Adam budzi się nagle. Pies patrzy na drzwi, stoi niedaleko sofy, na której zasnął jego dwunożny kompan. Znów - ciche pukanie. Adam ociera usta i zwleka się na nogi. Pitbul wydaje z siebie jedno znaczące szczeknięcie.

- Zamknij się.

Pies wraca do swojej jamy pod stołem, zrobił swoje.

Minął kolejny tydzień. Schronisko nadal nieczynne; awaria instalacji wodnej zamknęła je na czas nieokreślony. Podopiecznych rozwieziono po innych ośrodkach w całym stanie i nie, mówi doktor Gil, nie można wsadzić psa do jednego z nich, bo są przepelnione. I tak nagiął zasady, w ogóle pozwalając Adamowi go zabrać. Jeśli już, trzeba oddać zwierzę do Animal Advocates.

Jak nietaktowny gość, pies przedłużał swój pobyt u Mar-cha w nieskończoność.

- Znalazłam to na półce z książkami i pomyślałam, że ci się przyda.

Gina DeMarco stoi w drzwiach, kaptur kurtki jak z polarnego niedźwiedzia okala jej twarz; białe sztuczne futerko kontrastuje z oliwkową skórą. Jest trochę zdyszana, a policzki ma różowe od chłodu.

- Wchodź, proszę.

Adam czuje się zawstydzony, że dał się przyłapać jak starzec - w środku dnia łązi w podkoszulce i dzinsach, z bosymi stopami w starych kapciach. Pilotem ucisza sędzię Judy. Nikt nigdy go tu nie odwiedzał. Jego dawna przeciwniczka w zmaganiach o

prawa zwierząt jest pierwszą osobą, która przekracza ten próg, odkąd dostał klucze od właściciela mieszkania. Budzi się w nim uśpiona uprzejmość.

- Właśnie robiłem herbatę, napijesz się?

Ma nadzieję, że nie cuchnie mu z ust. Rafe przyrządził na obiad tłuczone ziemniaki z czosnkiem.

- Nie mogę. Zostawiłam otwarty sklep. Chciałam tylko ci to dać.

Podaje Adamowi cienką książeczkę: Twój pitbul, czego się spodziewać i co robić.

- Wiesz, że...

- Tak, nie chcesz go zatrzymać, ale będzie u ciebie, dopóki nie otworzą schroniska, więc możesz to przeczytać. - Nie mówi jak ktoś wręczający prezent. - Nikt nie pytał u mnie w sklepie o taką książkę. Zaplątała się w dostawie informatorów o rybkach akwariowych. Dystrybutor powiedział, że to pomyłka, żebym sobie ją zatrzymała. Proszę, weź.

Z grzeczności Adam otwiera książeczkę pełną kolorowych zdjęć psów podobnych do jego psa. Do tego psa. Tyle że tamte pozują i mają uszy do pary. Kolejne rozdziały to historia rasy, standardy hodowli i tresura. Uczenie zasad mieszkania w domu, siedź, stój, do nogi. Adam zerka na mięśniaka, który z przyjemnością oddaje się pieszczotom Giny; przewrócił się na grzbiet, udostępniając jej palcom brzuch.

- Dzięki.

- Przeczytaj. - Gina zarzuca z powrotem kaptur. - Powinieneś trochę poznać naturę tego psa, jeśli zamierzasz go komuś wcisnąć.

- Jak otworzą schronisko...

- Tak. Wiem. A ty wiesz, że to wyrok śmierci.

Adam kładzie książkę na stoliku.

- W porządku. Dzięki, że ją przyniosłaś.

- Nie ma problemu. - Zamyka drzwi.

Adam czuje falę rozczarowania.

- Zaczekaj, przyniosę ci do sklepu kubek herbaty, jeśli chcesz.

Gina zdejmuje kaptur. Przygląda się Marchowi oczami koloru oliwy z oliwek, które dają do zrozumienia, że nie zapomniała o jego powiązaniach z przemysłem

kosmetycznym. Potem mięknie.

- Byłoby miło. - Mi'o. Znów ten lekki ślad dawnego życia. - Nie ma dzisiaj ruchu.
- No to świetnie.
- Przyrowadź psa.
- Po co?
- Po prostu go przyrowadź.

Ściskając w jednym ręku dwa przykryte kubki z gorącą wodą, w drugiej smycz, Adam przebiega przez ulicę między samochodami stojącymi na czerwonym. Pitbul biegnie obok niego, z tym swoim pyskiem jak wiadro szeroko rozdziawionym, jakby to była jakaś zabawa. Dla całego świata wygląda jak piesek na spacerze ze swoim panem. Adam nie patrzy na niego, ma tylko nadzieję, że żaden inny kundel nie pojawi się akurat teraz, kiedy trzyma dwa kubki wrzątku.

W sklepie zoologicznym powietrze jest duszne od ciepła i zapachu akwariowej wody. Papugi skrzeczą na powitanie.

Kątem oka Adam widzi tropikalny błysk koloru w zimowym świetle. Stawia kubki na ladzie i wyjmując torebki herbaty, które przewidująco schował w foliowym woreczku.

- Nie dałem rady zabrać cukru i mleka; skoczę pożyczyć do sąsiada.

Gina opiera łokcie na ladzie - w tej pozycji jej szyja wydaje się dłuższa. Włosy w kolorze melasy rozpuściła, kładą się na policzkach, obramowując twarz.

- Mam tu jedno i drugie, nie trzeba. - Bierze kubek zabrany przez Adama z Dunkin' Donuts i podważa pokrywkę.

- Dysponuję tylko tetleyem. - Adam podaje foliowy woreczek, pozwala Ginie wybrać, którą torebkę herbaty woli. Wciąż stoi w kurtce i trzyma smycz.

- Puść go. Nic złego tu nie narobi, mało czego dosięgnie.

Adam rzuca na podłogę smycz, ale pies tkwi w miejscu nieświadomy, że może się poruszać swobodnie.

- Jak on się sprawuje?

- Nie licząc tego, że zajął sofę i rzuca się na każdego psa na ulicy, to raczej dobrze.

- Czasami smycz tak działa na zwierzęta. Czują się zagrożone.
- To chyba on stanowi zagrożenie.

Gina wrzuca herbatę do kubka, potem zatapia ją łyżeczką, którą wyjęła razem z mlekiem i cukrem.

- Moim zdaniem, będzie z niego dobry pies. Jest spokojny.
- Nie słyszałem żadnych skarg na szczekanie.

161

- Nie, chodzi mi o jego zachowanie. Niektóre psy są ciągle w ruchu. Ten lubi obserwować. - Gina wygląda znad lady, a pitbul patrzy na nią z oddaniem. - Dobry chłopak. - To do psa, który majta ogonem na lewo i prawo.

11 - Dobry pies

- Na pewno go nie chcesz?
- Wziąłabym, gdybym nie miała już...
- Trzech chartów.

Adam bierze łyżeczkę od Giny i wyławia torebkę herbaty z dna kubka od Starbucksa.

Obiekt zainteresowania nagle dochodzi do wniosku, że za ciężko mu się siedzi - opada na podłogę i wyciąga się na boku z sapnięciem zadowolenia.

Gina i Adam przyglądają się uważnie swoim kubkom. Nie ma już innych oczywistych tematów do rozmowy. Nagle sytuacja zaczyna przypominać nieudaną pierwszą randkę. Pierwszą randkę w ciemno. Jedyne wspólne tematy to nie praca, szkoła i przyjaciele, ale pies. Niezręczność połowicznej znajomości. Żadne nie chce podjąć wątku pogody, więc milczą dłuższą chwilę. Adam nie pamięta, kiedy ostatnio miał tak związany język; zastanawia się, jak szybko może dokończyć herbatę i uciec.

Gina DeMarco upija łyk, krzywi się sparzona wrzątkiem z małego otworka i pyta:

- Jeśli znajdę jakieś na zapleczu, poczęstujesz się ciastkiem?
- Jasne, ale nie rób sobie kłopotu.

Gina znika i Adam oddycha z ulgą. Ależ z niego kretyń. Skąd mu przyszło do

głowy, że ona chce jego towarzystwa? Kiedy kobieta wraca z otwartą paczką ciastek, March bierze jedno i szybko zagaduje, żeby wypełnić czymś ciszę.

- Długo prowadzisz ten sklep?

Gina skubie kawałek herbatnika i wzrusza ramionami.

- Wydaje się, że całe życie. Należy do mnie od kiedy zmarł mój dziadek. Jakieś dwanaście lat. Przedtem tylko tu pracowałam. Kiedy zaczęło mu się trochę plątać, przestał obsługiwać klientów i zajmował się wyłącznie rybami. Któregoś dnia podkręcił termostat skalarom i je dosłownie ugotował. Przyszłam i zobaczyłam, jak wyławia je siatką, a potem wpuszcza z powrotem do wody i dziwi się, dlaczego pływają brzuchami do góry. - Gina delikatnie wzrusza ramionami. - Nie mogłam zostawić tu dziadka samego. Spędzaliśmy razem dużo czasu, więc nie musiałam go oddawać do domu starców. Sama chciałam, był dla mnie bardzo dobry.

- Ty się nim opiekowałaś, nie twoi rodzice?

- Nie. Dawno temu moja matka i ojczym wysłali mnie na północ, do dziadka, od tamtej pory rzadko się widywaliśmy. - Uwaga Giny ma wytarte łąty starej historii.

Adam smakuje na języku figę, szorstką i słodką.

- Skąd pochodzisz?

- Urodziłam się w Louisville, ale mieszkałam w różnych miejscach, w Północnej i Południowej Karolinie, w Teksasie, wszędzie, gdzie znajdowała się baza wojskowa i gdzie było gorąco.

Gina opiera łokcie na ladzie. Wyrwa w barykadzie słoików na datki pozwala jej obsługiwać klientów. „Ratujmy Charty”, „Ratujmy Kucyki”, „Bank Żywności”, „Życie z Rakiem Piersi”, „Psy dla Niepełnosprawnych”. „Ratujmy Konie Wyścigowe”. „Ratujmy to”, „Ratujmy tamto”; „Ratujcie mnie”.

Przesuwa słoje, ustawia je w równy szereg.

- Mam tu drugi taboret, jeśli chcesz.

Za ladą jest wąsko, to przejście między półkami pod ścianą a blatem z gablotami środków na pchły i kleszcze, broszurkami o karmieniu myszokoczków, hodowli bojowników, akwariach słonowodnych. Adam siada na drewnianym taborecie, wyciągniętym spod blatu i odstawia herbatę. Wyjmuje z paczki kolejny herbatnik.

z nim przyjaźnił.

- Wielu naszych chłopaków to weterani z Wietnamu.

- Waszych chłopaków?

Adam uświadamia sobie, że złapał się we własną pułapkę. Jak wyjaśnić swoją „pracę” Ginie? Stein miałby na ten temat coś do powiedzenia, coś na przykład: „To twoja szansa. Zaczynaj od prawdy i zobacz, co z tego wyniknie”. Stein jest przekonany, że Adam musi pozbyć się poczucia posiadania kontroli nad przeszłością.

- Pracuję jako wolontariusz w Fort Street Center.

- O, świetnie. - Gina patrzy na niego z aprobatą. Wyraźnie ma o nim coraz lepsze zdanie.

Policzki Adama zabarwia rumieniec udreki.

- Właściwie to nie jest tak do końca wolontariat. To praca społeczna.

Adam widzi, że wskaźnik aprobaty znów jedzie w dół. Nie ćwiczył, jak opowiadać swoją historię. Nie wie, czy wyrzucić z siebie najważniejsze fakty, czy mieć nadzieję, że kobieta nie chce słyszeć nic więcej. Gina skupia się na herbacie, dodaje cukru, dolewa mleka z kartonu. Koncentruje się na tym, żeby nie zadać pytania, które się formuje - niezwykle starannie miesza łyżeczką herbatę.

Pies krąży po całym sklepie, wlokąc za sobą półtorametrową smycz, ale nagle zauważa, że jest po drugiej stronie lady niż ludzie. Domyśla się, jak się tam dostać, podchodzi do Adama i przyciska tępy nos do jego nogi.

- O, witamy. - Gina sięga nad kolanem Marcha, żeby pogłaskać pitbula. - Też chcesz ciastko? - Wyciąga skądś ciastko dla zwierząt, które pies delikatnie bierze z jej ręki. -

Słodziak, ale jestem pewna, że brał udział w walkach. - Sięga jeszcze dalej i drapie wojownika po bliźnie na piersi. Łokciem dotyka nogi Marcha; Adamowi wydaje się, że czuje jej włosy na brodzie, ale nie odrywa oczu od psa. - Podobno jak raz zaczęła, to nie ma dla nich ratunku. Ale to nie zawsze prawda.

Adam upija łyk herbaty, nie patrzy na psa ani na Ginę.

- Mógłbyś go nazwać Cassius. A może George? Wiesz, Clay i Foreman. Dobrze walczyli i byli dobrymi ludźmi.

- Raczej nie chcę nadawać mu imienia.

- Bo u ciebie nie zostaje?

- Bo u mnie nie zostaje.

Gina skubie dolną wargę, zakłada nogę na nogę.

- Zastrzelmy goryla.

- Słucham?

- Mamy niedokończone sprawy i uważam, że poczulibyśmy się lepiej, gdybyśmy o nich rozmawiali.

Adam nie wie, o co chodzi. Gina mówi o jego pracy społecznej? Nagle do niego dociera.

- Sprzedaliśmy tamten dział, seria Fraîche Cr?me nie była kontynuowana.

- Tak, ale czy naprawdę przestaliście testować kosmetyki na zwierzętach?

Adam jest na to zupełnie nieprzygotowany.

- Trwały pewne eksperymenty. Te dokończono. Nie zaczęto żadnych nowych. I nie używano już więcej królików. - To wystarczająco blisko prawdy. - Odszedłem z działu niedługo po waszych protestach.

- Wiem. Ale nie odszedłeś, tylko zostałeś awansowany. Czytałam o tym w „Globe”. Największa przysługa, jaką ci kiedykolwiek wyświadczyliśmy.

Choć minęło tyle lat, ona wciąż jest wyraźnie wściekła na metody Dynamie. Jej ręka - ta, w której nie trzyma kubka - lekko drży, jakby krążyła w niej adrenalina.

Adam czuje, że wzbiera jego własny słuszny gniew. Dobra, został awansowany - co stałoby się tak czy inaczej - ale przez sześć tygodni Gina i jej grupa zamieniali jego życie w piekło. Jajka rzucane w nowiutkiego lexusa, poprzednika tego, którym wciąż jeździ. Tablice z potępiającymi hasłami w rękach ochotników PBZ ustawionych wzdłuż publicznej drogi prowadzącej do prywatnego dojazdu do Dynamie. Okrzyki i oskarżenia puszczone codziennie wieczorem, jak w zegarku, przez lokalne stacje telewizyjne. Wywiady z gadającymi głowami, obwiniającymi o wszystko Adama osobiście. Siedział w pracy po osiemnaście godzin na dobę, konsultował się ze specami od PR-u i prawnikami, ledwie zdążał do domu na czas, żeby się przebrać na kolejną kolację albo przyjęcie charytatywne; nie widywał Ariel, bo niania kładła ją wcześniej spać.

Chwilę przerywa brzęk dzwonka u drzwi. Gina wita klienta po imieniu. Obsługuje mężczyznę w średnim wieku narzekającego na równowagę pH w swoim akwarium. Omawia z nim problem. Unosi delikatne brwi w wyrazie z troską kłopotami faceta, ale kiedy zerka na Adama, wciąż siedzącego za ladą, jej zimne spojrzenie mówi mu, że to nie koniec tematu. Akwarysta płaci za zakupy i z brzękiem dzwonka wychodzi. Znow są sami.

- Stały klient. Nie potrafi utrzymać rybek przy życiu, ale się stara. W końcu albo sobie odpuści, albo załapie, jak to robić.

- Zupełnie jak my wszyscy. - Adam przełyka resztki napoju, który wciąż jest gorący i parzy mu gardło. — Nie można żyć przeszłością. Trzeba iść do przodu.

Gina kiwa głową i znow skupia się na herbacie.

- Rozumiem. Niektóre rzeczy chce się zostawić za sobą.

- Zgadza się. - Adam stawia swój pusty kubek obok kubka Giny. Jego jest trochę wyższy i węższy. Ich uszka się dotykają. - Chociaż ostatnio się uczę, że nawet jeśli zostawisz coś za sobą, to coś nie znika. Wlecze się za człowiekiem jak duch.

Nie wiadomo dlaczego, nagle przypomina sobie psa biegnącego ulicą z tyczką u szyi i uświadamia sobie, że to mógł być właśnie ten pies.

Pitbul wydaje ciche rrooor rrooor, stukając ogonem o starą drewnianą podłogę.

Gina nie odchodzi od kasy, układa banknoty w szufladzie. Milczy.

- Muszę już iść.

- Dzięki za herbatę. - Podaje mu dwa puste kubki. Chowa ciastka z powrotem do opakowania. Zajmuje się różnymi drobiazgami.

March wychodzi z za lady, pies za nim, ciągnąc smycz. Adam czuje się pozbawiony energii. Rozczarowany. Jakby coś mu się nie powiodło, jakaś próba.

Zatrzymuje się przy drzwiach.

- To przeszłość, Gino.

- Tak. Stare dzieje. Oboje byliśmy wtedy młodszy. - Lekki sarkazm.

- Nie rozumieliśmy, co robimy. - Adam nienawidzi się za obronny ton głosu.

- To nie jest usprawiedliwienie.

- Może i nie, ale od tamtej pory wiele się na świecie wydarzyło.

- Jasne. Enron, 11 września, Irak, kryzys. Testy na króliczych ślepkach brzmią przy tym mało poważnie.

- Co mam zrobić?

- Nie wiem. — Gina wydaje się trochę przybita. — Mógłbyś chyba jakoś zadośćuczynić. - Znacząco spogląda na psa. — Mała odpłata?

Adam szarpie smycz, przyciąga pitbula do nogi. Brzęk dzwonka na szkle rani jego uszy.

Mój człowiek i ja, kiedy pogoda trochę się poprawiła, zaczęliśmy chadzać na długie spacerzy. Niekiedy nawet biegamy, chociaż nie przepadam za tym, od ostrego treningu wolę moc węchowych doznań na spacerze, ale co zrobić. On nabiera trochę krzepy. Teraz docieramy aż po skraje mojego dawnego terytorium. Czasami, kiedy wystarczająco zwolni, łapię niuch dawnego znajomego, wciąż odwiedzającego tę okolicę. Co jakiś czas - zapach jednego z chłopaków. Wtedy ciągnę za smycz. Nie chcę wracać do piwnicy.

Wciąż nie wystawił mnie na arenie. Nie dał żadnego przeciwnika do sparringu.

Życie tutaj jest całkiem niezłe. Spędzam sporo czasu sam, ale mogę chodzić po jego mieszkaniu, przeciągać się, chleptać wodę i spać spokojnym snem psa bezpiecznego. Jeździmy na przejażdżki. Nie jestem z tych, co wystawiają głowy przez okno, siedzę godnie na tylnej kanapie, zerkam na lewo i prawo, z najwyższym autorytetem obserwuję rozciągający się po obu stronach miejski krajobraz. Od czasu do czasu odwiedzamy miejsca takie jak to, gdzie mnie znalazł. Słyszę głosy zagubionych pobratymców nawet z cichego odosobnienia samochodu - przeskakuję na przedni fotel, kiedy tylko facet wysiądzie.

Za każdym razem wraca i wsiada bez słowa. Dobrze wiem, że wtedy lepiej szybko czmychnąć na tył.

Po jednej z tych wizyt zatrzymaliśmy się nieco dłużej przy krawężniku. Zostawił mnie, z oknem opuszczonym na tyle, żeby do środka wpadały zachęcające zapachy ulicy, ale za mało, żebym mógł wystawić głowę. Popatrzyłem groźnie na mężczyznę w czapce, który wsunął pod wycieraczkę kawałek papieru, ale pysek trzymałem na kłódkę. Nudziłem się, więc dla odmiany przeskoczyłem na przedni fotel. Wtedy zobaczyłem człowieka mojego mentora, przycupniętego pod ścianą budynku, który pachniał ciepłym jedzeniem. Uliczny zapach faceta bił w moją stronę, więc byłem pewien, że to ten gość. Trochę się podekscytowałem; miałem nadzieję, że mentor znów się z nim połączył. Ale nie. Człowiek był sam na kocu, dygotał z zimna, bez przekonania wyciągając gołą rękę z kubkiem zagadywał przechodniów.

- Parę cenciaków?

Rzadko kto reagował na jego proszące skomlenie.

Mój człowiek wyszedł z budynku, w którym zniknął. Patrzyłem, jak idzie do samochodu, mija człowieka mentora bez zatrzymania, bez pozdrowienia. Wyszarpnął kawałek papieru z wycieraczki i klapnął na swoim fotelu. Potem opuścił głowę jak łajany szczeniak.

- Powinieneś być jego psem.

Nagle otworzył drzwi, złapał za smycz i wyciągnął mnie szybciej, niż mogłem nadażyć. Podeszliśmy do kucającego mężczyzny i mój człowiek zaczął na niego szczekać. Tamten mu odszczeknął; zgarbiłem się, spuściłem łeb i czekałem na jakiś znak, czego mój pan ode mnie oczekuje.

- Bierz kundla - warczy.

- Spieprzaj - odcina się ten drugi.

- On cię potrzebuje.

- Ja jego nie. To nie Benny.

Pan mentora wyje.

Człowiek na drugim końcu smyczy znów mnie szarpie tak, że prawie upadam, i otwiera samochód. Szybko wskakuję do środka i przyciskam się do przeciwległych drzwi. Może wtedy warknąłem, nie jestem z tego dumny. Ciche warknięcie protestu, mające znaczyć: „Co się z tobą, do cholery, dzieje?” Dałem się ponieść. Od dawna nie byłem bliższy awanturze. Tak, na pewno warknąłem, do wtóru wydawanych przez niego odgłosów.

Spojrzał na mnie tymi wielkimi oczami, jakie ludzie robią, kiedy są zaniepokojeni. Jesteśmy dwoma samcami alfa ustalającymi hierarchię.

- Nigdy więcej tego nie rób.

Załapałem, nawet jeśli nie rozumiałem słów. Czekałem. Spodziewałem się ciosu. Tak zrobiliby moi chłopcy. Tego oczekiwałem. Może nawet pragnąłem, w końcu wyłożylibyśmy karty na stół. Ale on tylko trzasnął drzwiami i wsiadł na swoje miejsce. Ruszył tak gwałtownie, że rzuciło mnie na oparcie kanapy.

Adam jest proszony do gabinetu Johnsona. Sędzia czeka, stoi plecami do drzwi, przesuwając palcem po zielonych grzbietach prawniczych ksiąg ustawionych na kilku

pólkach. Skupi! się na swoich poszukiwaniach, nie odzywa się do Marcha, który tkwi sam jak palec na środku pustego pomieszczenia. To stara sztuczka, Adam też ją stosował wobec podwładnych, którzy mieli zanadto rozrośnięte poczucie własnej wartości. Niech postoją, aż cisza stanie się bolesna, niech im to przypomni, że jego czas jest o wiele ważniejszy niż ich czas. Odrobina niewerbalnego, niekontaktowego znęcania się. Mimo to Adam zaczyna myśleć, że Johnson przesadza.

Pora tego spotkania nie jest najlepsza, sędzia wcisnął je między sesje. Cóż, Adam nie będzie miał zbyt wiele czasu, by zaimponować swoimi postępami. Zaproponował inny termin, ale sędzia się nie zgodził, powiedział, że szybko załatwi sprawę w przerwie obiadowej. Adam nie wie, czy to dobra, czy zła wiadomość. Zastanawia się, czy Johnson już jadł, czy może jest głodny i zniecierpliwiony.

Minęło sześć miesięcy. Marchowi zostało pół roku w Fort Street, awansował do nalewania zupy. Większość stałych bywalców zna z imienia. Duży Bob go lubi. Adam lubi swoich kolegów z pracy. Czego więcej sędzia może od niego chcieć? Opóźniając rozmowę, nadaje jej większą wagę, niż zwykle odmeldowanie się wymaga. Adam tylko czeka, kiedy tamten się obróci, wymierzy w niego palec i... tego nie chce sobie wyobrazić.

- Nauczył się pan już pokory?

Sędzia faktycznie się obrócił, i chociaż nie wysunął palca, trzyma w wyciągniętym ręku grube prawnicze tomiszczce, jakby to była Biblia, a March miał na nią przysiąc.

Adam czerwieni się z gniewu. Słyszy śpiew w uszach, czuje, jak kołysze go rosnące ciśnienie krwi. Bierze głęboki wdech. Potem drugi. Smakuje na języku żelazo, przelyka ślinę.

- Myślę, że w raporcie Carmondy'ego przeczyta pan, że sumiennie wypełniam swoje obowiązki.

Duży Bob pokazał Marchowi swój raport, a przynajmniej mieszczącą się w jednym akapicie ocenę. Napisał

0 dużym zaangażowaniu Adama. Obaj wiedzą, że chodzi tu o niechętnie wypełnione polecenie znalezienia Jupiego

1 przynajmniej próbę odszukania psa.

- Hm. - Sędzia Johnson wskazuje czarny fotel naprzeciwko biurka.

Adam siada.

- Pewnie uważa pan, że powinienem skrócić wyrok? Ze sześć miesięcy dobrego zachowania wystarczy?

Adam odchrząka.

- Nie. Nie uważam.

Sędzia jest wyraźnie zaskoczony.

- Dlaczego?

- To znaczy, nie uważam, że pan to robi.

Przytrzymuje kant spodni, rozmyślnie swobodnie zakłada nogę na nogę. Rozumie sędziego - wolałby, żeby skazaniec zachowywał się trochę bardziej unieźlenie. Żeby się ukorzył jak człowiek, który dostrzegł światło. I Adam pewnie powinien spełnić to oczekiwanie. Niczego nie pragnie bardziej niż zostać zwolnionym z pracy społecznej. Zabiera mu za dużo czasu. Zamiast rozdawać zupę mógłby rozwijać swoją firmę konsultingową, która, jest przekonany, zapewni mu dostatnie życie. Musi tylko zdobyć pierwszego klienta, potem ten poleci go następnym. Nieskończony łańcuch klientów prowadzący do kolejnego sukcesu.

Ishmael i Rafe wczoraj z nim żartowali.

- Już cię tu nie zobaczymy, wyskoczysz stąd szybciej niż Big Brown z boksu na wyścigach.

- Przyślę wam kartkę. - Adama zaskoczyło ukłucie nostalgii. Uspokoił ją obietnicą, że będzie odtąd pamiętał, by przekazywać charytatywne datki także Fort Street Center. A przynajmniej kiedy już zacznie wychodzić z osobistego kryzysu. — Poza tym wcale nie wiadomo, czy jestem wolny. Nie zajmujcie na razie mojej szafki.

Ale nawet kiedy to mówi, wie, że robi dobrą minę do złej gry.

Dlatego właśnie pojawił się u sędziego w swoim najlepszym garniturze, w mokasynach Cole'a Haana wyglansowanych do połysku, oraz - dla efektu - ze skórzaną teczką z licznymi śladami zużycia. Ludzie tacy jak sędzia Johnson należą do tego samego klubu golfowego co Adam. Należał. Sterling zabrała mu członkostwo. Ludzie tacy jak sędzia Johnson chadzają na kolacje i gale charytatywne, jedzą te same przystawki i piją te same bezsensownie drogie wina co Adam. Tyle że on nie widział żadnej przystawki prawie od roku, a jego jedynym napojem wysokowym pozostaje szkocka.

I z tego powodu rzuca sędziemu wyzwanie: sprawdza jego blef. Na każdym innym

polu byłby mu równy. Śmialiby się razem przy drinkach i dyskutowali o gospodarce. March jest ciekaw, czy sędzia to wie.

Johnson siada ciężko na czarnym fotelu z wysokim oparciem. Nachyla się do przodu, opiera łokcie na suszce przed sobą, przygląda się Adamowi znad oprawek okularów w stylu Buddy'ego Holly'ego. Spojrzenie jego zażawionych oczu jest nieprzeniknione.

Adam zeskubuje z kolana psi włos. W lokalnej gazecie wyczytał, że już otworzyli schronisko. Może dzisiaj spróbuje jeszcze raz pozbyć się uciążliwego gościa. Pytał w innych schroniskach, ale tam nie biorą pitbulów po przejściach. Psów, które walczyły, nikt nie adoptuje, więc dostają bilet w jedną stronę. „Oddane dobrowolnie są humanitarnie usypiane”. Oddane dobrowolnie. Adam zawlókł bestię z powrotem do samochodu, sfrustrowany, ale nie okrutny. Nie chce psa, ale nie zamierza być odpowiedzialny za jego śmierć. Myśli o Ginie. Widział ją rano, jak szła ulicą. Obok niej sunęły trzy charty przypominające jelenie. Ostatni worek karmy kupił w supermarkecie; jeśli coś zostanie, przekaże to schronisku, kiedy pojedzie oddać psa.

Adam myśli, że sędzia go uwolni. A raczej się o to modli.

- Ma pan rację. Zrobił pan postępy, ale dokończy pan wyrok. Do zobaczenia we wrześnie. Przy wyjściu proszę się od razu zapisać u mojej sekretarki na wizytę.

Sędzia otwiera prawniczy tom, poprawia okulary i zapomina, że March w ogóle był w jego gabinecie.

Drzwi na klatkę trochę się przycinają i Adam kopie je czubkiem buta za trzysta dolarów. Wchodzi po schodach, na trzecim półpiętrze już się wlecze. Przygniata go brzemień wyroku. Pozornie niekończące się miesiące upokarzającej kary, dalsze komplikacje w wystartowaniu z własną firmą -

dzo liczył na zwolnienie z reszty wyroku, dopóki mu tego nie odmówiono. Wyobrażał sobie siebie jako wolnego człowieka, gotowego zająć należne mu miejsce w społeczeństwie. Dostał nauczkę, pracuje nad swoją pokorą. Znów wróci na tor, za pół roku odzyska moc. Tyle że wciąż będzie serwował pomyje bezdomnym. No, może nie pomyje, Rafe potrafi wspaniale robić wyjątek od tego określenia. Rafe. Ishmael. Mike i Duży Bob. Chryste, prawie urządzili mu pożegnalne przyjęcie. Nawet oni uważali, że już się zrehabilitował.

Pies czeka jak zawsze na samym środku pokoju, jakby nie wylegiwał się godzinami

na sofie. Porozrzucane, głęboko wgniecione poduszki są wystarczającym dowodem, ale on zawsze udaje niewinnego, przypada na przednie łapy i rozdziawia pysk jak jakiś niewolnik przed swoim panem. Codziennie Adam pyta: „Właziłeś na sofę?” A pies niezmiennie tylko merda spiczastym ogonem i szczyrzy się, jakby chciał powiedzieć: „Kto, ja?”

Dzisiaj Adam nawet na niego nie patrzy. Rzuca teczkę na podłogę, zdejmuje płaszcz z delikatnej wełny i ciska go na sofę oblepioną psią sierścią. Ciągnie krawat pod szyją i idzie do ciasnej kuchenki. Litrowy dewar jest do połowy opróżniony. Obok zlewu stoi brudna szklanka. Adam ją bierze. Nie płucze resztek z wczorajszego picia; właśnie ma nalać pięć centymetrów szkockiej, kiedy dzwoni telefon. Adam widzi, że to Ariel, i odstawia pustą szklankę.

- Cześć, skarbie.

- Możemy się nie spotykać w sobotę? Taylor robi imprezę urodzinową w Copley i jedziemy wcześniej na zakupy. Bardzo bym chciała...

- Dobrze. Idź. Baw się dobrze, złóż ode mnie życzenia Taylorowi.

Adam rozłącza się, zanim córka zdąży mu podziękować. Coraz lepiej idzie jej wyszukiwanie pretekstów, żeby nie spędzać z nim sobót, a to kolejne spotkanie, którego nikt mu już nie odda.

Potem dzwoni Sterling. W pewnym momencie przestali się porozumiewać przez prawników i odkryła, że jednak może kontaktować się z nim osobiście, co wykorzystuje, żeby go regularnie nękać. Może nawet czerpie z tego przyjemność.

Sterling nie robi już żadnych wstępów. Od razu leci do głównego tematu, jak rakietą; nie ma przejścia od „cześć” do „chcę”. Nie daje mu się odezwać, jakby coś w jego głosie mogło jej przypomnieć o ich wspólnym życiu. O tym, że dawno, dawno temu, kiedy rozmawiali przez telefon, słuchali się nawzajem. Ze każdą rozmowę kończyli czułym postscriptum. „Kocham cię”. Albo „Niedługo wracam”. „Tęsknię za tobą”. Teraz zastąpił je sygnał. Koniec rozmowy.

Co gorsza, kiedy już Sterling załatwi sprawę żądań, zaczyna mu wyliczać jego wady. Porywczność, nieodpowiedzialność. To, że zniszczył jej życie. Choć - z tego co Adam widzi - pozycja społeczna byłej żony nie spadła na socjome- trze ani o stopień. Sterling zabrała ze sobą ich znajomych. Wciąż ma wszystkie domy. Wciąż prowadzi imprezy charytatywne i wciąż mówią o niej w wieczornych wiadomościach.

Sterling dzwoni tylko po to, żeby załatwić coś na swoją korzyść, czegoś od niego

zażądać, potraktować go jak podwładnego. Zawiódł ją, więc teraz odgrywa się na nim po trochu, po jednym telefonie.

12 - Dobry pies

Dlatego Adam odbiera połączenie z wielką niechęcią. Z kobiety, z którą spodziewał się spędzić resztę życia, Sterling zmieniła się w oburęczny młot. Przy każdej okazji wali go w łeb jego grzechami.

Tym razem atakuje nagłą potrzebą Ariel posiadania własnego samochodu. Dziewczyna za miesiąc robi prawo jazdy, a Sterling uważa, że każda szesnastolatka powinna dostać na urodziny samochód, mazdę miata albo volvo. Coś bezpiecznego, prestiżowego. Coś, czego zazdrościłyby jej wszystkie koleżanki.

W którymś momencie Adam się wyłącza. Głos Sterling jest jak brzęczenie pszczoły albo dzwonek cudzej komórki. Irytujący, ale nie sposób się go pozbyć. Odsuwa telefon od ucha i zaczyna chodzić po mieszkaniu. Poprawia poduszki wygniecione przez psa. Płuca brudny słoik-szklankę po dżemie, napelnia go wodą. Słówka - zminiaturyzowane przez trzymany daleko od ucha aparat, jakby w podłużnej, płaskiej obudowie uwięziona była maleńka Sterling - trzeszczą w głośniczku. Adam słyszy urywki wypowiedzi, co jakiś czas dobiega go nadspodziewanie wyraźnie całe zdanie. Powinni pomyśleć o czymś, co uciągnęłoby przyczepę z koniem, w którą muszą zainwestować, jeśli Ariel ma brać udział w dużych pokazach.

Adam wylewa wodę ze szklanki do psiej miski i odkręca butelkę szkockiej.

Brzęczący głosik małej Sterling coraz bardziej się oddala. Komórka leży na blacie. Szklanka jest pełna szkockiej. Zapada chwila ciszy. Wtedy Adam słyszy odległe pytanie, czy jeszcze tam jest. Sam nie wie, jest? Jeszcze tu jest? Ten Adam, którym kiedyś był? Nie stać go na zatankowanie do pełna, a co dopiero na drogi samochód dla dzieciaka traktującego go z pogardą. Ona wcale nie potrzebuje kolejnego symbolu statusu. Kolejnej pozycji z listy „co mają Jonesowie”. Sugestia, że bez volvo ich mała księżniczka może być zubożona, brzmi niedorzecznie. Adam wie, co to znaczy zubożenie. Zubożenie jest wtedy, kiedy nie stać cię na nowe adidasy, jak ze starych wyłażą już dziurami palce.

Wcisną guzik z czerwoną słuchawką tak mocno, że w ogóle wyłącza telefon. Potem delikatnie kładzie komórkę na blacie, do już prawie pełnej dżemówki dolewa jeszcze szkockiej i idzie do salonu.

Prawda jest taka, że gdyby nic się nie zmieniło, gdyby nie zniszczył sobie życia

przez własny strach i wybuchowość, z rozkoszą kupiłby Ariel samochód. Cieszyłby się, obserwując zachwyty na jej twarzy na widok nowiutkiego volvo, czy co tam teraz najmodniejsze, stojącego na podjeździe z wielką kokardą na dachu. Za nic w świecie niczego by Ariel nie odmówił.

Bąbel strachu ustawia się naprzeciwko ołowianego obciążnika rozpaczy; Adam nie uwolnił się od Fort Street. Jak ma się kiedykolwiek wyrwać z tego spadania w nędzę? Od czasów kiedy kierował nocnymi autobusami, żeby zapłacić za studia, nie musiał wybierać między dobrymi płatkami kukurydzianymi a najtańszą sklepową marką. Od pierwszego roku studiów podyplomowych nie zostawił na stole nieotwartego rachunku ani nie płacił minimalnej opłaty.

Stół, pod którym schował się pies, wystawiając tylko czubek ogona, jest pełen nieotwartych rachunków. Leżą wokół laptopa, którego Adam nie ma siły otworzyć; nie ma siły ślęczeć nad portalami oferującymi pracę. Nie ma siły myśleć.

Popija szkocką z dżemówki. Z każdym łykiem alkohol pali coraz słabiej.

Trochę niezręcznie się czułem, będąc świadkiem tego chlupania. Potem już otwartego płaczu. Nigdy nie widziałem czegoś takiego u człowieka. Wielu z moich pobratymców wyje, ale tego tutaj aż nie mogłem z żalu słuchać. Przestał się bawić swoją zabawką, do której wcześniej krzyczał tak, że schowałem się pod stołem. Nie zamierzałem się kręcić w pobliżu, kiedy wydawał z siebie dzikie odgłosy. Orientowałem się, do czego jest zdolny rozwścieczony człowiek. Nie musiałem tu być. Przy pierwszej okazji zamierzałem dać nogę. Szczerze mówiąc, w ogóle nie wiedziałem, dlaczego tu jestem. Nie trenowaliśmy. Nie wystawiał mnie na arenie. Ledwie zauważał moją obecność. Ja trzymałem się swojej połowy pokoju, on swojej. Nie było tu żadnej więzi, jaką widziałem u mentora i jego człowieka czy tamtego mężczyzny z małą suką, którzy uwolnili mnie od tyczki. Ani nawet u labradora i jego pana.

Ucichł. Zupełnie. Siedział na sofie z piciem w rękę i gapił się w pustą przestrzeń, aż ustawiłem się przed nim, żeby miał na co patrzeć. Z otwartych oczu do krawędzi twarzy płynęły mu strumienie łez. Popijał i płakał. Popijał i płakał. Położyłem się na podłodze, ale nie spuszczałem z niego wzroku.

Kiedy opróżnił szklanekę, też się położył, ale dźwięki nie ucichły. W końcu wstałem, przeciągnąłem się na wszystkie strony, otrząsałem i usiadłem. Gdyby przestał wydawać te odgłosy, pewnie bym sobie poszedł. Ale one trwały - pierwotne jęki rozpaczy, ogromnego cierpienia. To nie przypominało pisku myszy w szczękach kota, ani nawet skomlenia przegranych na arenie. To raczej było jak wycie tych, którzy trafili do schroniska razem z mną, zagubieni, odłączeni od swoich ludzi,

niepotrafiący sami się o siebie zatroszczyć. To głos samotności. Bardzo podobny do smutnego zawodzenia mentora, kiedy uświadomił sobie, że nie połączy się już ze swoim człowiekiem. Czy nawet trochę do odgłosu, który sam wydałem, kiedy zabrano go za drzwi na końcu korytarza.

Co innego mogłem zrobić? Jestem tylko psem, musiałem pomóc. Wepchnąłem się obok faceta; szturchałem nosem jego rękę, aż sięgnął do moich uszu i zaczął przesuwać po nich palcami; a potem to zrobiłem. Polizałem go. Przytknąłem czubek nosa do jego policzka i dotknąłem twarzy językiem. Smakował słono, całkiem nieźle. Nie odepchnął mnie, więc przytuliłem się mocniej. Zrzucił mi rękę na grzbiet i przycisnął twarz do mojego pyska. Tak zasnęliśmy.

Adamowi się śni, że idzie zatłoczonym korytarzem. Musi coś zrobić, ale nie pamięta co. W rękach dźwiga coś ciężkiego. Wpada na ludzi spieszących w przeciwnym kierunku. Budzi się przestraszony.

Pies przycisnął go do oparcia i wyciągnął się wygodnie. Wepchnął mu kanciasty pysk w szyję, łaskocze wilgotnym psim oddechem. Adam próbuje go zrzucić, żeby wstać. Psi- sko nagle zeskakuje z sofy, przeciąga się i ziewa.

- Przynajmniej jeden z nas się wyspał.

Pitbul, wyraźnie zadowolony ze swojego aktu piractwa, otrząsa się energicznie i siada przed swoim panem.

Adam głaszcząc go po głowie. Czaszka wydaje się twarda jak skała, ale krótka, przegowana sierść jest delikatna i gładka jak jedwab. Adam jeszcze raz przesuwa dłoń. Pies rozdziawia pysk i szczerzy się w uśmiechu, zaczyna posapywać, zamiata ogonem podłogę.

- Okropnie jesteś paskudny. - Ton głosu Adama wprawia go w zachwyt. — Powiniennem cię nazwać Brzydał. — Pies wstaje, wymachuje ogonem podekscytowany komplementami. - Znowu otworzyli schronisko, wiesz? Doktor Gil zostawił mi wiadomość. - Mięśniak zaczyna tańczyć na przednich łapach podniecony tą niezwykłą rozmową. - Gotowy wracać?

Hn hn.

- Może jutro.

Adam wstaje. Niebo za oknem jest ciemne; która godzina? Może być wieczór albo przedświt. Czuje się jak potrącony przez samochód. Dżemówka leży przewrócona obok sofy. Adam spogląda na zegarek mikrofalówki. Trzecia rano. Nie wyszedł z psem na spacer. Ani go nie nakarmił.

Ostatnie lutowe noce są zimne, czyste i zadziwiająco ciche. Adam zabiera psa na długi obchód kwartału. Pozwala, żeby kłująco zimne powietrze oczyściło mu płuca i zamglony umysł. Jest taka cisza, taki bezruch, spuszcza psa ze smyczy, żeby obwąchał sobie pustą działkę. Ulicą wolno jedzie tylko jeden samochód - radiowóz. Policjant - jedyny inny człowiek w zasięgu wzroku - patrzy prosto na Adama i opuszcza szybę, jakby zadowolony z urozmaicenia patrolu.

- Tylko wyprowadzam psa. - March podnosi smycz.

- Prawo zakazuje spuszczenia psów.

- Wiem. Pomyślałem, że trochę je polekceważę.

Gliniarz uśmiecha się i odjeżdża.

Psa nie ma już dość długo i Adam nagle zaczyna się zastanawiać, czy kundel wróci. A jak pryśnie? A jeśli - skoro żył kiedyś na ulicy - myśli, że człowiek właśnie go uwolnił? Adam zawsze trzymał go na smyczy, więc nie wie, czy zwierzę przybiegnie na zawołanie. Wytęża słuch, próbuje zlokalizować pitbula na dwóch tysiącach metrów pustej działki. Pies zniknął. Uciekł. Adam wyobraża sobie puste miski na podłodze w kuchni.

Zwija smycz w kłęb. Nie może nawet zawołać psa, bo ten nie ma imienia. Prawie przez trzy tygodnie zwracał się do niego tylko „kolego”, „mały” albo „hej, ty”. Nie chciał go uznać za kogoś więcej niż irytującego gościa.

- Chodź, mały. Chodź, kolego.

Jego sierść była pod palcami Adama jak satyna. Najbardziej miękka rzecz, jakiej dotykał od czasów niemowlęstwa Ariel.

W oddali odgłos węszenia.

- Hej, mały!

Z ciemności wybiega pręgowane stworzenie, merdając ogonem.

Adama zalewa niewytłumaczalna fala ulgi; kiedy przypina smycz do obroży, ręka

trochę mu się trzęsie.

- Dobry chłopak.

Klepie psa po głowie.

Adam idzie do łazienki, sika, szybko myje zęby, ściąga bluzę, dżinsy i wrzuca je do kosza na brudne rzeczy. Kładzie się na nieposłanym łóżku. Leży bez ruchu, potem woła psa.

- Włazisz?

Jego ostatnia myśl przed zaśnięciem jest taka, że nie wyobraża sobie, co powie Gina, jak się dowie, że on chce zatrzymać psa. Który teraz chrapie w nogach łóżka. Ale nie wie, czemu, otuchy dodaje mu nadzieja, że to może się jej spodobać.

Niewiele brakowało, a nie przybiegłbym na jego wołanie. Byłem wolny po raz pierwszy od dłuższego czasu i naprawdę uważałem, że facet chce mnie oswobodzić, kiedy odpinał smycz. Porozumiewaliśmy się tak, że on dotykał mnie rękami, ja dotykałem go nosem. Bariera, którą obaj szanowaliśmy, trochę się zmniejszyła. Jak niespokrewnione szczenięta spaliśmy razem, na kupie, jeden z drugim. Dlatego kiedy mnie spuścił, myślałem, że doszedł do wniosku, iż powinienem znów spróbować życia na własną rękę. Czas, który spędziliśmy razem - wciąż nie rozumiałem po co - dobiegł końca.

Wyszliśmy na dwór nocą; okolica była tak cicha jak tylko wtedy, gdy ludzie są w domach, a samochody na parkingach. Nocne zwierzęta, mysz i szczur, miejski szop i skunks czaiły się za każdym rogiem, ale uwiązany do smyczy nie zwracałem na nie uwagi. Nie było sensu.

Nie spotkaliśmy żadnych innych psów, mój poszukujący nos nie natknął się na zapachy świeższe niż popołudniowe. Zaznaczyłem nowe terytorium. Kiedy dotarliśmy do pustej przestrzeni i mój człowiek odpiął smycz, uznałem, że mnie wypuszcza. Bardzo dobrze, pomyślałem. Niech i tak będzie. Przysłużył mi się, a ja zachowywałem się grzecznie. Teraz pora się zwijać. Znaleźć ciepłą kryjówkę za krzakami, przykryć nos ogonem i zapomnieć o wygodnym życiu z łóżkiem i karmą w misce. Koniec znajomości. Zegnamy się i adios.

Pobiegłem w ciemność, zacząłem zygzakować po pustym placu, szukać śladów innych psów, ciepłego zapachu normików, przyszłych posiłków. Zachłysnąłem się aromatami wolnych stworzeń. Odchody mówiły mi, kto jest padlinożercą, a kto smakoszem; kto zdobywa pożywienie sam, a kto korzysta z usług ludzi, uzależniającej regularności posiłków.

Takiej, z jakiej i ja korzystałem przez krótki czas. Wiedziałem, że tamtego jednorazowego pokazu uległości z jego strony nie należy brać za poddanie. Nie zamierzałem dać się nabrać i potraktować żalostnego wystawiania brzucha jako całkowite podporządkowanie. O nie. Mieliśmy prosty układ: on mnie karmi, ja jestem grzeczny. Nic nie byłem mu winien. I na odwrót. Wtedy po prostu zrobiło mi się go żal. Smucił się, więc zaoferowałem mu chwilową pociechę. To nie oznaczało jeszcze, że zostaniemy partnerami.

Usłyszałem jego głos, zrozumiałem znaczenie, choć nie słowa. „Chodź. Tutaj. Mały”. Klepanie w udo, cichy gwizd. Dalej biegałem, ale czułem się rozdarty: wolność czy ciepłe miejsce do spania? W głowie pojawiały mi się obrazy starych kumpli i śmietników, bo znajdowałem ślady jednego i drugiego pod ubitym śniegiem.

Znów zawołał, trochę głośniejszy, z nutą zmartwienia. Czyżbym go źle zrozumiał? Czy dawał mi tylko chwilę prywatności, odrobinę luzu na zastanowienie? Podniosłem głowę, stanąłem nieruchomo jak wystawiający pointer. Mocniejszy powiew wiatru pochwycił strzępy papierów zalegające między nierównymi zaspami zlodowaciałego śniegu, poniósł je małymi zawirowaniami. Zadrzałem. Naprawdę nie musiałem spać dzisiaj pod gołym niebem. Wystarczyło, żebym poszedł z tym człowiekiem. Dał się wziąć na smycz.

„Chodź, mały. Chodź, kolego”.

Nie miałem żadnych doświadczeń, które ukazywałyby mi ludzi jako godnych zaufania. Kiedy mieszkałem w piwnicy, zajmujący się nami chłopcy, owszem, bywali mili, zwłaszcza kiedy wygrywałem. Ale potrafili też bez ostrzeżenia posłać mnie kopniakiem pod przeciwległą ścianę. Dlaczego miałbym uważać chwilę ciepła między nami za zwiastun lepszego życia, a nie jakąś anomalię? Co on chciał przekazać, wypuszczając mnie, a teraz wydając te płaczliwe odgłosy? Potwierdzić swoje przywództwo nad stadem? Nie, wołałem sam być sobie panem. Sam wybierać stado, do którego miałbym należeć.

Dopiero kiedy ucichł, zrozumiałem, o co mu chodziło. W całkowitej ciszy zimowej nocy usłyszałem, jak westchnął, wydał odgłos kapitulacji; rozczarowania.

Wróciłem do niego. Przywitałem go w duchu kompromisu. Na razie weź mnie na smycz. Prysnę dopiero na wiosnę.

„Dobry chłopak”.

Adam cały się trzęsie, kiedy przypina smycz do obroży psa. Ręcznie malowana papuga jest odwrócona na stronę „Otwarte”, a w sklepie Giny pali się światło. Odnosi wrażenie, że te małe rybki wokół tęczy na witrynie pływają mu w brzuchu. Dopiero

niedawno załapał: to akary i zbrojniki. Starał się już nie wystawać tak długo w oknie, wciąż urażony uwagą Giny o jego życiu. No, teraz jej pokaże, że potrafi coś zmienić, jeśli chce. Rozmawiał o tym ze Steinem, o tej irracjonalnej potrzebie wytłumaczenia się kobiecie, z którą nic go nie łączy, a nawet jeszcze gorzej: która jest jego dawnym przeciwnikiem. Stein chce, żeby Adam przyjrzał się swoim motywacjom, potem zasugerował, żeby jeszcze raz się zastanowił nad psem.

To nie Gina go namówiła, żeby zatrzymał pitbula. To jego decyzja, i będzie musiał z nią żyć - albo jej żałować - bardzo długo. Zamierza Ginie dać jasno do zrozumienia, że choć postanowił nie oddawać psiaka, to nie dlatego, że go zawstydziła; pragnie też prosić ją o kilka rad co do tresury. To rzucanie się na wszystkie czworonogi napotkane na ulicy musi się skończyć. Może poleciłaby mu jeszcze jakąś książkę.

- Chodź.

Wciąż nie nadal zwierzęciu imienia. Każde, które przychodzi mu do głowy, sprawdza, żeby zobaczyć, czy pies zareaguje. Jak na razie najbardziej prawdopodobny jest „Mały”. Pies nie przychodzi ani nie słucha żadnego polecenia wydanego cichym głosem. Adam przeczytał książeczkę o pitbulach, ale wiele się z niej nie dowiedział. Dlatego na razie wszystko opiera się na intuicji. Kiedy podnosi pustą miskę, pies przychodzi. Kiedy potrząsa smyczą, pies idzie do drzwi. Każdy nagły ruch, jak wtedy kiedy przyrznął piszczelą w kant stolika i zaskowyczał, płoszy psa - kundel ucieka do swojej kryjówki pod stołem. To nie Rin Tin Tin. To nie Lassie. To nawet nie Mar- maduke5.

— Chodźmy odwiedzić Ginę.

Jest już marzec, ale w powietrzu wciąż zima. Nadeszła akurat ta pora roku, kiedy trudno sobie w ogóle wyobrazić, że będzie cieplej. Bezdomni w Fort Street Center są już uodpornieni, policzki i usta mają spierzchnięte, nosy poznaczone błękitnymi żyłkami i poczerwieniałe. Tulą do siebie gorące tacki. Noszą kilka warstw ubrania, odrzuty sprezentowane Armii Zbawienia albo bezpośrednio ośrodkowi. W sieni stoi wielkie kartonowe pudło, do którego darczyńcy mogą wrzucać niechciane ubrania. Ostatnio jest najczęściej puste; wszystko, co da się jeszcze nosić, ktoś już nosi.

Kiedy przechodzą przez ulicę, Gina stoi w drzwiach i przez chwilę March ma wrażenie, że na niego czekała. Kobieta się odwraca - ten, kogo wypatrywała, nie przyszedł. Oczywiście nie czekała na niego.

Adam z psem przekraczają próg sklepu; papugi wy- skrzekują sensowną imitację powitania. Gina stoi z siatką na ryby w ręce. Mimo że na dworze chłód, w sklepie jest ciepło, więc ma na sobie zapinaną na guziki białą bluzkę z krótkim rękawem, która

podkreśla kształty ciała i odsłania rozkoszny trójkącik pod szyją. Rozpuszczone włosy miękko opadają na ramiona. Nie wygląda jak sprzedawczyni; wygląda, jakby po pracy szła na randkę. Na nadgarstku wisi jej kropla wody.

Kiedy widzi na środku sklepiku Adama z psem, wiesza siatkę na haku i krzyżuje ręce na piersi. Nie uśmiecha się, ale unosi brwi w pytający łuk.

- Myślałam, że schronisko już otwarte.

Adam się nachyla i przesuwa dłonią po grzbiecie zwierzęcia. Pies porusza ogonem na boki, ale nie spuszcza wzroku z Giny.

- Zatrzymam go. - Adam też patrzy na Ginę, rozchyła usta w oczekiwaniu na jej reakcję. Chce zobaczyć, czy wrogość, z jaką zazwyczaj na niego spogląda, choć na chwilę ustąpi.

- Dlaczego zmieniłeś zdanie? - rzuca z podejrzliwością, nie z aprobatą.

Adam wzrusza ramionami, czego prawie nie widać w grubej kurtce.

- Nie wiem. Bo tak. - Jest rozczarowany, czuje się jak dziecko, którego nie pochwalono za rysunek świecówka- mi. - Przyzwyczyłem się do niego.

Bardzo powoli na usta Giny wraca uśmiech.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, postępujesz właściwie.

Rozczarowanie znika; Adam nie ma pojęcia, dlaczego mu zależy, żeby Gina była dla niego miła, ale tak jest i nawet skąpa pochwała sprawia mu przyjemność.

- Miałem nadzieję, że tak powiesz. Wciąż uważam, że to szaleństwo.

Pies siada, rozdziawia pysk w monstrualnym ziewnięciu.

- Dzwoniłeś do doktora Gila? Żeby dać mu znać?

- Nie. Po co?

- Będzie chciał wiedzieć. Biorąc pod uwagę twoje... - wahanie - ...niecodzienne okoliczności, może lepiej mu wyjaśnić, że postanowiłeś zatrzymać psa.

- Dobrze.

Gina sięga po psiego biszkopta.

- Jak go nazwiesz? - Wyciąga ciastko, mięśniak bierze je z palców jak dżentelmen.

- Na razie wołam na niego Mały.
- Nie. Niedobrze. Musi mieć imię, które go wyróżni spośród setek innych psów.
- Nie wystarczy, że to pitbul?
- Nie. Dałeś mu szansę w życiu, nową tożsamość.
- Program ochrony świadków dla psów?
- Coś w tym rodzaju. Nie będzie łatwo; domyślam się, że planujesz nad nim ciężko pracować.

Adamowi nic takiego do głowy nie przyszło. Dobrze jest jak jest. Z wyjątkiem agresji na ulicy.

- Muszę coś zrobić, żeby się nie wyrywał za każdym razem, gdy spotykamy innego psa.

- Tego go nauczono. Można i oduczyć.

- Mam nadzieję.

- Dostałam kilka wizytówek od zaklinaczy psów. Poszukam. - Gina znika za ladą.

- Kiedy to treserzy zamienili się w zaklinaczy? To twardy typ, może będę musiał na niego krzyknąć.

Gina się prostuje.

- Tego ci nie wolno. Naprawdę. Trzeba go nauczyć, że łagodniej znaczy lepiej.

Adam przypomina sobie, jak pies ucieka pod stół za każdym razem, kiedy on podnosi głos w telefonicznej rozmowie albo gdy w niedzielnym meczu w telewizji przeciwna drużyna przejmie piłkę.

- Tak, to ewidentnie typ silnego wrażliwca.

- Nie żartuj. Pewnie właśnie taki jest. Te psy są uczone agresji, nie rodzą się takie.

- No nie wiem, ale czas pokaże. - Adam bierze wizytówki od Giny, przegląda ich małą kolekcję. Nie stać go na tresera, ale robi dobrą minę do złej gry.

- Którego byś polecała?

- Wszyscy są dobrzy. Ale powinieneś zacząć od Psiej Etykiety. Świetnie sobie radzą ze zwierzętami sprawiającymi problemy. - Nie spuszcza z Adama oliwkowych oczu. Teraz błyszczy w nich coś innego niż pogarda. - Naprawdę uważam, że jest dla niego

nadzieja.

Po raz pierwszy Adam widzi w niej chęć bycia miłą albo tylko chęć dostrzeżenia, że nie jest taki do końca zły. Ze coś jeszcze z niego będzie.

- Może powinienes nazwać go Chance6. Dałeś mu szansę. I może on daje szansę tobie. - Gina lekko się czerwieni, mały odsłonięty trójkąt pod szyją powoli różowieje.

- Szansę na co?

Kobieta się odwraca, bierze siatkę i znów przenosi rybki. Cokolwiek myśli, nie mówi tego, a Adam się zastanawia, czy nie zawstydziła się swoich przypuszczeń.

- Chance. Aha. Podoba ci się? Hej, Chance.

Pitbul, który wpychał nos w półki z karmą dla rybek, spogląda na Adama, przekrzywiając łeb, a jego pysk jak wiadro rozdziawia się w psim uśmiechu.

- Przypuszczam, że mu się podoba.

Gina znów odwiesza siatkę i podchodzi do Adama tak blisko, że ten czuje delikatny kwiatowy zapach jej szamponu. Nachyla się do psa.

- Chyba mamy zwycięzcę. - Głaszczę zwierzę po kanciastej głowie, potem dotyka ręki Adama. - Bardzo dobrze robisz.

Teraz jego kolej, żeby się zaczerwienić. Fajny ten dotyk - taki prosty, ludzki. Obnażający samotność, która jest głównym tematem jego życia.

Sierść między moimi łopatkami zjeżyła się, zanim świadomie rozpoznałem zapach. Zareagowałem całkowicie instynktownie; zawarczałem. Cicho i ostrzegawczo. Zupełnie nie w swoim stylu. To nie był inny pies naruszający granice mojego terytorium, wyznaczonego długością smyczy. To byli oni. Chłopaki. Ci, którzy trzymali mnie i moich rodziców w piwnicy i wywlekali nas z niej tylko po to, żebyśmy walczyli, parzyli się albo ćwiczili. Czuję w sercu puls wrogości. Czy to rozmyślne spotkanie? Czy to koniec mojego krótkiego życia w świetle dnia?

Ostatnio mój pan do mnie mówił, powtarzał różne słowa raz po raz, aż załapałem ich znaczenie. Całkiem zabawne doświadczenie, a nagroda w postaci ciastka Milkbone wystarczyła, żebym wytrwał w nauce nawet kilka minut. Nic z tego nie przypominało treningu moich chłopaków, wymagającego kijów i łańcuchów. Teraz, kiedy śnieg już stopniał, zaczęliśmy trochę biegać. Nic skrajnie wyzywającego, kilkaset metrów przez park, dookoła jeziora. Mój człowiek zawsze kończył zziębnięty i zaspany, podczas gdy ja ledwie zaczynałem dyszeć. Albo ja byłem w świetnej

formie, albo on był w bardzo kiepskiej.

Co jakiś czas wychodziłem spod stołu, żeby usiąść obok niego, kiedy bawił się swoimi zabawkami. Zaczął się też trochę dzielić jedzeniem - kawałek mięsa tu, liźnięcie talerza tam. Akurat tyle, żebym nie potrafił się zdecydować, jak go oceniać.

Właśnie mówił do mnie dwa z tych słów. „Chance”. A potem „cicho”. Powtarzał je tak często, aż zrozumiałem, że pierwsze oznacza mnie - a może drugie. Często bywały połączone, „cichoChance”. Poczulem lekkie drżenie smyczy. Wibrację zaniepokojenia, przyspieszonego kroku.

Nie zamierzałem przystawać i odnawiać znajomości, więc zacząłem ciągnąć do przodu. Nie stawiał oporu, nie zacisnął obroży szarpnięciem, jak kiedy rozmawiałem z innymi na ulicy. Wyglądało na to, że mój człowiek też woli się nie zatrzymywać. Obaj wiedzieliśmy, że nie wynikłoby z tego nic dobrego. Denerwował mnie zapach chłopaków, odgłos ich kroków na chodniku. Nie chciałem już walczyć w ich bitwach.

Wtedy mój człowiek stanął jak wryty. Chłopcy byli teraz przed nami, głosami i postawą rzucając nam wyzwanie.

Myślał, żeby wystawić mnie do walki, kiedy tak kiepsko mu szła tresura? Czy raczej odda chłopakom i pozwoli im zamknąć mnie z powrotem w piwnicy? Nadawałbym się tylko na przynętę. Przypomniały mi się te wszystkie psy, z którymi trenowałem... no dobrze, które masakrowałem. Chłopaki nie byliby zadowoleni, kiedy by odkryli, że na arenie mogę się już tylko bronić, a nie zwyciężać. Zakleiliby mi pysk taśmą i rzucili innym na obiad.

Wtedy uświadomiłem sobie, że wpadłem w pułapkę zwierząt domowych. Żyłem wygodnie, a dawni opiekunowie oznaczali powrót do życia bardzo niewygodnego. Przycisnąłem się do nóg mojego człowieka, błagając - nie jestem z tego dumny - żeby nie wypuszczał smyczy z ręki.

Żeby mnie nie oddawał. Może i źle być domowym pupilem, ale jeszcze gorzej wrócić do piwnicy. Wciąż planowałem uciec, ale dopiero kiedy mnie by to pasowało. Jeszcze nie. I nie do dawnego życia, ale na wolność.

34

Hej, kolego. Skąd wytrzasnąłeś tego psa?

Dwaj młodzi mężczyźni są ubrani w luźne ciuchy, jakby karłowaci w wielkich czarnych bluzach z logo znanej firmy sportowej. Czapki, też czarne, mają zawadiacko przekrzywione, kaptury narzucone dla ochrony przed chłodem. Na nogach - oślepiająco białe adidas. Jeden nosi okulary przeciwsłoneczne, w których

wygląda jak Adam Ant. Drugiemu zwisa łańcuch - od paska do tylnej kieszeni. Łańcuch podzwania, kiedy chłopak zbliża się do Adama, objętość spodni zmusza go do rozkołysanego kroku, żeby mu nie spadły.

- Z hodowli. - To pierwsze, co przychodzi Adamowi na myśl.

- Wygląda jak mój pies. Mojego ukradli. Wiesz coś o tym?

- Nie.

Adam zastanawia się, co, do cholery, robi w tej części miasta. Od godziny spaceruje z psem, pamiętając o radzie z książki, żeby zapewniać mu dużo ruchu. Właściwie sam lubi tę wymuszoną aktywność i tak się zamyślił, że wyszli sześć przecznic poza zdemilitaryzowaną strefę centrum. Zapomniał zawrócić. Uważa się za człowieka bez uprzedzeń, ale tu już się czuje nieswojo. Biały spacerujący z pitbulem w takiej okolicy.

- Może czegoś szukasz? - spytał cicho chłopak bez kwadratowych okularów. Jego twarz w obramowaniu wielkiego kaptura jest przechylona. Spojrzenie prawie przyjazne. - Szukasz jakiejś akcji?

- Nie. Tylko spaceruję z psem.

- Możemy ci coś załatwić.

- Nie, dziękuję.

Adam jest otoczony z dwóch stron. Pies stoi z opuszczoną głową, wznosi żółto-brązowe oczy, jeży się na karku. Ogon ma wyprostowany jak magnetyczna igła kompasu, łapy rozstawił szeroko na brudnym chodniku. Co jakiś czas wydaje dźwięk, który może być warknięciem albo protestem. Posapujący odgłos niepokoju.

- Cześć, kolego, co u ciebie? - Chłopak w okularach sięga do psa, pstryka palcami. Zwierzę warczy, chowa się za nogi Adama.

- Wygląda mi na walczącego. Na pewno nie chcesz go zobaczyć w akcji?

- To pies domowy.

- Nie sędzę. Tam ma bliznę.

- To pies domowy.

Adam wysuwa się spomiędzy wysokich chłopaków. Podchodzą bliżej do pitbula.

Chance pochyla niżej łeb, nie spuszcza wzroku z ich twarzy, miękka skóra wokół

pyska drży, a potem się unosi, odsłaniając kły. Obaj chłopcy się odsuwają.

Nagle przestraszony, że pies rzeczywiście się na nich rzuci, Adam zawraca na pięcie, ciągnie Chance'a za sobą.

- A taki podobny do mojego psa. - Chłopaki śmieją się i wchodzą do spożywczego.

— Kogo ty broniłeś? - Adam pokonał sześć przecznic w sześć minut. Na tej jest Starbucks, z ogródkiem na zewnątrz nawet w zimie. Zatrzymają się tam, złapią oddech i zaszaleją, żeby się uspokoić. Podwójna mocha latte w największym kubku. - Mnie czy siebie? Znasz tych gości?

Pies się otrząsa i siada na chodniku. Nieprzenikniony.

Całkiem możliwe, że mówili prawdę. Gina sugerowała, że pies walczył, ale w takim razie dlaczego się ich bał, skoro się znali? Powód nagle wydaje się oczywisty.

- Zrobili ci krzywdę? - Adam przykłęka na jedno kolano, przyciąga pysk psa do twarzy. — Zmuszali cię do walk?

Słyszy śmiech dwóch osób wychodzących ze Starbuck- sa i wstaje zawstydzony, że rozmawia z psem. W środku kupuje sucharka, którym podzieli się z Chance'em.

Adamowi puls powoli wraca do normy, a słodka latte poprawia mu nastrój. Ulicą przechodzi jakaś kobieta w średnim wieku. Patrzy na pitbula. Robi nerwową minę, jakby pies mógł się na nią rzucić. Strach zniekształca rysy jej twarzy. Kobieta boi się, bo zna reputację tej rasy. Szerokim łukiem omija miejsce, gdzie siedzą.

Adam rozpoznaje tę minę, widział ją już wcześniej, dawała mu wtedy skrywaną satysfakcję. Coś kłuje go pod żebrami; bierze głęboki wdech. Naprawdę był taki zły, przerażający? Mylnie brał strach za szacunek? Często się przechwalał, że jego ludzie nie muszą go lubić, muszą tylko robić to, czego od nich oczekuje. I kiedy tego oczekuje. Ani jeden pracownik - nie z równych rangą, ale podwładnych - nie mówił o nim inaczej jak „pan March”. Nikt nie pokazał mu zdjęć swojego nowo narodzonego dziecka, nawet kiedy on przechodził obok, a wszyscy je oglądali. Ani jedna osoba - która miała pracę dzięki temu, że Adam dobrze wykonywał swoją - nie przysłała mu nigdy kartki na święta.

Ostatek sucharka znika w paszczy psa; Chance chrupie go głośno i łapczywie. Adam zmarzł, siedząc na metalowym krześle w spadającej temperaturze. Na jego twarzy, kiedy stał naprzeciwko tamtych dwóch opryszków, na pewno malował się taki sam strach; lęk przed tymi, którzy mają kontrolę nad chwilą, decydują o następnym kroku.

Fantomowy ból ponownie się odzywa i Adam znów bierze płytki wdech. Pies podnosi na niego wzrok, żółtobrą- zowe oczy wyrażają nadzieję na kolejny kawałek sucharka; incydent na chodniku już został zapomniany.

- Pora wracać do domu.

Rafe śpiewa do wtóru Tracy Chapman na swoim iPodzie, poważnie fałszując. Talkin' about a revolution, yah yah yah. Dzisiaj przyrządził pieczeń rzymską z sosem, swoje popisowe tłuczone ziemniaki z czosnkiem i sałatkę, podaną w misce wielkości kotła do wytapiania tłuszczu na statku wielorybniczym. Ten zestaw stał się jedną z ulubionych potraw Adama, co zaskakujące, bo pieczeń rzymska, podobnie jak wątróbka, była zakazana w domu Marchów. Zbyt często jadał ją w dzieciństwie, z chlebem albo otrębami, polaną keczupem. Ale wersja Rafe'a mogłaby być podawana w dowolnej z ekskluzywnych restauracji, do których Adam kiedyś chadzał. Mówi o tym Rafe'owi.

- Naprawdę, stary? Weź przestań. Przepis należał do mojej babci, która dostała go od swojej i tak dalej do czasów, kiedy nasi ludzie przywieźli go tu na pokładzie niewolniczego statku.

- Rafe, twoim hiperbolom dorównuje tylko twoje mistrzostwo w posługiwaniu się szpatułką. - Adam zdejmuje długi biały fartuch i wrzuca go do kosza na pranie.

Szef kuchni ośrodka wkłada słuchawkę z powrotem do ucha, ale się uśmiecha.

March jest w dobrym nastroju. Dwie rzeczy ogromnie go rozweseliły. Po pierwsze, klient - krok do wyrwania się spod druzgocącego brzemienia diugu, który narós!, od kiedy Adam stracił pracę i oszczędności. Po drugie — Ariel sama z siebie do niego zadzwoniła. Chciała spotkać się z nim w weekend, nieproszona. Adam zwalcza narastające przeczucie, że nie chodzi o spędzenie czasu z nim, ale o zagranie na nerwach matce. Ostatnio Sterling narzekala, że Ariel się buntuje. Jej dotychczasowi przyjaciele zniknęli, a nowych Sterling uznała za całkowicie nieodpowiednich. Adam bronił córki, tłumaczył to wiekiem dojrzewania, ale Sterling, w rzadkiej chwili szczerości, nie podzieliła jego optymizmu. Martwiła się, że chodzi o coś, co wykracza poza zwykłe bóle dorastania. Mówi Adamowi, że Ariel ni z tego, ni z owego chce przestać jeździć konno. Ma coraz gorsze stopnie, nie próbowała się dostać do drużyny lacros- se'a. A wczoraj wróciła z miasta z kolczykiem w nosie.

Adam myśli o buncie w wydaniu Ariel i wersji Veroniki z 1968 roku. Kolczyki w nosie kontra minispódniczki. Normalny nastoletni brak szacunku kontra zniknięcie.

Kiedy wszystko w kuchni ośrodka jest już tip-top, Adam zarzuca kurtkę, chowa w kieszeń porcję pieczeni, którą Rafe przygotował dla Chance'a, i życzy kolegom

miłego weekendu. Spieszy się, resztę dnia spędzi, dopieszczając biznesplan klienta. Startująca firma, trzech przedsiębiorców o twarzach dzieci zdołało zebrać milion dolarów po znajomych i rodzinie, żeby zacząć projektować skate-par-ki. Mają nadzieję zostać Reese'em Jonesem deskorolkowców. Adam zamierza zostawić marynarkę i krawat w domu, kiedy będzie przedstawiał im w poniedziałek po południu swoją prezentację. Potem musi zaplanować jakieś posiłki na wizytę Ariel. Tym razem oprze się pokusie zabrania jej do drogiego lokalu; sam coś ugotuje. Dużo się uczy od Rafe'a, chociaż właściwe proporcje są wciąż wyzwaniem i nieraz przesadził z lazanią, której wystarczyło mu potem na tydzień. A Chance potrzebuje codziennej przebieżki.

Minęło już sporo czasu, odkąd Adam ostatnio oglądał Sędzię Judy.

O wpół do szóstej park zaczyna pustoszeć; Adam odkrył, że to najlepsza pora na wyprowadzanie psa. Biegają wokół sztucznie utworzonego jeziora na środku, potem stygną, spacerując ścieżką łagodnie wijącą się przez ogrody. Wciąż jest za wcześnie na kwiaty, ale widać już zielono- -różowe przebłyski, zwiastuny reanimacji gołych gałęzi nad ich głowami. Prażkowa bestia biegnie obok Adama, wywieszony język nadaje jej wesoły wygląd. Kiedy zwalniają, Adam popuszcza smycz i pozwala Chance'owi na harce po świeżo skoszonych i pustych trawnikach.

Kiedy wchodzi na niskie wzniesienie, pojawia się Gina z trzema chartami. Oboje stają w oddaleniu, niepewni co do psów, co do Chance'a.

- Wezmę je na smycz.

Gina woła swoje psy, które wyglądają jak bezrogie jelenie. Adam zerka na Chance'a i z ulgą widzi, że ten wciąż lekko merda ogonem. Cieszy się na widok Giny, czy nie przeszkadzają mu trzy wysokie charty? Bardzo powoli wszyscy zbliżają się do siebie wąską ścieżką. Nosy pracują, ogony zaczynają się majtać, brak wrogości. Charty poruszają się jak dygnitarze, okrążają Chance'a, splatają swoje smycze w warkocz, aż Gina musi się obrócić kilka razy, żeby się uwolnić od tańca wokół majowego słupa, robi to z wdziękiem i ze śmiechem.

Chance spokojnie znosi oględziny. Nie rzuca się, nie warczy, nie szczyrzy.

- Dobry piesek. - Adam klepie Chance'a po żebrach. Ogon wciąż faluje.
- Robi postępy, prawda?
- Tak. Zdecydowanie coraz lepiej reaguje na inne psy.

Nadchodzi niezręczna chwila. Ich oboje męczy niedo-

określenie. Wymieniali ostre słowa, pili razem herbatę. Ona obserwowała jego, on podglądał Ginę. Ale czym wobec tego są: znajomymi z widzenia? W innych okolicznościach, gdyby Gina nie musiała rzucać jajkami w dawnym sporze, czy- by go polubiła? Adam czuje oszołomienie od przemykających mu po głowie myśli; szuka czegoś neutralnego do powiedzenia.

- No, miło było was spotkać. - Gina zbiera smycze w lewą rękę. Z trzema wysokimi zwierzętami przed sobą wygląda jak woźnica rydwanu. - Cześć, Chance.

- Idziemy do wyjścia, mogę pójść z tobą? - Adam lekko ciągnie smycz i Chance przysuwa się bliżej niego. - Dobrze mu robi towarzystwo innych psów.

Gina kiwa głową.

- Jasne.

Bez wrogości, bez ciepła. Gdyby miał określić jej odpowiedź, powiedziałby „ostrożna”. Jest rozczarowany. Nie powinna już być taka niezdecydowana: pochwaliła go doktorowi Gilowi, ale nie chce zapomnieć o związku Adama z Dynamie Industries.

Idą w kierunku kutej bramy. Cisza nie jest ani przyjemna, ani nieznośna. Oboje skupiają się na psach. Prowadzą je między sobą. Ale wciąż żywe wspomnienie jej dotyku na rękę każe Adamowi dotrzymywać Ginie kroku, a nie rzucić: „Ciebie też było miło spotkać”, i podążyć w swoją stronę.

Gina pierwsza przerywa milczenie.

204

1

- Którego tresera w końcu wybrałeś?

J

- Żadnego. Po prostu mnie nie stać. Przynajmniej w tej chwili.

Adam myśli, że Gina może się dziwić, że ktoś taki jak on nie ma pieniędzy na tresera. Chętnie by dodał, że treser konia córki już w zupełności mu wystarcza. Ale tego nie robi. Chce usłyszeć, co powie Gina.

- Są podręczniki tresury na taśmach. Można je wypożyczyć z biblioteki. - Jeśli jest zaciekawiona, nie zdradza tego.

- Świetny pomysł. Chociaż całkiem nieźle przyswoił sobie „siad”. I „chodź”. „Nie włącz na sofę” wychodzi już gorzej.

- Ale w kontaktach z psami jest lepiej. Widzę tu pewne postępy.

- Tak jakby. Trafiłaś na dobry dzień.

- Na szczęście dla moich chłopaków.

- Na szczęście dla mnie.

Dotarli do bramy. Gina zatrzymuje się przy zaparkowanym niedaleko priusie.

- Wpadnij wybrać dla niego posłanie, co? Mogłoby to rozwiązać problem z sofą.

- Wpadnę.

- Mam kilka niedrogich.

- Koszt psiego posłania jeszcze udźwignę.

Gina otwiera samochód. Charty wskakują do środka i zwalają się jeden na drugiego na tylnej kanapie. Gina nie proponuje podwózki, mimo to Adam, przyspieszając kroku w stronę domu, uśmiecha się.

Jeśli Ariel czuje się zawiedziona, że nie idą na wystawną kolację, ma dość taktu, żeby to ukryć. Właściwie jest całkiem pogodna, nigdzie nie widać jej iPoda ani komórki. Adam przeczuwa, że powinien albo coś podejrzewać, albo wpaść w zachwyty. Może po prostu dorasta, myśli. Może jej złość w końcu przechodzi. Ariel ma szesnaście lat, jest wysoka i szczupła. Jej fizyczne podobieństwo do Veroniki zwiększa jeszcze fryzura, włosy nie są ściągnięte w niechlujny kok ani związane w te lekko sugestywne kucyki małej dziewczynki, jakie noszą niektóre dziewczyny z jego okolicy. Dzisiaj jej blond włosy są rozpuszczone, ich naturalna falistość nie pozwala, żeby wyglądały pospolicie. Ariel ma gruby, kremowy szal, do tego czarny owczy kożuszek i designerskie dżinsy. Maleńki, fasetowany kamyczek w płątku nosa migoce w słońcu jak rubinowa myszka. Nie jest taki zły, jak sobie Adam wyobrażał. W efekcie Ariel wygląda na więcej niż szesnaście lat. Adam wie, że dokładnie o to jej chodziło.

Sterling chce, żeby porozmawiał z córką o jej znajomych, o jej zachowaniu i olewaniu szkoły. Przypomniała mu o tym, kiedy odbierał Ariel. Adam postanawia zagrać dobrego glinę. Po co psuć tak udane - jak dotąd - popołudnie? Może poruszy te tematy, kiedy jutro będzie ją zabierał

do Sylvan Fields. Ale na razie zamierza się cieszyć atmosferą współpracy, tą rzadką niewymuszoną bliskością.

Kiedy zatrzymują się na parkingu za jego kamienicą, klepie Ariel po kolanie.

- Chciałbym ci kogoś przedstawić.

Dziewczyna natychmiast sztywnieje.

- Kogo? - Rozpina pas, ale nie otwiera drzwi.

- Nie powiem, to niespodzianka. - Adam jest trochę zaskoczony reakcją córki. Jeszcze nie mówił, że w końcu zatrzymał psa. - Polubisz go.

Ariel wyraźnie się odpręża, uśmiecha i zakłada kosmyk włosów za ucho. W delikatnym skraju różowego ucha - które kiedyś Adam podziwiał, patrząc, jak córka śpi - tkwią trzy kolczyki.

- W porządku. Jego. Jasne.

Najwyraźniej Ariel nie jest gotowa zaakceptować innej kobiety w życiu ojca. Adam się uśmiecha, potem myśli o Ginie. Gdyby zdecydował się z kimś umówić, czy byłaby prawdopodobną kandydatką? Kupił u niej ładne posłanie dla psa; zachowywała się dość miło, kiedy z Chance'em wypróbowywali kilka kolejnych. Oboje wiedzieli, że znalazłby równie ładne w miejscowym markecie zoologicznym za o wiele niższą cenę. Ale podał jej swoją umęczoną Visę z uśmiechem, karcąc się jednocześnie za rozważania, czy Gina go lubi, czy nie. Ale ona ma w sobie coś takiego, co po każdym spotkaniu pozostaje w nim jak powidok.

Ojciec i córka wchodzą po tylnych schodach. Adam stara się nie postrzegać kamienicy tak, jak musi ją widzieć Ariel. Mimo że korytarz jest całkiem porządny, nie czuć żadnych paskudnych zapachów gotowania od sąsiadów, a niektórzy wywiesili nawet jakieś dekoracje na drzwiach, to wciąż panuje tu przemysłowa atmosfera zużycia. Szara wykładzina, beżowe ściany. Tandetne kinkiety oświetlają korytarz, ciemny nawet w środku dnia. Jedyne budynki wielorodzinne, w którym Ariel kiedykolwiek mieszkała, znajduje się przy Park Avenue w Nowym Jorku. Nie ma tam jednak korytarza, winda otwiera się prosto na przedsiónek piętra dziadków. Do nich należy cała kondygnacja.

Adam pospiesznie otwiera drzwi.

Chance siedzi na środku pokoju, wygniecione poduszki na sofie są jasnym dowodem, że psie posłanie to pieniądze wyrzucone w błoto. Na widok Ariel zwierzę macha ogonem, otwiera pysk i wywiesza chorągiew języka. Mruży oczy, wstaje i się otrząsa. Potem znów siada. Jak przy każdej nieznanym osobie, zachowuje dystans.

- Jezu, tato. Co to, do licha, jest?

- Mój pies.

- Pitbul? Masz pitbula? - Ariel się jednak śmieje i klepie w kolana, przywołując psa.

- To ten sam, którego miałeś wcześniej?

- Ten sam.

- Jak to się stało, że go zatrzymałeś?

- To długa historia.

- Zawsze tak mówisz.

Chance ciężko truchta do Ariel, wciąż merdając ogonem. Dziewczyna ostrożnie wyciąga rękę, daje mu powąchać jej grzbiet, potem drapie go pod brodą. Ciekawe, gdzie nauczyła się podejścia do obcych psów. Adam na pewno nigdy jej tego nie uczył. Tak niewiele wie o tej młodej kobiecie. Nie był przy niej, gdy pierwszy raz odwiedziła ją Wróżka Zębuszka. Nawet gdy już podrosła, najczęściej spała, kiedy wracał do domu. Adam, podobnie jak reszta jego kolegów, rozplýwał się, jak to wspaniale spędza czas z dzieckiem. Rodzinne wyjazdy na narty do Aspen, raz w roku wspólna lek

cja tenisa. Na pewno córce wynagradzało to jego nieobecność.

- Jak się nazywa?

- Chance.

- Ciekawe. - Ariel przebiega drapiącymi palcami po głowie psa, wzdłuż jego grzbietu; pitbul się wykręca. - Czyj to pomysł?

- Giny.

Znów napięcie, widoczne w zaciśniętych mięśniach szczęki.

- Ma sklep naprzeciwko, sprzedaje różne rzeczy dla zwierząt i rybki akwariowe. Kupiłem u niej psie posłanie. - Głos Adama brzmi lekceważąco nawet w jego

własnych uszach.

Ariel wyraźnie się odpręży, jakby właścicielka sklepu nie była kimś, kim ojciec mógłby się zainteresować. Wstaje, rozgląda się po mieszkaniu, zdejmuje kurtkę i rzuca ją na sofę. Idzie po coś do picia z prawie pustej lodówki.

Adam nie wie, czym zająć córkę przez następne dwadzieścia cztery godziny.

Pieczeń nie jest tak dobra jak Rafe'a, chociaż Adam dokładnie trzymał się przepisu. Tłuczone ziemniaki wyszły mu przyzwoicie, z sosem oszukał - kupił w puszcze. Za to sałatka jest bardzo dobra. Ariel nie tylko nie kręciła nosem na to plebejskie menu, nałożyła sobie drugi - choć cienki - plaster pieczeni.

- Wiesz co, tato?

209

- Tak? - Zaczyna się, jakaś prośba, której nie da rady spełnić. Nowa para butów, lepsza szkoła. Kolczyki z brylantami. Rozczaruje ją, mgliście obiecując jakieś przyszłe zakupy.

14 - Dobry pies

- Jestem dzisiaj zaproszona na imprezę.

- Wracasz wieczorem do domu? - Czuje się zawiedziony; chyba nie może się nie zgodzić, ale dlaczego wcześniej nic nie powiedziała?

- Nie. To na MIT. Znam jednego chłopaka...

- Nie. Absolutnie nie. Co ci strzeliło do głowy? - Adam zbiera talerze i wkłada je do zlewu. Kupił na deser lody. Wy- kosztował się na posypkę, pamiętając, że Ariel zawsze prosiła o lody z posypką. - Mam lody Ben and Jerry's. Wolisz bananowe czy wiśniowe?

- Tato, obiecałam. To przecież nic takiego. Znam tych ludzi...

- Nie. Bananowe czy wiśniowe? - Może jeśli będzie mówił wystarczająco głośno, ten niedorzeczny pomysł, żeby jego szesnastoletnia córka poszła na korporacyjną imprezę na MIT, rozwieje się jak kłęb dymu. Stara się nie myśleć, że cały dzień dobrego zachowania, wesołej rozmowy, nawet odrobienie lekcji z matematyki przy jego stole, był mydleniem oczu, urabianiem starego.

- Ale tato, zbiorą się wszyscy moi znajomi. Jak nie przyjdę, nie dadzą mi spokoju

przez tydzień. Załatwiłam zaproszenia na tę imprezę i mam ich tam wprowadzić. To totalnie bezpieczne.

Pies sadowi się pod stołem. Nie wystawia spod niego nawet czubka ogona. Opiera nos na łapach, ale strzela oczami spod ruchliwych brwi.

Ariel miota się po małym pokoju, najpierw naburmuszona, potem skamląca. Głos Adama przechodzi od tonu stanowczego jak skała do iskrzącego złością.

- Żadna szesnastolatka zaproszona na studencką imprezę nie może oczekiwać, że będzie bezpieczna. Poza tym jaki student zaprasza nieletnią...

- Mama się zgodziła.

Ariel chyba uważa go za idiotę.

- Jasne. A mnie mają koronować na angielskiego króla. Spróbuj podać jakiś bardziej wiarygodny argument.

- Nie wierzę, że mnie nie chcesz puścić. Zawsze powtarzałeś, że znajomości są ważne.

- Ja? Chyba twoja matka.

Adam gwałtownie odkręca kran i dostaje w twarz rozbryzgiem wrzątku. Wrzuca do zlewu garnki, polewa je płynem do zmywania i zaczyna wściekle szorować. Szum wody zagłusza głos Ariel. Adam zakręca kran. Dziewczyna nawija bez nabierania tchu:

- Courtney tam będzie. To impreza kumpla jej kuzynki.

Courtney Bevins. Córka człowieka, który zajął miejsce Adama w Dynamie. Jego dawnego protegowanego. To Bevins przekonał Wannamakera, że należy się wstrzymać z przejściem. O tak, Adam się tego domyślił.

- Courtney i jej rodzice nie są moimi przyjaciółmi.

- Mama ich lubi.

- Nawet w twoim młodym wieku z pewnością rozumiesz, że ta lojalność jest dla mnie przykra.

Adam milczy. Ariel milczy. Puls zaczyna mu wracać do normy, epizod się zakończył, idziemy dalej.

- Tato?

Odwraca się od zlewu i patrzy na córkę. Włożyła kurtkę, na ramię zarzuciła rujnująco drogą torebkę - nie podróbkę, autentyk wymuszony przez jej matkę. Przebrała się z dżinsów w krótką spódniczkę, buty do kolan na obcasach tak wysokich, że Adam nie ma pojęcia, jak w tym można chodzić. Krótki kożuszek jest rozpięty, ukazuje wydekoltowaną turkusową bluzkę, obcisłą jak trykot i podkreślającą rozcięcie między piersiami - ten widok wstrząsa Adamem.

Ariel patrzy na ojca z wyzwaniem w oczach - może nawet wzbudziłoby to jego podziw, gdyby nie było wymierzone przeciwko niemu. To, jak zaciska szczęki, jak odrzuca włosy z oczu potrząśnięciem głowy, rozchyła usta, przypomina Adamowi, co na nią czyha w pełnym nietrzeźwych, ledwie pełnoletnich, napalonych młodych mężczyzn w klubie akademickim.

- Wychodzę, tato, i nie możesz mnie powstrzymać.
- Ariel, ani się waż.
- Nie masz prawa opieki nade mną. Idę. Nienawidzę cię.
- Nie pyskuj mi tu, młoda damo.

Dziewczyna szarpie za klamkę, traci kontrolę nad drzwiami, które wałają w ścianę.

- Wracaj natychmiast.
- Pieprz się, stary.

Naprawdę to powiedziała, czy Adam słyszy tylko echo z przeszłości? Fantomowy ból, który przez ostatnie kilka miesięcy mniej mu dokuczał, ściska teraz pierś jak imadło.

Drzwi zamykają się z hukiem.

Chance wygląda spod stołu, ale nie opuszcza schronienia.

Adam znieruchomiał w pół kroku. Woda ze zmywania wcieka mu pod rękawy. Musi zatrzymać córkę, ale jednocześnie myśli, że jeśli Ariel postoi kilka minut na ulicy, gdzie jeździ mało taksówek, a do najbliższego przystanku jest półtora kilometra, to wróci. Jego ojciec nie zrobił nic, żeby zatrzymać Veronicę. Został w kuchni. Mamrotał do siebie epitety. Usiadł z powrotem przy stole, otworzył gazetę.

A potem Adam myśli o tym, jak Ariel była ubrana i kto jeszcze mógłby ją zabrać. Pies wychodzi spod stołu, okrąży swojego pana szerokim łukiem, ale nie spuszcza z niego wzroku. Adam zgina się w pół, przyciska mokre ręce do boków. Stein mówił mu, żeby głęboko oddychał, kiedy czuje wzbierającą wściekłość. Wdech. Wydech.

Następny. Teraz może za nią iść. Pies obwąchuje walizkę Ariel z ubraniami na zmianę i patrzy na Adama.

- Wszystko w porządku, kolego.

Adam wciąż stoi nachylony, ma zamknięte oczy, z trudem chwytając powietrze, zupełnie jak po szybkim okrążeniu jeziora z Chance'em.

Nos psa dotyka jego nosa. Przestraszony March się prostuje.

I wtedy rozumie. Ojciec nie mógł pójść za Veronicą, bo syn zostałby w mieszkaniu sam. To nie epitety Adam pamięta, tylko modlitwę. To przez niego siostra uciekła. Nie było nikogo, kto by przypilnował małego chłopca. Ojciec nie pozwolił Veronice odejść, ale po prostu nie mógł jej zatrzymać.

Adam nie jest bezsilny, a Ariel mu nie ucieknie. Łapie klucze, komórkę i wybiega, trzaskając drzwiami. Pędząc po schodach, słyszy pojedyncze szczeknięcie Chance'a.

Chociaż nie rzucali się na siebie z zębami, konfrontacja między moim panem a jego szczeniakiem była równie zacięta, jak wszystkie widziane przeze mnie walki na arenie. Uff. Siedziałem w klatce pod stołem, ze spuszczoną głową i położonymi uszami, nie spuszczałem wzroku z walczących. Warknięcie, kłapnięcie. U-ha.

Patrzyłem na ich nogi; tańczyli po pokoju, używając swoich głosów jak broni. Potem młoda wypadła za drzwi. On sapał, nie jak zwycięzca czy pokonany, ale jak pies ściągnięty za linię boczną, żeby złapał oddech, zanim dobije przeciwnika. Byłem z niego dumny i dotknąłem jego twarzy, żeby wiedział, że ma na ringu partnera.

Kiedy wyszedł, stałem długo i wdychałem zapach ich rozpalonych ciał. W pokoju było bardzo cicho, tak cicho, że wołania faceta słyszałem jeszcze z daleka. Zaskrobałem w drzwi. W końcu dobiegł mnie znajomy odgłos samochodu. A potem zostałem w zwyczajnej ciszy mieszkania. Poszedłem do miski z wodą. Wychłęptałem trochę, szturchnąłem nosem pustą miskę na jedzenie, spróbowałem przewrócić kosz na śmieci cudownie pachnący resztkami, ale jest mocno wklonowany między szafkę a ścianę i ma diabolicznie sprytne zamknięcie, więc jak dotąd opiera się moim wysiłkom.

Potem wskoczyłem na kanapę, ułożyłem z poduszek wygodniejsze gniazdo i zwinąłem się w kłębek, czekając na ich powrót. Co okazało się bardzo długim czasem, nawet według psiej miary.

Przez te dwie minuty, które Adamowi zajęło dotarcie na ulicę, Ariel zniknęła, jakby pochłonęła ją noc. Chodnik jest pusty, Adam nie może uwierzyć, że poruszała się tak szybko na tych obcasach. Ani że zbiegnięcie po schodach na dwór zajęło mu więcej

czasu, niż myślał. Czeka, słucha łomotu własnego serca i próbuje zdecydować, w którą stronę iść. Ariel nie zna okolicy, nie wie, którędy iść do metra. Ale on wie i rusza w tamtym kierunku, truchtem, oszczędzając siły na sprint, kiedy ją zobaczy.

Na stacji wyjmuje kartę magnetyczną, przechodzi przez bramki i biegnie na peron. Mnóstwo ciemnych kurtek i krótkich spódniczek. Mniej - jasnowłosych dziewczyn. Nagle widzi plecy blondynki opartej o filar. Chociaż jest niska, Adam usiłuje sobie wmówić, że to Ariel. Ze ta nagła świadomość wysokiego wzrostu córki to złudzenie, na pewno Ariel jest wciąż dość mała, by mu się mieścić na kolanach. Zmusza się do uspokojenia oddechu i zbliża do dziewczyny powoli - swobodnie, z nadzieją. I oczywiście to nie Ariel.

Na pewno dopisało jej szczęście i złapała taksówkę albo wcześniej zaplanowała spotkanie ze znajomymi z samochodem. Adam idzie po lexusa i jedzie do Cambridge. Znajdzie Ariel, choćby miał szukać po wszystkich klubach. Nie ma takiej możliwości, żeby ją stracił. Co chwila do niej dzwoni, trzyma palec na przycisku szybkiego wybierania. Ciągłe odzywa się poczta głosowa, ale Adam chce, żeby Ariel wiedziała, że do niej jedzie, że ma telefon w ręku.

Gnając po Memorial Drive, myśli o wszystkich studenckich imprezach, w których uczestniczył, i uświadamia sobie coś, o czym Ariel w swoim licealnym buncie nie ma pojęcia. Żadna tego typu impreza nie zaczyna się tak wcześnie. Najlepsze startują około północy, nie o wpół do ósmej. W takim razie, dokąd ona pójdzie? Z kim? Jeszcze czas, żeby ją znaleźć i zabrać do domu. Zaczyna się odprężyć. Sterling pewnie zna numer komórki tej przeklętej Courtney albo kogoś innego ze znajomych Ariel. W ostateczności do niej zadzwoni. Obmyślił już plan.

Zatrzymuje się na parkingu pod marketem, dzwoni do Ariel raz jeszcze. Kiedy automatycznie włącza się poczta głosowa, żałuje, że nie wykupił sobie usługi esemes, odżałowałby te sześć centów za wiadomość. Ariel nie odbiera.

- Ariel, czekaj na mnie w centrum studenckim. Nie narobię ci wstydu przed znajomymi; ich też zawiozę do domu, jeśli będą chcieli. Żadnych pytań, żadnych konsekwencji.

Wierzy, że córka jest jednak rozsądna i przyjdzie.

To nie jest centrum studenckie z czasów Marcha. To kompleks handlowy i Adam natychmiast zdaje sobie sprawę, że między barami, księgarnią i salą gier może się błąkać całą noc i nie znaleźć córki, jeśli nie ustalą konkretnego miejsca. Po raz kolejny wybiera jej numer.

- Jestem w holu na parterze. Patrzę na wejście od Mass Ave.

W centrum studenckim Adam czuje się jak podglądacz, a w najlepszym razie jak podejrzany facet w średnim wieku. Większość dookoła to młodzi ludzie, ci starsi mają odpowiednio profesorską aparycję, nieco ponurą, i chodzą z książkami pod pachami i teczkami w rękach. Nikt tu nie wygląda na oszalonego ojca, szukającego zbuntowanej córki. Adam pochłonął dość kawy, żeby nie spać całą noc, ale nie wie, jak długo usiedzi tu jak bezdomny, przyglądając się każdej przechodzącej dziewczynie w krótkiej spódniczce i obcisłej bluzce, zanim ochrona podejdzie z nim porozmawiać.

Żadna z nich nie jest Ariel. Naprawdę myślał, że ona tu przyjdzie. Że wysłuchała jego wiadomości. Zostawił ich dużo, wszystkie takie same, z prośbą o telefon, więc może nie chciało się jej odsłuchiwać ostatniej z poleceniem spotkania w tym miejscu. A może w ogóle nie odsłuchiwała żadnej.

Adam był na wielu studenckich imprezach i widział, jakie szkody potrafią sobie wyrządzić młodzi w uderzającym do głowy poczuciu nienadzorowanej wolności. Kanapy podpalane i wywalane przez okna; zatrucia alkoholowe. Nie tak dawno temu jakiś student przez to umarł, właśnie tutaj. Stąd już niedaleko do myśli o pigułkach gwałtu. O jego córce i seksualnych drapieżnikach czających się za każdym rogiem. Adam czuje oplatające go wstęgi cierpienia, ręce mu się trzęsą, jakby całą noc pił. Jest za Ariel odpowiedzialny, a ją zgubił. Wyświetlacz komórki pokazuje wpół do pierwszej. Centrum studenckie nie wygląda już jak ul, raczej jak przystanek autobusowy w nocy; ci, którzy tu jeszcze są, ślęczą nad książkami albo śpią na fotelach, z plecakami i torbami w roli poduszek i podnóżków.

March nie śmie oderwać spojrzenia od drzwi. Porzucić nadziei. Czekać tu ani chwili dłużej.

Podchodzi do potężnego czarnoskórego chłopaka w bluzie z greckimi literami. Student ma na ramieniu torbę z laptopem i wygląda na znużonego, jakby nie spał od wielu dni i nie mógł się doczekać, kiedy padnie do łóżka. Wlecze się do wyjścia zgarbiony i ze spuszczoną głową; kawał byka - nie robi specjalnie miłego wrażenia. W luźnej bluzie i śnieżnobiałych adidasach przypomina trochę tych gnojków, którzy zaczepili Adama na ulicy i pytali o Chance'a. Gdyby nie greckie litery na piersi, March rozejrzałby się za kimś innym.

- Mogę o coś spytać?

Chłopak się zatrzymuje, całkowicie zaskoczony widokiem mężczyzny na swojej drodze.

- Słucham. - Prostuje się, imponując wzrostem i masą. Nie jest agresywny, tylko

ziartywany. Mógłby odrzucić Adama jedną ręką, ale chce usłyszeć, co facet ma do powiedzenia.

- Szukam córki. Przyszła na jakąś imprezę do akademika i muszę ją znaleźć. Jest mocno niepełnoletnia.

Chłopak patrzy na niego z autentycznym zmartwieniem i Adam czuje łaskotanie tej wstążki niepokoju; słusznie boi się o Ariel.

- Tu zawsze coś się dzieje. Może być nawet w Back Bay. Sporo tam Greków.

Adam czuje, że nie ma nadziei na znalezienie Ariel w tym mieście studentów.

- Ale wie pan co, podzwonię po znajomych.

March ze zdziwieniem patrzy na grubego, a tak zwinny kciuk chłopaka. Po chwili olbrzym już z kimś rozmawia.

- Cześć, stary. Tak, jasne, słuchaj, jest u was impreza? - Spogląda Adamowi w oczy i kręci głową, dziękuje znajomemu i zamyka telefon. - Kumpel mówi, że może coś być w TDC na Memoriał.

- Dzięki. Bardzo mi pomogłeś.

- Hej, człowieku, zaczekaj. Co pan chce zrobić?

- Wbić się na imprezę.

- Powodzenia. - Wielkolud w bluzie Alfa Psi Alfa zakłada czapkę, modnie ją przekrzywia i wychodzi.

Adam rusza za nim; orientuje się w okolicy i truchtem zmierza w stronę głównej siedziby. Nocne powietrze go chłodzi. Adam podnosi kołnierz kurtki; żałuje, że nie wziął szalika z samochodu - zostawił go na przednim fotelu. Mija studentów, w ogóle nie zwracają uwagi na samotnego mężczyznę brnącego przez tłumek sobotniej nocy. Chce zapytać, czy idzie w dobrą stronę, czy jeszcze daleko, ale nikt nawet na niego nie patrzy. Czują się bezpieczni w grupie i nie przejmują się zagonionym facetem w średnim wieku, w za cienkiej kurtce, który z całych sił stara się nie wpaść w panikę.

Pod drzwiami zatrzymują go młodzi mężczyźni. Uprzejmie odnoszą się do prośby o możliwość poszukania córki i jeden z nich proponuje, że się rozejrzy. Adam nie chce zostać, jak mu każą, pod schodami, ale idzie za swoim przewodnikiem. Zagląda do każdego mijanego pomieszczenia, mimo zapewnień, że żadna bardzo młoda dziewczyna nie została wpuszczona na imprezę „powyżej dwudziestu jeden”. Adam gryzie się w język, żeby nie skomentować: akurat w to uwierzę.

- Wygląda bardzo dojrzałe.

- Sprawdzamy dokumenty. Czasami jakiś pierwszorzecznik próbuje wkręcić swoją dziewczynę licealistkę, ale jesteśmy czujni.

Pyta, czy Adam wie, kogo córka mogła odwiedzać.

- Nie. - Znajomy kuzynki Courtney Bevins. Adam stara się przypomnieć sobie, czy Ariel wymieniała jakieś imiona i nazwiska. Uświadamia sobie tylko głębię jej milczenia wobec niego. Brak jakiegokolwiek wglądu w życie własnego dziecka, mimo przesłuchań w dni odwiedzin. Dopytywał, a Ariel lekceważyła ojcowskie próby spenetrowania bariery, którą zbudowała wokół siebie jako jego córka i jako nastolatka.

Muzyka jest ogłuszająca, w głównej sali ścisk. Czarny DJ puszcza hip-hopowe piosenki w większości białym studentom. Lampę pod sufitem zastąpiono stroboskopem, a twarze tancerzy wyglądają upiornie, pojawiając się i znikając. Adam usiłuje wypatrzeć Ariel w falującym tłumie, ale błyskający stroboskop uniemożliwia skupienie się na żadnej twarzy.

Z podłogi unosi się smród wymiocin. W kolejnym pomieszczeniu stoi stół z plastikowymi kubkami, które ktoś napełnia z beczki. W jeszcze następnym najwyraźniej trwa konkurs, kto najszybciej wypije butelkę piwa. Trzech chłopaków już leży na podłodze; Adam nie widzi, czy jeszcze oddychają. Powinien zadzwonić na alarmowy? W małej salce po lewej dwóch mężczyzn siedzi w milczeniu nad szachownicą, nie zwracając uwagi na hałas.

- Na górze? Może być z kimś na górze.

- Nie wolno mi tam pana wpuścić. Prywatność.

- Chodzi o szesnastoletnią dziewczynę. Jeśli coś się jej stanie, to wpadniecie w niezłe gówno. Kluby bywały już zamykane.

Bramkarz zerka na partnera, a ten tylko wzrusza ramionami.

- Dobra, ale żadnego pukania do drzwi. Tylko te otwarte, a ja pana tam nigdy nie zaprowadziłem.

Przechodzą po wszystkich piętrach, zaglądają do pokoi z szeroko otwartymi drzwiami. W większości z nich są studenci; na widok Adama niektórzy chowają ręce za plecy albo zatrząskują drzwiami. Kilka pomieszczeń jest pustych.

Hip-hopowy beat przesącza się do kości. Adam odnosi wrażenie, jakby prowadził

poszukiwania do rytmu, wykonywał taniec o dziwacznej choreografii, w którym jest solistą, a nie pamięta kroków.

- Ariel!

Co i raz przykłada ręce do ust i ryczy jej imię.

Znów jest na ulicy. Bramkarze zasugerowali, żeby sprawdził w sąsiednim akademiku i jeszcze następnym. Skala poszukiwań przytłacza. Adam nie zdoła zajrzeć do każdego akademika i klubu w tak wielkim kampusie. Szuka kogoś, kto nie chce być znaleziony. Siada na stopniu budynku z brązowego piaskowca. Chowa głowę w dłoniach. Musi zadzwonić do Sterling; zapytać, czy ona się orientuje, kogo Ariel może tu znać. Znieść jej gniew i wziąć na siebie zasłużoną winę. Wyjmuje komórkę. Na ekranie jest symbol nieodebranego połączenia. Adam nie słyszał dzwonka, hip- -hop zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

Z łomotaniem pulsu w uszach wciska guzik identyfikacji dzwoniącego. W ułamku chwili, zanim zobaczy numer, modli się, układa z Bogiem, o którym dawno już zapomniał. Resztki wiary w miłosiernego Stwórcę palą go w serce, kiedy zamyka oczy i wciska „pokaż”.

Posterunek policji ośrodka akademickiego jest przy Vassar Street, całkiem niedaleko. Adam ledwie pamięta, gdzie zostawił samochód, więc idzie na piechotę, wykorzystując ten czas, żeby powściągnąć emocje i złapać oddech. Wyprostować się. Latarnie wydobywają jego cień. Na ulicach prawie nie ma ludzi. Para zataczających się studentów trzyma się pod ręce i z chichotem zmierza do bezpiecznego pokoju w akademiku. Samotny rowerzysta pędzi środkiem jezdni, niezagrożony ruchem samochodów. Z cienia wychodzi mężczyzna z dużym psem. Adam myśli, że w domu zostanie bałagan. Biedny Chance. Porzucony bez chwili zastanowienia.

Ostatnio Adam zaczął do niego mówić jak do myślącej istoty. Z początku czuł się głupio i trochę się wstydział, że tak się przyzwyczaił do obecności psa, że traktuje go jak kumpla. „Widziałeś tę zagrywkę? O czym on myślał?” Ale tak było mu łatwiej. Wyrażał swoje myśli na głos, a w odpowiedzi Chance tylko zerkał z ukosa albo kładł mu wielki, kanciasty łeb na kolanach. Co jakiś czas pies wydaje z siebie ciche rroorr rroorr, zgadzając się, że to było durne zagranie, czy przytakując jakiejś innej opinii. Wtedy Adam obejmuje jego krzepkie bary i w nagrodę dostaje szybkie liźnięcie po policzku. Potem obaj siadają wygodniej, utwierdzeni w swojej męskiej solidarności.

Ariel czeka na ojca na twardym krześle naprzeciwko policjanta dyżurnego, który dzwonił do Adama. Wstaje na widok ojca, na twarzy ma plamy po zaschniętych łzach, czuć od niej wymiocinami. Cienka smuga brudu kala perfekcyjny wygląd

kożuszką. Pończochy są rozdarte nad cholewami, jakby potknęła się i upadła na kolana. Włosy ma skołtunione, droga torebka zniknęła.

- Panie March, pańska córka została napadnięta, ale na szczęście tylko okradziona. Znaleźliśmy ją samą na ulicy, chociaż twierdzi, że była ze znajomymi.

- Ariel?

- Tatusiu. - Minęły całe lata, odkąd ostatnio tak się do niego zwróciła.

- Co się stało?

- Nic mi nie jest.

- Gdzie twoi znajomi?

- Nie wiem.

- Co się stało?

Ariel ociera usta wierzchem dłoni. Paznokcie ma połamane, a ręce pocierane.

- Upadłam.

- Ktoś cię popchnął?

- Nie. Przenosiliśmy się na inną imprezę, zostałam trochę w tyle, bo nie nadążałam. Potem się potknęłam. Chyba nie wiedzieli, że upadłam, bo poszli dalej. Nie słyszeli mnie. A potem nagle, nie wiadomo skąd pojawił się jakiś facet. Złapał moją torebkę. Tak się bałam, że mi coś zrobi, że mu ją oddałam. Jak się podniosłam, zrobiło mi się niedobrze. A potem byłam sama na ulicy bez telefonu, bez pieniędzy...

- Jak tu trafiłaś?

- Zauważył mnie policjant. Przywiózł tutaj i zadzwonił do ciebie.

- Piłaś? - Widzi, że chciałaby zaprzeczyć, ale dowody są oczywiste.

- Tak.

- Dobrze, że zostałaś tylko okradziona. Nie masz pojęcia...

- Mam. Nie musisz mi mówić. Dostałam nauczkę.

Jej ton jest sardoniczny, jakby jedyną nauczką było spodziewać się kazania od zamartwiającego się ojca.

Na brudnej twarzy wciąż są ślady łez, ale oczy już wyschły. Dziewczyna wychodzi przed ojcem w ciemność przedświt. Adam wie, że wydarzyło się coś więcej, ale tych detali nigdy nie pozna. To, co przeszła, stanie się częścią historii jej życia i może któregoś dnia, kiedy jej własne dziecko zrobi coś równie buntowniczego, nagle zrozumie, jak on czuje się w tej chwili. Panika minęła, ale wspomnienie zostanie na zawsze.

Kiedy docierają pod dom Adama, szare światło dnia kończy długą noc. Drzwi saloniku są otwarte, sprzedawca wnosi paczki gazet zostawione na chodniku. Adam myśli o bezsennych nocach, które spędził, czekając, aż te drzwi się otworzą, światła zapalą. Czuje nostalgię, ale i wdzięczność, że nie budzi się już w ciemnościach.

225

Ariel drzemie na siedzeniu obok. Nic się jej nie stało, nie licząc podrapanych kolan i posiniaczonego ego. Adam pamięta swój układ z Bogiem i szepcze dziękczynną modlitwę. Kiedy patrzy na śpiącą córkę, przychodzą mu do głowy słowa „cud boski”. Pozwoli dziewczynie zachować tę koszmarną noc dla siebie. Nie powie też, jak cierpiał, szukając

15 — Dobry pies

jej wszędzie. Dopóki wie, że na posterunek policji trafiła tylko ze zranioną dumą, jest zadowolony. Nauczka. Nie zadawaj się ze znajomymi, którzy cię zostawiają, żebyś rzygała w krzakach sama, wydana na pastwę złodzieja. I ciesz się, że nie stało się nic gorszego.

Adam zastanawia się, czy jego siostra też dostała kiedyś nauczkę.

Odrzuca myśl, że to przez niego ojciec nie pobiegł za Veronicą. Mógł zabrać Adama ze sobą albo podrzucić sąsiadce, na ich ulicy były trzy kamienice, na pewno jakaś kobieta zgodziłaby się popilnować małego chłopca, kiedy spanikowany mężczyzna gonilby zbuntowaną córkę. Adam wie, że on nigdy nie zostawiłby Ariel. Tak jak ojciec zostawił Veronicę, a potem jego.

Ariel porusza się, kiedy Adam gasi silnik. Krótka drzemka sprawiła, że koszmarny efekt buntu już zbladł. Dziewczyna patrzy na ojca z zawstydzeniem, ale i z pogardą. Nie ma już „tatusia”, który ją uratował. Znow jest Bezimiennym.

- Chcę jechać do domu.

- Maszerujesz do łóżka. Odwiozę cię, jak uznam, że pora.

Ariel obrażona idzie wziąć prysznic, a Adam przypina smycz psu. Zbiegają po schodach; Adam czuje protest wszystkich napiętych mięśni pleców i nóg. Chance długo się powstrzymywał, więc przywitał wybawcę z ogromną wdzięcznością. Adam wyprowadza go na pustą działkę, ale nie spuszcza ze smyczy. Dość ma już ścigania zbiegów.

- Powiesz mamie?

- A chcesz?

- No co ty, nie. - Ariel nie patrzy na niego, wygląda przez okno pasażera na skraj szosy; słupki balustrady odliczają kilometry do Sylvan Fields. - Poza tym i tak miałyby pretensje do ciebie.

- Nie da się ukryć. Dobrze, to postawmy sprawę jasno, będę cię krył przed matką, ale muszę coś z tego mieć. A ty się nauczyłaś... czego? Nie mieszać wódki z winem?

- Ona się z kimś spotyka, wiesz?

- Jej prawo.

- Nie znoszę faceta. Jest młodszy od niej, a ona go lubi tylko dlatego, że ma wielki...

- Co?

- Portfel. - Ariel wykrzywia kąciki ust w lekkim uśmiechu.

Jej podobieństwo do Veroniki jest wprost porażające. Adam zjeżdża na najbliższy parking.

- Masz ciotkę. Nazywa się Veronica. W wieku szesnastu lat zniknęła. Uciekła. Nigdy więcej jej nie widziałem i nie wiem, co się z nią stało. Była taka sama jak ty. Piękna i uparta.

- Ja nie uciekam.

- Uciekłaś.

- Chciałam tylko iść na imprezę. Nie zamierzałam ulotnić się na zawsze.

- Może Veronica też tak myślała.

Adam wrzuca bieg i wraca na drogę.

Nie mieli nawet dość zwykłej przyzwoitości, żeby zadzwonić i poinformować go przez telefon. Pieprzony e-mail. „Przepraszamy, ale zrywamy rozmowy.

Postanowiliśmy zmienić konsultanta. Bla, bla, bla. Nowe cele. Inny kierunek. Naprawdę nie możemy ryzykować. Powinien pan od razu nam powiedzieć..."

Klienci się na niego wypięli. Czekaj przyjdzie pocztą. Za poświęcony czas. Może dwieście dolarów. Sprawdzili go w rejestrze karanych. Odkryli jego błąd. Tak jak Gina. Przeczytali o napaści i pobiciu. Nie obchodzi ich, że został skazany na prace społeczne. Jedyna dziewczyna w grupie pewnie zrobiła awanturę. Kto by chciał takiego konsultanta? Człowieka oskarżonego o zagrażanie kobietom.

Adam otwiera pierwszy szkic biznesplanu, podziwia to, jak ziściłyby marzenia tych neofitów pozbawionych jaj, potem kasuje plik.

- Cześć, Artie.

- Cześć, Adam.

Zgodnie ze swoim nowym zwyczajem, Artie bez słowa przesuwa po ladzie psiego biskopka, nie patrząc na psa ani na Adama, nie odrywając spojrzenia od krzyżówki. Ciastko znika w przepastnym pysku Chance'a.

- Mówi, że dziękuje.

- Gdybym miał takiego, nie potrzebowałbym, no wiesz... - Artie porusza krzaczastymi brwiami, sugerując, że trzyma schowaną nielegalną broń.

- To gdzie byłeś, jak szukałem dla niego domu?

- Lubię wolność. Żadnych zwierząt.

Już o tym rozmawiali. Przez ostatni rok, kiedy March zaglądał do niego siedem dni w tygodniu, sklepikarz zawsze siedział na taborecie za ladą, z cygarem w zębach, farbą drukarską rozmazaną na czole i krzyżówką pod ręką. Adam poważnie wątpi, czy gość w ogóle cieszy się jakąkolwiek wolnością. Jeśli Artie sądzi, że żyje bez obciążeń, to jego iluzja.

Adam napełnia swój kubek z pokrywką, bierze parę opakowań krakersów serowych i „Globe”.

- Razem cztery dwadzieścia pięć.

Adam podaje ostatnią dziesiątkę, chowa resztę i zastanawia się, kiedy dostanie swoje odczepne od deskorolkarzy.

Nad ladą przesuwa się drugi psi biskopt.

- To na później.

Kiedy wychodzą, Gina otwiera sklep.

- Cześć, Gino. - Adam pozdrawia ją skinieniem.

Kobieta się uśmiecha. Do psa.

- Cześć. Co słychać?

- Bywało lepiej. - Nie ma siły bawić się w uprzejmości ze swoją nieprzewidywalną sąsiadką.

- Nie najlepiej wyglądasz. Co się stało?

Drobna grzeczność, kawałek liny ratunkowej, rzucony w jego kierunku. Choć Adam jest przekonany, że Gina i tak ją wyszarpane, postanawia mimo wszystko chwycić.

- Chcesz kawy? To długa historia.

Chance wyrywa się do Giny. Adam daje krok do przodu i zbliża się razem z psem. Gina nachyla się, żeby pogłaskać pitbula po głowie, przesuwa dłonią po jego grzbiecie, drapie zad i się prostuje.

- Jasne. Mam czas.

Adam podaje kobiecie smycz i swoją kawę, wraca do Ar- tego kupić następną dla siebie. Uśmiecha się, choć sam nie wie dlaczego. W skroniach czuje odrobinę mocniejsze pulsowanie, jakby już wypił pół litra ciemnej palonej.

Papugi skrzeczeniem witają Ginę, która otwiera ich klatkę, wstawia śniadanie z ziaren i owoców, wymienia wodę. Każdego ptaka karmi smakołykami z ręki. Zostawia drzwiczki otwarte, zerka na psa i grozi mu palcem.

- Nie rusz.

Chance marszczy czoło i opada na podłogę, z westchnieniem przypominającym podmuch z miecha.

Gina przechodzi od akwarium do akwarium, popija kawę, wybiera śmieci, sypie karmę, sprawdza temperatury, a Adam opowiada o Ariel i jej sobotniej przygodzie.

Ani słowem nie wspomina o poronionym zleceniu, musiałyby za dużo powiedzieć o sobie. To zbyt zawstydzające.

Gina milczy; choć wykonuje różne zajęcia, słucha z uwagą. Adamowi łatwiej mówić o podejściu Ariel do niego, o jej buncie - o podobieństwie do Veroniki - kiedy

Gina na niego nie patrzy. Odkrywa, że mówi jej więcej niż powinien o swoich trudnych relacjach z córką. O bardziej kategorycznym buncie siostry.

- I gdzie ona teraz jest? - Gina skończyła poranny obchód i idzie za ladę.

- Wczoraj odwoziłem ją do domu. - Kawa mu wystygła.

Gina odstawia na półkę pudełko z karmą dla ryb; wyraźnie się waha, w końcu odwraca się do Adama.

- Chodzi mi o twoją siostrę. Co się z nią stało?

- Nie mam pojęcia. Wyszła z domu i już. - Adam odchrząkuje, pociąga nosem, żeby dać do zrozumienia, że przeszłość już go nie rani. - Mój ojciec za nią nie poszedł.

- Ty akurat słusznie postąpiłeś, pobiegłeś za córką.

- A co innego mogłem zrobić? Siedzieć w domu i po prostu czekać? I tak byłem bezradny, ale przynajmniej znajdowałem się w pobliżu, kiedy zadzwoniła policja.

- Ariel wie, że jej szukałeś. Że bardzo się o nią troszczysz.

- Nie jestem taki pewny.

Jedna z papug wyszła z klatki i podreptała do Giny opartej o ladę. Przekrzywia łebek na lewo i prawo, w końcu wskakuje jej na ramię i zaczyna lekko skubać włosy.

Adam przypomina sobie o krakersach serowych w kieszeni, wyciąga jedno opakowanie.

- Czy Polly może dostać ciastko?

- Na imię ma Fred, i tak. Akurat to jego ulubione, odłam tylko kawałek.

Adam podaje pomarańczowożółtego krakersa; ptak przesuwa po smakołyku dziobem, potem ostrożnie go bierze, nie spuszczać z niego spojrzenia małych ptasich oczu.

- Mówiłeś matce Ariel, co dziewczyna zrobiła? - Gina zdejmuje papugę z ramienia i sadza sobie na dłoni.

- Nie. Kiedy odwoziłem Ariel, Sterling nie było w domu, nie wróciła jeszcze z weekendu ze swoją nową miłością. Sęk w tym, że jak to zrobię, obie mnie znienawidzą; jeśli nie zrobię... kto wie? Może Ariel będzie wdzięczna za moje milczenie.

- Na pewno już docenia twoją pomoc.

- Mam nadzieję. — Adam podaje papudze kolejny kawałek krakersa. - Ostatnio kobiety nie dawały mi taryfy ulgowej.

Ich spojrzenia spotykają się nad papugą chrupiącą ciastko. W oczach Giny Adam widzi dziwny błysk. Jakby coś

o nim wiedziała, ale to ukrywała.

- O co chodzi?

- O nic.

Na policzki Giny występuje lekki rumieniec. Adamowi przychodzi do głowy dotknąć ich palcem i sprawdzić, czy są ciepłe. To chęć tak przemożna, że podnosi rękę. Nagle Gina daje krok w tył; papuga bije skrzydłami, żeby złapać równowagę.

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Rumieniec zmienia się w purpurę. - Jak najbardziej.

I wtedy go oświeca. Gina wie o Sophie, o całym zajściu. Sprawdziła w Googlach. Nie da się już pogrzebać dawnych grzechów, są do publicznego wglądu. Artykuły w prasie

I niekończące się dyskusje na blogach... wystarczy wpisać „Adam March” w okienko przeglądarki. Potencjalni pracodawcy, przyjaciele - mogą znaleźć całe błoto, jakie do ciebie przyłgnęło. Najbardziej osobiste historie wytłuszczone na elektronicznych kartach Internetu.

Adam jest bezsilny. Za utratę panowania nad sobą tamtego dnia, w tamtej chwili, został napiętnowany na wieki. Zaciekła ambicja w połączeniu z mylącą wiadomością, głodem i, choćby urojonym, atakiem anginy, bezczelna niekompetencja asystentki - wszystko to doprowadziło do załamania, do autodestrukcyjnego aktu rozpacz. Adam zapłacił za ten błąd. Ale w prasie, blogach i rozmowach na korytarzu ludzie pamiętają tylko o samym czynie, niewybaczalnym czynie - uderzeniu Sophie.

Widzi siebie oczami Giny i ogarnia go przerażenie. Oto mężczyzna ulegający prymitywnemu odruchowi. Gina nie wie, że ten odruch wychynął z ciemnych otchłani jego przeszłości i wychowania. Uniesiona ręka. Adam patrzył na inne zastępcze dzieci, młodsze od siebie, zamykane w szafach. Siedział głodny, kiedy reszta domowników jadła. Widział pasek wysuwany ze szlufek, składany z trzaskiem na pół, grozący. Bywał bity. Wszystko to w imię dobrego zachowania, manier,

respektu.

Ale wydzwignął się z tego bagna, wyszedł na prostą. Nie chciał pamiętać o tamtej ciemności; w rzadkich wspomnieniach zachował tylko dwie zastępcze matki, które były dla niego dobre - a nawet ich dobroć wynikała z pragmatyzmu. Marge i pani Salter. Nigdy ich nie odwiedził, tych dwóch z siedmiu. Wepchnął je i ich buziaki do tej samej skrzynki w głowie, w której schował pozostałych pięć, traktujących go jak mebel.

Adam pragnie opowiedzieć o tym Ginie, wytłumaczyć się, sprawić, żeby przestała patrzeć na niego tym czujnym wzrokiem. Imponowało jej, że wziął Chance'a, ale to nieważne. Zawsze będzie pamiętać o tym jednym akcie samozniszczenia i przez jego pryzmat osądzać Adama. Lina ratunkowa została mu właśnie wyrwana z ręki.

- Nie jestem taki zły, jak myślisz. Ja nie... - Chce powiedzieć „Nie biję kobiet”, kiedy słyszy gniew w swoim głosie, narastającą moc frustracji. Budzi zdeorientowanego psa z drzemki. - Idziemy, Chance.

Zostawia wystygłą kawę i gazety.

Adam czuje, jak przecina go zębate ostrze paniki. W głowie krążą mu dzienne demony, o wiele bardziej złowieszcze niż te nocne.

Ze swoją kryminalną przeszłością nie dostanie pracy nawet w McDonaldzie. Nie poprowadzi autobusu jak kiedyś. Skończy wśród bezdomnych w ośrodku, jako obsługiwany, nie obsługujący.

Oszczędności, które sąd pozwolił mu zatrzymać na alimenty i inne prawnie nakazane wydatki na rzecz zostawionej rodziny, skurczyły się do śmiesznej sumy. Zostało mu może na trzy miesiące czynszu i ubezpieczenie samochodu. Kiedy słyszy te reklamy: „Wyjdź z długu i już teraz skontaktuj się z nami, jeśli masz ponad dziesięć tysięcy na kartach kredytowych”, czasami myśli, że powinien zadzwonić. Nigdy przedtem do tego stopnia nie popłynął finansowo. Jaka to ironia losu - stracił panowanie nad sobą, więc nie ma kontroli nad pieniędzmi. A przecież dla takich ludzi jak on wynaleziono platynową kartę kredytową. I nigdy nie dopuścił, żeby na koniec miesiąca mieć choć dwa dolary długu. A teraz niezatrudniony. Niezatrudnialny.

Pogardzany przez córkę, przez byłą żonę. I przez kobietę, o której coraz częściej myśli. Ale ona nie ma o nim dobrego zdania właśnie przez ten problem z opanowaniem. Jakże Gina różni się od Sterling. Dobrze się czuje ze sobą, jest zadowolona ze swojego życia. Jej ambicje spełniło prowadzenie sklepu z rybkami i domu pełnego psów ze schroniska. Nazwałby ją człowiekiem prostym, ale to by sugerowało przeciętność. Gina nie jest przeciętna i Adam odczuwa jej pogardę

boleśniej nawet niż pogardę własnej rodziny. Gdyby jego życie potoczyło się inaczej, gdyby poszedł mniej ambitnym kursem, mógłby znaleźć sobie kogoś takiego jak ona i się ustatkować. Martwić się tylko o ceny paliwa, a nie o korporacyjne przejęcia. Zaakceptować swoje trudne początki i zbudować na nich przyszłość jako dobry mąż i ojciec. Czerpać satysfakcję z rodziny, nie z kariery. Wybrać żonę, która kochałaby go za to, kim jest, a nie za to, jaki posiada potencjał sukcesu.

Adam siada na skraju sofy i chowa twarz w dłoniach. Powinien zadzwonić do Steina; wie że musi usłyszeć głos inny niż swój własny. Potrzebuje kogoś, kto by mu powiedział, że wszystko będzie dobrze. Ze to ponura chwila ciemności, ale jeszcze wszędzie słońce.

Bez tego pocieszającego głosu jego myśli toną coraz głębiej. Gdyby zniknął, tak jak Veronica, kto by za nim tęsknił? W przeciwieństwie do siostry, on jednak nie ma żadnego rodzeństwa, które wyczekiwałoby jego powrotu. Rodzinie może nawet by ulżyło. Adam wie, że „zniknąć” to nie jest dobre określenie na to, o czym myśli. Zapomnieć. Wyzwolić się z tej czarnej dziury. Jaki to ból myśleć, że jego śmierć wywołałaby jedynie chwilowy smutek u dawnych przyjaciół. „Szkoda tego Adama Marcha”. Sterling cieszyłaby się towarzyskim uznaniem jako ekswdowa. Ariel dostałaby wolne w szkole. Urlop pocieszenia. Lepsze stopnie ku pokrzepieniu. Wypłata z ubezpieczenia. Z polisy, którą Adam wykupił tydzień przed ślubem, a potem z dumą podpisał aneks wskazujący jego nowo narodzoną córkę jako drugą beneficjentkę, obok Sterling. Nachodzi go nieoryginalna refleksja, że jest więcej wart martwy niż żywy.

A więc to musi wyglądać na wypadek.

Chyba że ostateczną zemstą byłoby zostawić Sterling i Ariel bez pieniędzy. Policzek wymierzony za to, jak go potraktowały. Ze odrzuciły go takim, jakim jest, w głębi serca dobrym człowiekiem.

Adam myśli o Sophie. Bardzo by się ucieszyła na wieść o jego śmierci. Wyświadczyłby jej przysługę.

W rękę pojawiła mu się butelka szkockiej. Szklanka pusta. Ile musiałby wypić, żeby śmiertelnie zatruć się alkoholem? Musi być na to jakiś wzór. Jeśli waży osiemdziesiąt, no dobra, osiemdziesiąt pięć kilo, i mierzy metr osiemdziesiąt... Nie ma siły obliczać. Da radę z pół litrem, czy powinien skoczyć po więcej? Może skuteczniejsza byłaby wódka? Dodać trochę tylenolu?

Adam nalewa sobie kolejną porcję whisky. Po co się spieszyć? Jeszcze zwymiotuje i wysiłki pójdą na marne. Ma cały dzień. O rany, nie, nie ma. Po raz pierwszy w

życiu Adam dzwoni do pracy i mówi, że jest chory. Rafe przyjmuje to z wyrozumiałością.

- Spoko, człowieku. Nic się nie przejmuj.

To, że przełknął historyjkę o „gównianym samopoczuciu”, dolewa do smutków Adama jeszcze miarkę poczucia winy.

Żadnego listu. To by wszystko spieprzyło. Chyba że zostawiłby go w jakimś nieoczywistym miejscu, żeby znaleziono później, po wypłacie odszkodowania. Po tym, jak skremują jego żalosne ciało, a prochy rozsypią. Albo i nie. Pewnie będą leżały w pudełku w szafie Sterling, aż w końcu je wyrzuci razem z innymi niemodnymi już rzeczami. Albo zostawi w krematorium. Nieodebrana paczka.

Świetny plan. Adamowi coś przerwało połączenie ze światem, a teraz on sam przetnie kabel. Nikomu na nim nie zależy, nikt go nie potrzebuje. Nikt nie zauważy jego nieobecności przez pięć dni. Oprócz Dużego Boba. To akurat dobrze. Znajdą ciało, zanim zacznie śmierdzieć.

Chance podchodzi do Adama i siada, pochyla wielki, kanciasty łeb i wypuszcza coś z pyska. Piłkę tenisową od Giny, tę której Adam nie widział od tamtego dnia miesiąc temu. Piłka się odbija, pies podskakuje w kółko, jakby była żywa i warta schwywania, potem wraca i znów siada przed Adamem. Znów ją upuszcza.

- Kto cię tego nauczył? - March czubkiem kapcia kopie ją na drugi koniec pokoju.

Pies ma zad w górze, zabawkę między przednimi łapami. Szturcza ją nosem w kierunku Adama, gdzie piłka uderza w butelkę szkockiej. Adam ją podnosi, kilka razy podrzuca i łapie, a potem ciska w przeciwną ścianę. Piłeczka odbija się z głuchym odgłosem. Pies rzuca się na nią wręcz z ekstazą. Merda ogonem, szczeka, żeby Adam grał dalej. Przynosi mu piłkę pod nogi. Patrzy wyczekująco. Jego spojrzenie mówi, że to jemu zależy. Tak, pies będzie tęsknił za swoim panem.

Co się z nim stanie, jeśli Adam umrze? Wróci do schroniska? W ręce chłopaków, którzy wystawiali go w walkach? Może weźmie go Gina?

Jak koło zapieczone rdzą myśli Adama ruszają z miejsca i zaczynają się obracać. On sam jest piastą. Ariel, Sterling i Sophie łączą się z nim nitami pogardy i oskarżeń. Zawiódł je, przeraził. Zranił. Zareagowały na to. Na jego zachowanie, wybuchowość, nierozwiązane problemy.

Nie odkupił swoich win. Mimo kary w postaci prac społecznych. Mimo utraty pracy, pozycji, żony, córki, przyjaciół. A co najważniejsze, swojego człowieczeństwa.

Ta przemiana jego samego z ofiary w oprawcę wprawia go w osłupienie. Wina, wstyd. Hańba. „Nie jestem taki zły”, powiedział Ginie, ale to nieprawda. Stał się tak spięty, że pęka przy drobnym nieporozumieniu. Jego towarzystwa wszyscy unikają. Został wyrzutkiem.

Jeśli i dopóki nie dokona zadośćuczynienia, nie odzyska swojego człowieczeństwa. Nie dostanie przebaczenia.

Chance upuszcza piłkę. Wydaje ciche rroorr, ale tym razem to brzmi jak ludzka mowa. Jak aprobata. Pies podsuwa wilgotną piłkę do zaciśniętej pięści Adama. Obaj, człowiek i pitbul, wpatrują się w siebie przez chwilę; człowiek czerpie ogromną pociechę ze swojego odbicia w psich ślepiach. Jedynych, które nie patrzą na niego z rozczarowaniem.

Kto wie, skąd się wziął gen „piłki tenisowej”. Po prostu spadła z blatu na podłogę, może przez lekkie trzęsienie ziemi, a może ją potraściłem, kiedy sięgałem po niedojedzoną kanapkę. Tak czy inaczej wpadłem na świetny pomysł, jak wydobyć swojego człowieka z dość przykrego stanu.

Siedział z dłonią zaciśniętą na szklance i ze wzrokiem wbitym w podłogę, tak samo jak tamtego dnia, kiedy ciekło mu z oczu i z nosa i gdy pogłaskał mnie po raz pierwszy; wtedy uznał fakt, że mieszkam razem z nim, i od tamtej pory żyło mi się znacznie lepiej. Przyznaję. Dlatego teraz martwił mnie ostry zapach płynu, który pił. Ostatnio używał go znacznie mniej, dzięki czemu miał więcej czasu dla mnie. Nie uszło mojej uwagi, że był pobudzony, chodził w kółko, siadał, bił się pięściami w głowę. Pił. Zapach napoju zaczął się sączyć z jego porów, zmieszany z amalgamatem strachu, gniewu i smutku. Przypominał mi pewnego psa z piwnicy, który gryzł się sam w obsesji samozniszczenia, aż cała skóra zmieniła się w krwawą masę ran i wrzodów.

Patrzyłem na faceta długi czas, kiedy tak pił i mamrotał, popadając w coraz większy niepokój. A ja, im bardziej się o niego martwiłem, tym mocniej się zastanawiałem, czemu tracę czas na te obserwacje i rozmyślenia. Choć

troska o człowieka nie wynikała z mojej natury. Tak, słyszałem o psach, które ratowały dzieci ze studni i tak dalej. Ale to nie ja, powiedziałem sobie stanowczo; przecież kiedyś zawodowo walczyłem na arenie. Ciągłe powtarzałem sobie, że nie jestem pupilem. Od początku planowałem uciec wiosną, najpóźniej wczesnym latem. Znaleźć sobie zieleń- sze pastwiska. Nie przywiązywać się. Gdyby teraz drzwi się otworzyły - przekonywałem się - wyszedłbym. Sayonara, stary.

Raz już okazałem mu dobroć, ale to nie oznaczało, że jestem stałym elementem

jego życia. Nie było tu mowy o tej żalostnej więzi, parze człowiek-pies, na którą ostatnio sporo się napatrzyłem. Obserwowałem ludzi bawiących się w parku ze swoimi zwierzętami; pozbawione godności igraszki, wyprostowane ogony wywijające jak rozsynchronizowane metronomy. Szczęśliwe miny czworonogów i ludzi. Poniżające lizanie po twarzy. Za co? Za nie więcej niż ja miałem tutaj, miskę wody - chociaż moja akurat stała pusta - i dwa razy dziennie suchą, twardą karmę. Okazjonalne poklepanie po głowie. Nie, nie, nie. Jestem stworzeniem niezależnym, samorządnym. Psem, który nie należy do nikogo.

Prawie już zapadła ciemność i pomyślałem, że gdyby udało mi się go nakłonić do wyjścia na spacer, do spuszczenia mnie ze smyczy na pustej działce, to może nadeszła pora rozstania. Pożegnania z tym samotnym człowiekiem.

Jednocześnie jednak wiedziałem, że bym nie odszedł. On mówił, chociaż nie do mnie. Jego mowa była bełkotliwa niczym jęki pokonanego mistrza. Poczulem ukłucie w sercu, skurcz przeciwko niezależności. Wlazłem na posłanie, które wzięliśmy od tej kobiety, co lubi dawać mi ciastka. Choć prawdę mówiąc, wołałem sofę, ten miękki substytut ciała matki przyjemnie otulał mi grzbiet, leżenie w nim

przypominało powrót do szczeniństwa. Tym razem nie mogłem się wygodnie ułożyć, więc znów stanąłem i zacząłem się gapić na człowieka, chcąc go zmusić, żeby spojrzał na mnie i przypomniał sobie, że ja też mam swoje potrzeby.

Mocno pociągnąłem nosem. Pod odorem emocji i napoju faceta wciąż wyczuwałem podkład jego pierwotnego zapachu. Przez ostatnie dni albo tygodnie, czy jak tam sztucznie mierzą czas ludzie, czułem coś wykraczającego poza zwykłą wdzięczność za karmę. Dzięki jeszcze, że mnie nie bijesz. Nie oddałeś tym chłopakom. Byłem wdzięczny za wszystkie razy, kiedy siedzieliśmy razem na sofie, a on pozwalał mi położyć sobie głowę na kolanach. Za to, że do mnie mówił - nie za porywające tematy, ale za dźwięk towarzystwa. Ten właśnie zapach - spokoju, partnerstwa, więzi - był teraz przytłumiony. Bałem się, że faceta ogarnęło coś bardzo potężnego, czego samo towarzystwo nie przepłoszy.

Wtedy upadła piłka. Podniosłem ją i zmusiłem człowieka, żeby wyrwał się z transu i dostrzegł mnie. Czy mogłem go zmusić, żeby się ze mną bawił? Czy mogłem mu przypomnieć, że go potrzebuję? A potrzebowałem.

Najpierw spojrzał jakby cudzymi oczami. Ja, wróg wszelkich zabaw, popchnąłem piłkę nosem, aż utknęła między jego stopami. Popatrzyłem na niego z głupkowatym psim uśmiechem i czekałem. W końcu oprzytomniał i mnie zobaczył; podniósł piłkę.

Rzucił ją mocno o ścianę. Odbiła się i skakała po pokoju, aż ją schwytałem. Ciskał ją tak raz za razem, a ja po nią biegłem jak jakiś ogłupiały retriever. Potem obaj padliśmy na sofę. Dyszałem, on też. Po chwili wziął swoją szklankę i z wściekłością cisnął nią w tę udręczoną ścianę. Szkło rozprysnęło się na tysiąc kawałków. Wzdrygnąłem się, bo ten dźwięk ranił moje uszy.

16 - Dobry pies

Człowiek objął mnie i oparł głowę o mój łeb. Wyglądaliśmy jak tulące się do siebie dwa szczeniaki z miotu.

- Dobry chłopiec.

Wtedy zrozumiałem, że może nigdy już nie przyjdzie mi do głowy, żeby go zostawić. Przynajmniej dopóki on potrzebował mnie. Podniosłem pysk i sięgnąłem do jego twarzy językiem. To była moja wersja „dobrego chłopca”.

Uporczywie powtarzający się rytm dzwonka komórki penetruje opary alkoholowego snu. Ten irytujący dźwięk czasami pojawiał się w jego snach jako głosy, przedmioty czy dotyk. Pełny pęcherz i dzwonienie w końcu budzą Adama, który próbuje wymacać tycki guziczek, ale nie zdąża. Funkcja nieodebranych połączeń pokazuje mu nieznaną numer. Adam rzuca telefon na stół, wyswobadza się z grawitacji sofy i człapie do łazienki.

Chance czeka na niego w kuchni, przy oskarżycielsko pustej misce na wodę. Z poczuciem winy, że nie zadbał o podstawowe potrzeby zwierzęcia, Adam płucze miskę, nalewa świeżej wody i patrzy, jak pies połowę wychłęptuje. To przypomina mu o własnym pragnieniu. Po dwóch szklankach wody i garści aspiryn w pełni odzyskuje świadomość nowego dnia. Patrzy na odłamki szkła i żółtawe zacieki szkockiej na pustej białej ścianie.

- Gotów do wyjścia?

Rroorr. Adam bierze to za potwierdzenie.

Pies musi wyjść. Adam musi zacząć dzień. Ten nowy dzień.

Sklep Giny jest otwarty, kartonowa papuga odwrócona na „Zapraszam”. Adam wchodzi z Chance'em przy boku.

Gina trzyma wiadro wody i nową myjkę na tyczce. Odstawia jedno i drugie, staje nieruchomo. Nie uśmiecha się, lewą ręką odruchowo sięga do szyi; ten gest sprawia,

że wygląda na zdenerwowaną, a zarazem skromną, łagodną.

- Sprawdziłaś mnie, prawda? W Internecie.

- Tak. Kiedy zdałam sobie sprawę, kim byłeś, ciekawiło mnie, czemu tu mieszkasz, czemu nie pracujesz już w Dynamie.

Adam jest zadowolony, że kobieta nie wypiera się swojej ciekawości.

- Czemu nie spytałaś?

Gina wydyma pełne usta.

- Nie chciałam być nieuprzejma.

- Spytaj.

- Powiesz prawdę?

- Powiem to, co czytałaś, tyle że ze swojego punktu widzenia. Pasuje?

- Tak.

Ich spojrzenia się spotykają. W oczach Giny lśni coś, co każe Adamowi mówić dalej. Ona pragnie mu uwierzyć. Choć skonfrontować dwóch Adamów Marchów, tego z Internetu i tego, który przed nią stoi.

Adam bierze wiadro i myjkę. Gina idzie za nim, prowadząc Chance'a na smyczy. Adam wyżyma gąbkę w ciepłej wodzie, potem zamaszystymi ruchami myje tęczę i tańczące rybki. Przeciągając ściągaczką — po szybie spływają gładkie linie wody - zaczyna mówić.

Jego opowieść płynie z głębi serca. Nie ćwiczył jej, więc przedstawił historię fragmentami, prawdami, których nigdy wcześniej nie wyrażał na głos. Opowiada o swoim dzieciństwie wśród obcych. O ojcu. Rozwija temat, z otchłani podświadomości wydobywa stare wspomnienia. Stein powiedziałby, że to wolne skojarzenia. Mówi o terapii. O Fort Street. O swojej złości, kiedy przydzielono go do wydawania jedzenia bezdomnym, i o swojej zależności od ośrodka jako centrum jego życia.

Nie czuje żadnych oporów przed obnażaniem prawdy o małżeństwie, które było raczej korporacyjnym partnerstwem niż romanssem. Opowiada o bolesnej i trudnej miłości do córki. O Sophie. O tym, co jej zrobił. I dlaczego nagle pojawienie się Veroniki w jego życiu dało impuls do upadku.

- Załamanie nerwowe?

- Mój psycholog nie potrafi dopasować do mnie żadnej konkretnej diagnozy. To nie zaburzenie zachowania i nie depresja. Po trochu jednego i drugiego. Więc zgadzamy się tylko, że miałem „epizod”.

Oliwkowe oczy wpatrują się w Adama. Gina potrzebuje wyjaśnienia.

- Ale mówisz, że kierowałeś swoimi działami żelazną ręką. Z nikim się nie spoufaląłeś. Nawet wybór żony był wy- kalkulowany. Więc zawsze chodziło o władzę.

W piersi Adama coś mięknie, znika ucisk, który czuł od miesięcy, może lat. Nagle nie musi już odkasznąć.

- Tak. A teraz wiem, że po prostu nie da się kontrolować wszystkiego. Nie cały czas. Nie jestem już tym człowiekiem.

Skończył rnyć okno i wracają do środka. Gina bierze wiadro brudnej wody i znika na zapleczu za ladą. Akwaria cicho bulgocą, to uspokaja. Chance wałęsa się po sklepie, ciągnąc za sobą smycz, obwąchując gryzaki i butelki homeopatycznych lekarstw, pluszowe zwierzaki i ceramiczne kotki. Adam opiera łokcie o ladę naprzeciwko Giny, która pozostała za swoją barykadą.

Gina patrzy na niego z grymasem sugerującym wątpliwości. Poprawia tuzin słoików na datki.

- Nie sądzę, żeby ludzie mogli się zmienić tak bardzo tylko dlatego, że chcą.

- Mogą, jeśli ćwiczą. - Adam kładzie dłoń na słoju z pieniędzmi przeznaczonymi dla schroniska, z którego wziął Chance'a. - Już się zmieniłem w posiadacza psa.

- Dlaczego mi to mówisz? - Słowa brzmią ostro, ale spojrzenie zaczęło łagodnieć. - To zadanie z jakiejś grupy AA? Masz wszystkich poprzeproszać?

- Nie. Chociaż wstąpienie do AA nie byłoby takim złym pomysłem. - Potrząskane szkło, zacieki szkockiej na ścianie. Mroczna groza klęski, która cisnęła go w duchowy wir, nie może się powtórzyć. Mimo ogłoszenia się nowym człowiekiem Adam wie, że od destrukcyjnego wiru dzieli go tylko jedna zła chwila. Od tej pory każda myśl, każdy czyn musi go od tej krawędzi odsuwać. Porównuje to do ćwiczeń; będzie coraz silniejszy. - Miałem koszmar na jawie; odwiedziły mnie duchy dotychczasowego życia. Ale dziś obudziłem się do nowego życia. Nowego dnia. Ty jesteś Bobem Cratchetem tej historii, skromnym sprzedawcą, który rozumie, że dobre rzeczy w życiu nie mają ceny.

Z kącika oka Giny wypływa łza; mokry ślad łśni w porannym świetle. Adam sięga

nad ladą i ściera go kciukiem. Gina ujmując jego dłoń. Nachyla się i ich usta spotykają się ponad barierą lady.

Adam musi już wyjść. Pora iść do ośrodka.

- Dzięki, że mnie wysłuchałaś.
- Mogę ci zadać jedno pytanie?
- Oczywiście.
- Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego twoja siostra zniknęła? Przed czym uciekała?
- Zawsze zakładałem, że była zbuntowana jak Ariel. Może miała chłopaka.
- Nie uciekała od waszego ojca?

Adam zarzuca kurtkę na ramiona.

- Może. Nie wiem.
- Powinieneś ją znaleźć. Zapytać.

Nawet mając możliwości swojego poprzedniego wcielenia, Adam nigdy nie myślał, żeby szukać Veroniki. Zawsze tkwiła tak głęboko w jego przeszłości, od której się odciął, że sam pomysł w ogóle nie wchodził w rachubę. Aż do teraz, kiedy Gina bardzo delikatnie go ożywiła.

W stajni poczekalnia dla rodziców jest pusta. Adam siada na starej kanapie, klepie się w kolano, zaprasza Chan- ce'a obok siebie. Na stosie pustych worków śpi kot. Chan- ce, zanim wskoczy, zerka na wyciągnięte zwierzę.

- Zostaw - rozkazuje Adam i z zadowoleniem widzi, że pitbul wskakuje na kanapę zamiast rzucić się na kota. Ostatnio zamiast sędzi Judy ogląda Victorię Stilwell na Ani- mal Channel. Obie są tak samo bezpośrednie.

Za oknem widokowym Ariel, która go nie widzi, skacze przez przeszkody na krytej ujeżdżalni. Nie są wysokie, ale ustawione tak, że dziewczyna musi ćwiczyć wybicia i ciasne skręty. Adam sadowi się wygodnie i czeka, aż córka skończy. To nie jest sobota wyznaczona na wizytę. Nie przyjechał stąd zabrać dziewczyny, ale zmusić ją do od dawna zaległej rozmowy.

Prawie zasypia, kiedy Ariel tak jeździ w kółko; miarowy tętent kopyt Elegancji zlewa się w melodię na cztery czwarte. Krótkie momenty ciszy, kiedy wierzchowiec odrywa się od ziemi, są jak pauzy. Adam budzi się nagle, gdy trener głośno oznajmia koniec treningu.

W głównym korytarzu stajni Ariel rozkulbacza klacz. Widzi Adama, ale nie przerywa czynności. Przerzuca siodło przez niskie drzwi boksu, chwyta zgrzebło i zaczyna zaczesy- wać ślady po derce i popręgu na gniadych bokach zwierzęcia.

- Cześć, Ela. - Adam przesuwając dłonią po długiej końskiej szyi, czego nigdy wcześniej nie robił; sierść, tak samo jak Chance'a, jest w dotyku miękka niczym aksamit. Klacz obwąchuje jego dłoń, szukając smakołyków, potem się odwraca rozczarowana.

- Nie mów na nią Ela - obrusza się Ariel, ale rzuca mu zdeorientowany uśmiech. - I uważaj na tego psa.

- Da sobie radę.

- Co tu robisz? Sama przyjechałam. Nie musisz mnie odbierać.

- Wiem. Chciałem z tobą porozmawiać i wiedziałem, że tu będziesz.

- Jeśli chodzi o tamtą noc, jeszcze raz przepraszam. I dzięki, że nie powiedziałeś mamie.

- Chodzi o coś więcej.

- Dobra, tylko ją odprowadzę.

Adam znów idzie do poczekalni. Po długiej chwili, kiedy Ariel nie wraca, zaczyna się już martwić, czy nie wymknęła się innym wyjściem i nie odjechała. To takie dziwne, że jego córeczka sama prowadzi samochód. Nigdy nie jechał z nią jako pasażer. Nie nawiązał tradycyjnej więzi rodzica z dzieckiem, tworzącej się w ciągu godzin nauki jazdy.

Drzwi do stajni otwierają się; Ariel wchodzi, pada na kanapę obok Chance'a. Zaczyna głaskać psa po uszach, po tym całym i po tym naderwanym.

- Jak myślisz, co mu się stało w ucho?

- Nie mam pojęcia. - Teraz, kiedy ona już tu jest, Adam nie wie, od czego zacząć.

- No to o co chodzi?

- Pozwolę ci decydować, kiedy i gdzie się spotykamy. Nie zamierzam się narzucać. Masz szesnaście lat i własny rozum. Jeśli będziesz chciała się skontaktować, ja zawsze znajdę czas.

- Tato. Dlaczego? - Ku całkowitemu zaskoczeniu Adama, Ariel wygląda na urażoną.

- Bo nie mogę już znieść tego lekceważenia. Jeśli sama zapragniesz ze mną być, to dobrze. Po co mamy się oboje męczyć?

- Próbujesz na mnie psychologii odwrotnej?

- Nie. Przepraszam, że byłem gównianym, nieobecnym, nieczułym, złym ojcem. - Gdzieś w głębi stajni rzy koń, przesywając, żałośliwie. - Myślałem, że mogę kupić twoją miłość, ale nie mogę. Kupiłem sobie tylko pogardę.

- Nieprawda. Nie musisz mi nic kupować; myślałam, że lubisz.

- Gdybym miał pieniądze, to tak, jasne. Ale nie mam. A ty niczego nie potrzebujesz, Ariel. Dostajesz więcej niż dwie trzecie osób w tym kraju przez całe życie. Ludzie, z którymi pracuję, nie posiadają nic, nawet domu. I nie narzekają. Nie płaczą nad swoim życiem, przychodzą po jedzenie i dziękują nam. Za to, że podaliśmy im jedyny ciepły posiłek, jaki zjedzą tego dnia.

Adam zdaje sobie sprawę, że rozpęda się w polemikę, i milknie.

- Lubisz tam pracować?

Chance wydostaje się pomiędzy Adama i Ariel. Podchodzi do śpiącego kota, węszy, ale nie za blisko, a potem uwalnia się na podłodze, zostawiając wolne miejsce między ojcem a córką.

- Tak. Bardzo lubię.

Ariel przysuwa się tak, że ich uda - jego w niebieskich dzinsach, jej w kremowych bryczesach - się stykają. Adam bierze Ariel za rękę. Ona opiera głowę na ramieniu ojca.

- Opowiedz mi o cioci. O Veronice.

- Wyglądała zupełnie jak ty. A raczej ty wyglądasz jak ona. Nie widziałem jej od czasów, kiedy była w twoim wieku. Któregoś dnia pokłóciła się z ojcem i wyszła. Miałem niecałe sześć lat.

Siedzą na powygniatanej kanapie, pies cicho chrapie na workach po owsie, a Adam opowiada Ariel swoją historię.

Sophie Anderson stoi przy półkach z płatkami śniadaniowymi w markecie Stop and Shop. Adam z zaskoczeniem widzi, że dziewczyna jest w ciąży. Kiedy wyszła za mąż? Za tego faceta w czarnej koszulce, z tatuażami? Stać ją na więcej, myśli. To bystra dziewczyna, chociaż trochę beztroska.

Doktor Stein pomógł mu przełamać barierę zakazu zbliżania. Zdobył numery telefonów. Przedstawił temat prawnikowi Sophie, jej terapeutce, jej samej. Sophie powiedziała „nie”, żadnego spotkania, nieważne jak krótkiego i publicznego. Nie da Adamowi szansy powiedzenia „przepraszam”. Teraz Stein go ostrzega, żeby nie przegiął.

- Ważne, Adamie, że chcesz, aby Sophie ci wybaczyła, to prawie tak, jakbyś to od niej usłyszał.

Adam się nie zgadza. Dopóki osobiście jej nie poprosi o wybaczenie, ta sprawa będzie go dręczyć razem z całą resztą nierozwiązanych problemów. To prosta rzecz i odmawianie mu sposobności powiedzenia „Bardzo przepraszam” jest karą niemal tak samo dotkliwą, jak wszystko inne, co wycierpiał.

Stein jest z niego dumny i dodaje mu otuchy. Ale Adam nie pozwoli się odwieść od pomysłu.

Jeśli jego łatwo namierzyć w Googlach, to Sophie Anderson również. Mimo popularnego nazwiska dziewczyny udaje mu się ustalić, gdzie ona mieszka. Choć to spory kawałek od jego okolicy, wciąż nie jest wykluczone, że mógł się tam znaleźć przypadkiem. Nie śledzi jej, po prostu przebywa w pobliżu, chodzi tam, gdzie ona. Na przykład do Stop and Shop. Musi kupić karmę dla psa. Mleko. To całkowity przypadek, że oboje potrzebują płatków śniadaniowych. Czysty zbieg okoliczności, że przyjechał tu akurat pod koniec dnia pracy w Dynamie, kiedy wielu pracowników korporacji mieszkających w tej części przedmieść robi zakupy w drodze do domu. Jak Sophie.

- Sophie. — Dziewczyna studiuje wartości odżywcze na boku pudełka płatków w polewie karmelowej. Adam mówi cicho, łagodnie, żeby jej nie przestraszyć. Tak, jak mężczyzna budzi kobietę. - Dzień dobry, Sophie.

Jednak ją przestraszył, usta dziewczyny układają się w małe „O” zaskoczenia, oczy natychmiast zaczynają rzucać spojrzenia na boki, szukając kogoś, kogokolwiek, kto zapobiegłby dalszemu ciągowi.

- Mówiłam, że nie chcę pana widzieć. Siedzi mnie pan?

- Nie. Wcale nie. Widzisz? - Podnosi torbę psiej karmy, duży karton mleka. - Po prostu cię zauważyłem i... - Adam wie, że ma zaledwie sekundy. - Sophie, pragnę tylko powiedzieć, jak mi przykro z powodu tego, co się stało. To wszystko.

Sklania głowę jak dworzanin przed królową, a potem się odwraca. Jego adidas piszczą na szarym linoleum.

- Panie March?

Zatrzymuje się. Po obu stronach ma postacie z kreskówek reklamujące różne marki płatków, wabiące nieszczerymi uśmiechami. Stoi plecami do Sophie i czeka.

- Wiem, że panu przykro.

Rozluźnia ramiona, przekłada psią karmę do drugiej ręki.

- Ale czy byłoby panu tak samo przykro, gdyby pan wszystkiego nie stracił?

To krystaliczny moment. Adam przenosi się do chwili tuż przed tym, gdy wziął różową kartkę i przeczytał brzemiennej w skutki informację. Gdyby mógł się cofnąć do życia, które tak ciężko budował, do okresu długich spotkań i napięcia, siedzenia po nocach i zaspokajania wciąż rosnących potrzeb rodziny; wrócić do robienia rzeczy, którymi ludzie tacy jak Gina pogardzali, wszystko to w płonnej nadziei pogrzebania swojej przeszłości jeszcze głębiej — czy zrobiłby to? Nie jest zaskoczony nasuwającą się odpowiedzią. Nie, nie chciałby wracać do tamtego życia. Już go ono nie pociąga. Już jest innym człowiekiem.

Dlatego mówi Sophie prawdę.

- Tak, niezależnie od skutków.

Idzie żwawym krokiem do kasy, uśmiecha się do kasjerki, wyciąga ostatnią dwudziestkę. W samochodzie czeka na niego pies. Dni są coraz dłuższe, więc po drodze do domu zdąży pójść z Chance'em do parku.

Jak to w Nowej Anglii bywa, lato pojawiło się niespodzianie. Mokra, zimna wiosna zeszła ze sceny, robiąc miejsce upałom i duchocie. W kuchni ośrodka jest jak w hucie, więc Adam pracuje w czystej białej koszulce i szortach Dockersa. Fartuch sięga mu za kolana; z przodu wygląda, jakby nosił spódnice. Na czole ma zawiązaną niebieską bandanę, żeby pot nie zalewał mu oczu. Wszyscy są tu ubrani podobnie, walczą z gorącym płynącym z zewnątrz i z wewnątrz, karmią mężczyzn wciąż noszących całą swoją garderobę, niewrażliwych na skwar.

Klimatyzacja w mieszkaniu Adama nie działa od tygodnia, nadzorca nie wymienił jej jeszcze na nową. Pies jest w kamienicy jak dotąd niezgłoszonym lokatorem, tolerowanym przez sąsiadów, ignorowanym przez nadzorcę, który nie będzie mógł dłużej udawać, że pies nie istnieje, jeśli z konieczności wejdzie do mieszkania Marcha pod jego nieobecność. Dlatego teraz Chance także jeździ do ośrodka. Adam sklecił mu zadaszenie na podwórku ogrodzonym siatką. Daszek daje cień nawet w południe, a Rafe podrzuca resztki z kuchni. Chance wydaje się tam szczęśliwy, a kiedy Adam wygląda przez okno, pies zazwyczaj śpi w chłodzie.

Czasami któryś z palaczy wychodzi na dwór i siada na tylnych schodach. Pitbul mu towarzyszy, co sprawia, że Adam jest odrobinę zazdrosny. Chce, żeby Chance był przyjacielski, ale przy tym pozostał psem jednego człowieka.

Bierze dodatkowe godziny w ośrodku. Nie jako wolontariusz, ale jako pracownik. Dostał małą pensję w zamian za szukanie możliwości finansowania. Biegły w języku finansów i obeznany ze skomplikowanymi formularzami wniosków załatwił dwa granty w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Nie zarabia wiele, ale wystarcza mu na karmę dla Chance'a i bieżący czynsz. Reszta wciąż wisi nad nim jak kowadło, ale zrobił krok we właściwym kierunku, a praca daje mu dziwną satysfakcję, mimo swojej mikroskali.

Jest późno, kiedy wyłącza komputer Dużego Boba, ściąga bandanę i zmienia przepoconą koszulkę na czystą. Chance odstawia swój „fajnie, że jesteś” taniec na schodach; przednie łapy pompują w górę i w dół, wielki łeb kołysze się na boki, język wywieszony, zmrużone ślepia wbite w Adama.

- Chcesz do domu, chłopaku?

Hnnn, hnnn.

W chwilach zwiększonej wrażliwości Adam myśli, że pies uczy go nowego słownictwa. Różne dźwięki na różne okazje. Hnn znaczy „No jasne”. Rroorr: „Rozumiem, stary”. Albo: „Zjedźmy coś”. A może: „Jak ci się podobał mecz?”

Wychodzą na Fort Street i ruszają na wschód. Najgorsza duchota minęła, znad oddalonego o kilometry morza wieje lekki wiaterek. Cienie znaków drogowych i budynków, porzuconych wózków na zakupy malują na chodniku jurajskie kształty. Odgłosy ulicznego ruchu i kolejki dojazdowej zagłuszają śpiew ptaków. Adam czuje raczej, niż słyszy cichy warkot, przechodzący po smyczy jak po drucie telegrafu do jego spoconej dłoni. Patrzy w dół, pitbul ma sierść na karku zjeżoną jak szczotka. W zasięgu wzroku żadnego innego zwierzęcia; Chance nie szarpie też smyczy. Nie ujada na całe gardło, jedynie warczy. I napiera na nogi Adama. Przed nimi tylko jakiś starszy człowiek stoi na przystanku. Wtedy Adam dostrzega, że pies ogląda się w tył.

Nie noszą już grubych bluz, więc Adam nie jest pewien, czy to ci sami chłopcy, których spotkał wcześniej, ale zachowanie Chance'a świadczy, że ich zna. Podchodzą do Marcha, zatrzymują się w takiej odległości, że nawet gdyby popuścił smyczy, pies by ich nie sięgnął.

- Wciąż masz mojego psa, człowieku - oskarża szczuplejszy, wskazując najpierw Chance'a, potem siebie. - Należy do mnie.

- Już nie. - Adam nie da się zastraszyć gówniarzom. W biały dzień widzi, że to tylko nastolatki, dzieciaki w wieku Ariel. Jest samotnym białym w ich dzielnicy, ale, na Boga, towarzyszy mu silny pies. Prostuje się na pełną wysokość. - Chcecie go? To spróbujcie sobie wziąć.

Chłopaki spoglądają po sobie, jakby wyzywali się na pojedynek: kto wyrwie smycz z ręki Adama. Patrzą na Chance'a, ten szczerzy się i szczeka, agresywnie tłukąc ogonem na boki. Adam ledwie go utrzymuje. Chętnie by powtórzył: „Chodźcie i go weźcie”, ale tego nie robią, nie mogą się wystarczająco zbliżyć. To gnojki, które zgrywają twardzieli, bo tego się od nich oczekuje. Adam sam był kiedyś twardym dzieciakiem. Musiał być, żeby przetrwać. Może na jego ulicach nie panowały tak wredne zasady, ale i tak nie żyło się łatwo. Może te dzieciaki też nie miały pełnych rodzin. Może wychowały się w domach zastępczych.

Może łączy go z nimi coś więcej niż chęć posiadania tego pitbula.

- To mój pies. Nie wasz. Może kiedyś, ale już nie. Jasne?

Chłopaki jednocześnie włączają swoje iPody, odwracają się i znikają.

- Nieźle im nagadaliśmy. - Adam sięga w dół, żeby uspokoić Chance'a. Zapewnić go, że wszystko w porządku.

Z początku byłem trochę zagubiony, kiedy zostawiał mnie na podwórku. Sam wchodził do budynku - wtedy pachniał sobą, a gdy wychodził, pachniał jedzeniem i innymi ludźmi. Chyba trochę uderzyła mi do głowy woda sodowa. Dlaczego mam warować na podwórku jak zwykły kundel? Potem uświadomiłem sobie, że siedzenie tuż pod oknem, z którego dobiegają zapachy dobrego jedzenia, jest przyjemne. Poza tym dostawałem różne smakołyki, okrawki mięsa, a czasami kość do zabawy od człowieka w wielkiej czapce. I nie było dookoła nikogo, kto zagrażałby mojemu posiadaniu tych skarbów. Tylko ja. Bardzo lubiłem też leżeć w cieniu schronienia, które mi zbudował mój człowiek, z miską pełną wody i kością pod brodą. Wkoło biegały gołębie, gruchały i się parzyły. Z jednej strony zaporą mnie ograniczała, z drugiej - zatrzymywała bezdomne zwierzęta. Jako pies nie umiem powiedzieć, jak długo trwało to wygodne bezrobocie, ale miałem wrażenie, że na ulicach dorosło całe nowe pokolenie czworonogów. Innymi słowy, nikogo nie znałem. Dlatego broniłem tego prostokąta podwórka, wytyczonego przez barierę wzniesioną ludzkimi rękami. Szczekałem i warczałem. Podnosiłem nogę przy słupkach. Zachowywałem się groźnie i zaborczo. Czasami, zwłaszcza suki, ignorowały moje złe maniery i mimo wszystko podchodziły do ogrodzenia. Siatka to przeszkoda, ale nie nieprzenikniona, i nosy stykały się z rejonami powitalnymi. Przepraszająco merdałem ogonem. Zachowywały się w porządku. W większości.

Był taki jeden pies. Kawał mięśniaka. Nie sprawiał wrażenia wojownika, ale wyraźnie nie należało z nim zaczynać. Miał obcięty ogon i nosił kikut wysoko uniesiony, jakby miał się czym chwalić. Stał się częstym gościem, ale nigdy nie przeszła mu chęć, żeby mi rzucać wyzwania. Warczeliliśmy na siebie przez płot, on kpił z mojego uwieżenia, ja ciskałem w niego obelgami. Gdybym tylko otworzył furtkę, pokazałbym mu to i owo. Jedynie on mnie prowokował. Musiałem sprawdzić wytrzymałość furtki i zaczynałem się na nią rzucać. Wtedy zazwyczaj ktoś się zjawiał i kładł temu kres. A tchórz uciekał, zakrywając tym swoim kikutkiem odbytnicę. Nieźle ci dałem popalić, co?

Bardzo często niektórzy ludzie wychodzili z budynku i siadali na schodach. Zapalali żarzące się pałeczki i puszczały dym. Nie podobał mi się ten zapach, za bardzo przypominał czas spędzony w piwnicy z chłopakami. Ale ci faceci cieszyli się, kiedy do nich dołączałem. Raz na jakiś czas wychodził tylko jeden. Jeśli siadałem obok niego, obejmował mnie i opowiadał rzeczy, które na pewno z reguły zachowywał dla siebie. Ludzie z budynku przypominali mi trochę mojego człowieka. Była w nich jakaś kruchość. Ciche głosy, jakimi mówili do mnie, natychmiast nabierały szorstkości, kiedy wychodził ktoś jeszcze. Jakby się wstydzili, że zostali nakryci na pogawędkach. Kiedy siedzieli ze mną w grupie, w ogóle nie zdradzali tej delikatności. Czasami na ulicy spotyka się psa, który nie powinien być psem ulicznym. Może się zgubił, może zgubili się jego ludzie. Takie zwierzęta często radzą sobie całkiem nieźle, ale zawsze jest w nich to niedowierzanie, że tak się potoczyło ich życie. I właśnie tacy byli ci ludzie.

Obu chłopaków widywałem częściej niż wtedy z moim panem. Muszę przyznać, stawiał im czoło, warczał bardzo profesjonalnie. Dobry człowiek. Nie rozumiał tylko tego, jak bardzo pragnęli mnie odzyskać. Nie chcę się przechwalać, ale byłem dla nich mistrzem. Zwycięzcą. Na pewno zamierzali mnie dalej wystawiać do walk. Dlatego kiedy pojawiali się przy ogrodzeniu, robiłem się nerwowo. Więc czekałem. A wtedy ktoś ze środka wyglądał na zewnątrz i chłopaki czmychali jak niedorośle szczeniaki zgrywające twardzieli.

I tak każdego dnia, kiedy zostawałem sam na podwórku, denerwowałem się coraz bardziej na widok dawnych właścicieli. Podobało mi się moje obecne zajęcie, dawanie pomocy i pociechy bezdomnym, i granie piłką tenisową z moim człowiekiem. Nie wyobrażałem sobie powrotu na arenę. Stałem się pacyfistą. Przyznaję to z odrobiną zawstydzenia, ale prawda nie zawsze jest piękna. Kiedyś jako wojownik budziłem lęk. Teraz byłem kochany. To o wiele większa sprawa.

Zostały dwa tygodnie do finalnego spotkania z sędzią Johnsonem. Minęło Święto Praey, rano ulice pełne są idących do szkoły dzieci. March czeka na przejściu

obsługiwanym przez strażników, którzy uważnie obserwują mężczyznę z groźnie wyglądającym psem. Adam uśmiecha się do nich, mówi „dzień dobry”. Przyciąga Chance'a bliżej do siebie. Duży Bob obiecał mu dobrą opinię, słowa uznania, za dobre zachowanie i zaangażowanie. Adam udowodnił, że jest przydatnym wolontariuszem i będzie dalej wnioskował o granty, nawet jeśli znajdzie nową pracę.

Co jeszcze lepsze, został zatrudniony jako konsultant przez firmę ze śródmieścia. To nie są internetowi debiutanci czy marzyciele świeżo po studiach, tylko poważne, długo istniejące przedsiębiorstwo, które szuka kogoś, kto poprowadzi specjalny projekt. Adam spotkał się z dwoma z trzech partnerów i w skrócie opowiedział im o sobie. Potem przedstawił swoje umiejętności tak dobrze, że tylko wzruszyli ramionami, gdy się przyznał do dawnych grzechów. Dostawali utalentowanego kierownika za bardzo rozsądne pieniądze, osobiste kłęski to jego prywatna sprawa.

Doktor Stein też jest zadowolony z ostatnich postępów Adama i uwzględni to w raporcie.

Adam wychodzi z budynku psychologa i wrzuca jeszcze jedną monetę do parkometru. Niedaleko jest sklep z serami dla smakoszy, a jego nagle nachodzi ochota na wensleydale'a. Sprzedają tam też ekskluzywne psie karmy, a Chance zasłużył na coś dobrego. Adam też. Świeże, suche powietrze mierzwi mu włosy. Jutro wpadnie do miejscowego fryzjera. Koniec ze stryżeniem za równowartość raty za samochód.

Całą drogę wzdłuż ulicy, na drugą stronę jezdni, między budynkami, Adam wypatruje Jupiego. Staruszek nie zjawia się w ośrodku od kilku tygodni. Może znów trafił do szpitala albo stopem pojechał na Manhattan. Bob tego nie wie. Przy długotrwałej dobrej pogodzie Bob nie przejmuje się tym zbytnio.

Adam nie wie, dlaczego tak się martwi o Jupiego; bezdomny nie odezwał się do niego ani słowem od czasu nieudanej wyprawy po psa, od kiedy Adam próbował wcisnąć mu Chance'a. Za każdym razem, kiedy się spotykają, mrozi go spojrzeniem. Jupi nigdy nie wychodzi na podwórko posiedzieć z Chance'em.

Adam rozumie, że w udręczonym umyśle mężczyzny to on jest odpowiedzialny za zniknięcie Benny'ego, bo nie dotrzymał wymuszonej obietnicy. Jupi nie potrafi pogodzić się z prawdą, że jego kompan został skazany na zagładę w chwili, gdy on sam wylądował w szpitalu. To nie tak, że Adam nie znalazł psa - psa już po prostu nie było. Ale jak obietnica dana dziecku czy człowiekowi z dziecięcym pojmowaniem świata, zobowiązanie znalezienia Benny'ego było bez alternatywy. Żadnych wymówek. Adam wie jednak, jak Jupi się czuje. Gdyby cokolwiek przytrafiło się Chance'owi, na pewno by się załamał. W bardzo krótkim czasie stał się jednym z tych

ludzi, którzy podczas ataku jądrowego zostaliby w domu, gdyby ich psa nie dało się ewakuować razem z nimi.

Dlatego teraz, kiedy jest w okolicy, przeszukuje wzrokiem miejsca, gdzie Jupi sam albo z Bennym najczęściej przesiadywali.

Adam postanawia jeszcze nie mówić Ginie, że wynajął prywatnego detektywa, chociaż taki był jego pierwszy impuls, kiedy tylko podjął decyzję. Potem spotkał się z facetem u Denny'ego, by dokładnie omówić zlecenie i koszty. Ostateczne rozliczenie z życiowym rozczarowaniem wywołało nieprzewidzianą reakcję. Ulgę. Jak dobrze, że niedługo będzie mógł przestać myśleć o Veronice, zastanawiać się, co się z nią stało i dokąd trafiła. Nawet się nie denerwuje. Nie próbuje wyobrazić sobie spotkania ani nawet nerwowego telefonu, żeby powiedzieć „Cześć, tu Adam”.

Wie, że szukanie trochę potrwa, a może nawet detektyw niczego się nie dowie, ale to go nie boli. Najważniejsze, że zapanował nad sytuacją. Zupełnie jak z problemami w pracy, pierwszy krok w radzeniu sobie z nimi to zacząć coś robić. Inercja to brzemię, które przygniata; działanie to zrzucenie tego brzemienia.

- Cześć, Adam. - Litania codzienności.

Dzisiaj się nie spóźnił. Od wczesnego ranka przygotowywał szkic dla Strykera, Royaala i Martina. Zdążył już wyprowadzić Chance'a na spacer. Kawa jest świeżutka. Adam ma na sobie spodnie od dresu, ale się ogolił. Garnitur już czeka przygotowany.

March napelnia drugi kubek. Słodzi. Dolewa odrobinę chudego mleka, akurat tyle, ile lubi Gina. Płaci za zakupy, podaje Artiemu odpowiedź na 46 pionowo - „archetyp” - i wychodzi.

W jego stronę idzie elegancki biznesmen. Dziwnie późno. Adam uśmiecha się i zastępuje mu drogę, tym razem uzbrojony w nazwisko.

- Dzień dobry, panie Martin.

Augustus Martin ze Stryker, Royal i Martin odwraca głowę z zaniepokojonym wyrazem twarzy: skąd ten żul wie, jak się nazywam? Potem następuje błysk rozpoznania. Zawstydzienie.

- Na spotkaniu od razu mi się wydawało, że wygląda pan znajomo.

Co za bzdura. Przez te wszystkie miesiące codziennego mijania się na ulicy gość ani razu nie spojrzał mu w twarz. Adam wyciągnąłby rękę, ale obie ma zajęte.

- Pan też mi kogoś przypominał.

- Nie wiedziałem, że mieszka pan w tej okolicy. Myślałem, że...

- Wiem. Czasami jednak pozory mylą.

Adam upija łyk kawy, postanawia odpuścić facetowi. Kiedyś na jego miejscu tak samo potraktowałby niechlujnie ubranego, nieogolonego porannego przechodnia.

- Spisałem parę pomysłów. Myślę, że się panom spodobają.

- Na pewno.

Niezręczna chwila rozstania. Nie znają się, ale mają za sobą tak długi okres porannych, nieprzyjemnych spotkań, że nie wiedzą, jak się pożegnać.

Gina myje szybę witryny i obserwuje tę wymianę zdań między Adamem a mężczyzną, którego również kojarzy z widzenia. Przeciąga ściągaczką z lewej na prawą, puszcza oko do Adama, potem zbiera wodę w drugą stronę.

- Wyglądasz na zadowolonego z siebie.

- Bo jestem.

Gina słyszy dziwną nutę w jego głosie, odkłada ściągaczkę i papierowe ręczniki.

- Dlaczego?

Adam mówi jej o detektywie.

Z początku nie rozpoznaje numeru na wyświetlaczu komórki. Już ma pozwolić, żeby włączyła się poczta, kiedy przypomina sobie, że kierunkowy 978 to numer jego detektywa. Minał dopiero tydzień. Z pewnością za krótko — nawet w dzisiejszym obnażonym, elektronicznym świecie Wielkiego Brata - by znaleźć osobę zaginioną od czterdziestu lat. Kogoś, kto może nigdy nie chciał być znaleziony i zmienił młodzieńczą tożsamość w zupełnie inną, choćby przez małżeństwo. Kogoś, kto - jak Adam zawsze wierzył - mieszka na Zachodnim Wybrzeżu. Najdalej, jak się dało od swoich początków w Nowej Anglii.

- Mam pewne informacje. Proponuję się spotkać.

Detektyw to niski, pulchny mężczyzna, ale z imponującym głosem.

- Nie może mi pan powiedzieć przez telefon?

- Osobiście. U Denny'ego, za godzinę? - Poważny ton nie dopuszcza sprzeciwu.

Adam przetyka ślinę, żeby zwalczyć falę nudności.

- Boi się pan, że nie zapłacę?

Krótką chwilą milczenia pełnego urazy.

- Wolę bezpośrednio przekazywać swoje ustalenia.

O jedenastej u Denny'ego jest pusto, tuż po śniadaniu, za wcześnie na lunch. Przy jedynym zajęтым stoliku siedzi para starszków przeżuujących jajecznicę i czerwonawę, domowej roboty frytki. To idealne tło do wysłuchania wieści o zaginionej siostrze. Wielkie laminowane karty menu, lekko lepiące się blaty stołów. Krzykliwy wystrój wnętrza z przewagą koloru żółtka jajka. Geometryczny wzór wykładziny podłogowej sprawia, że Adam czuje lekkie zawroty głowy, idąc do stolika. Ron Pascal przysiadł się niemal natychmiast. Oddaje menu kelnerce w średnim wieku i prosi o czarną kawę. Adam robi to samo.

- Podać frytki, grzanki czy coś?

Ron Pascal patrzy kobiecie w oczy.

- Nie. Tylko kawę. Poproszę.

Kelnerka odchodzi.

- Wie pan, dlaczego nie znoszę spraw dotyczących zaginionych osób?

- Nie mówił pan, że nie znosi. - Adam obraca w palcach torebkę cukru, jakby mierzył jej boki.

- Bo prawie nigdy nie mam dobrych wiadomości.

- Chce mi pan powiedzieć... co konkretnie?

Ron wyciąga z torby cienką tekturową teczkę. Kładzie ją na stole.

- Oto, czego się dowiedziałem.

Teczka ma wydrukowany napis w zielonej ramce „Veronica Marie March”, samymi wielkimi literami, czcionką Times Roman. Jest solidna, porządna. Zupełnie jakby nie należała do kogoś, kto zaginął, ale do kogoś, kto powinien żyć dość długo, by ją zapłacić. Krawędzie się stykają. W środku pewnie jest tylko jedna kartka.

- Pańska siostra zmarła półtora miesiąca po ucieczce z domu. - Ron otwiera teczkę, akt zgonu leży dołem do Adama, ale Pascal wie, której linii szuka. - Przyczyna śmierci: rozległe obrażenia wewnętrzne w wyniku potrącenia przez samochód.

- Przejechał ją samochód? Veronica zginęła?

- Obawiam się, że tak. Dwa akapity z gazety stwierdzają, że albo łapała okazję, albo przechodziła przez ulicę około drugiej nad ranem, kiedy została śmiertelnie potrącona przez samochód. Sprawca uciekł z miejsca wypadku.

Pascal wyciąga spod aktu zgonu wycinek z gazety i maleńki nekrolog.

Adamowi kręci się w głowie. Nie bierze artykułów od detektywa. Trzęsącą się ręką sięga po kubek z kawą. Boi się podnieść go do ust. Nie o to chodzi, że nie przygotował się na myśl, że Veronica nie żyje. Zawsze dopuszczał taką możliwość; co jakiś czas przekonywał sam siebie, że tego oczekuje. Szokiem jest to, że ona nie żyła przez cały ten czas. Ze wszystkie jego dziecięce wizje, że siostra przyjedzie go uratować, były czczymi mrzonkami, bezsilną nadzieją. Czy powinien być wdzięczny za nieświadomość? Dlaczego nikt mu nie powiedział? Wyobraża sobie olbrzymią znowę milczenia; najważniejszy fakt dzieciństwa został przed nim zatajony. Czy to była źle pojęta troska? Nic mu nie mówcie, to zapomni o siostrze?

Gdyby przez te wszystkie lata domów zastępczych, maltretowania i samotności wiedział, że Veronica nie żyje, nie pielęgnowałby nadziei.

Wstaje od stolika. Kolana się pod nim uginają, zdąża do męskiej toalety w samą porę, żeby zwymiotować.

- Dlaczego ojciec mi nie powiedział?

- Musiałby pan go o to spytać. - Pascal zatrząskuje torbę, wyciąga z tylnej kieszeni portfel i rzuca parę dolarów na stół.

- Nie mogę. - Adam podnosi wzrok znad teczki z aktem zgonu siostry i patrzy Pascalowi w twarz. - Nie mam pojęcia, czy jeszcze żyje. Nie widziałem go ani nie rozmawiałem z nim, odkąd skończyłem dziewięć lat.

Przez swoje niezaplanowane spotkanie z Pascalem Adam spóźnia się godzinę do Fort Street Center. Uprzedził o tym telefonicznie, dostał dyspensę od Dużego Boba bez konieczności tłumaczenia się. Nigdy przedtem się nie spóźnił. Dopiero dzisiaj to do niego dociera. Swoją wymuszoną dobroczynność traktował identycznie ze wszystkimi innymi obowiązkami, profesjonalnie. Ktoś powinien być z niego dumny. Nie pracował przecież dla podwyżki. Stosował tylko swoją głęboko zakodowaną etykę pracy, tak jak robił to zawsze na poszczególnych szczeblach kariery. Automatycznie dawał z siebie wszystko, nawet jako przymusowy wolontariusz.

Po drodze wpada do mieszkania zabrać Chance'a i zostawić samochód. Idzie do ośrodka na piechotę, choć przez to spóźni się jeszcze bardziej. Po rozmowie z detektywem puls wciąż ma przyspieszony. Trzeba się uspokoić, zepchnąć oba fakty - przedwczesną śmierć siostry i nieoczekiwane przeżycie ojca - na jakiś neutralny teren, przydzielić im w umyśle miejsce, gdzie będą nieszkodliwe. Nakazać, żeby leżały nieruchomo. Zamiast tego głowa pęka mu od pytań bez odpowiedzi.

Gina jest w sklepie, ale Adam jeszcze nie może podzielić się z nią informacjami. Najpierw musi przetrwać tę nieoczekiwaną prawdę. Nie potrafiłby opowiedzieć jej na głos, ująć w słowa, które miałyby sens dla niego samego, a co dopiero dla drugiej osoby. Potrzebuje czasu, żeby na nowo uformować całe swoje wyobrażenie o przeszłości.

Zamyka za sobą furtkę, odpina smycz i nalewa do psiej miski zimnej wody z kranu na zewnątrz. Poklepuje Chan- ce'a po głowie i zostawia go na najbliższe dwie godziny. Pies kolebiącym krokiem idzie pod zadaszenie i kładzie się w cieniu na ziemi.

Ishmael stoi za barem, nalewa zupę. Adam chwyta czysty fartuch, papierową czapkę i zaczyna wydawać drugie danie - kotlety wieprzowe z tłuczonymi ziemniakami. Mięso, sos, nawet zupa wydają mu się szare. Wszystko widzi w odcieniach szarości, tak jak psy; nic nie jest ostre.

- W porządku, stary? - pyta Ishmael.

- Jasne.

- Zobaczyłeś ducha czy co?

Adam kręci głową. Próbuje się uśmiechnąć.

- Wszystko gra.

- Jak jesteś chory, wracaj do domu.

- Nie jestem chory.

- Smutny.

Przed Marchem staje Jupiter. Po tylu tygodniach to niespodzianka widzieć starca, z czapką naciągniętą na oczy o twardym spojrzeniu; Adam po raz pierwszy zauważa, jakie są jasne, wyglądają jak niedające odbicia lustra.

- Jaka szkoda - mówi Jupiter do niego albo do siebie. Białe tęczęwki skaczą z Adama na talerz i na Ishmaela. - Nie ma odtrutki na smutki. „Smutny” to

najsamotniejsze słowo na świecie.

Adam przypomina sobie niejasno, że rymowanie może być objawem jakiejś choroby psychicznej, ale nie pamięta, żeby Jupi wcześniej to robił.

- Chcesz do tego sosu? - Ishmael przesuwając talerz po blacie z nierdzewnej stali.

Jupiter bierze obiad i patrzy na Adama, mrużąc oczy.

- Teraz już wiesz.

Ishmael unosi brew, bezgłośnie wymawia: „Spokojnie. Spokojnie”.

- Przynajmniej wrócił.

Adam zabiera ze stołu pustą tacę po zupach. Przynajmniej Jupi się znalazł. Jednego zaginionego mniej.

Siedziałem sam na podwórku, myślałem swoje części intymne, czekałem i miałem nadzieję, że człowiek w czapce przyjdzie dać mi coś dobrego. Zastanawiałem się, czy spotka mnie coś ciekawego. Przejazdźka samochodem, spacer w parku.

- Hej, piesku.

Przerwałem ablucje, wstałem i przyjrzałem się gościowi. To był człowiek, który kiedyś trzymał się z moim dawnym mentorem. Dawno go nie widziałem, ani tutaj, ani na ulicy. Wciągnąłem nosem powietrze. Pachniał dojrzałe. Ulicą, nieograniczonym, wolnym życiem. Przysunąłem się bliżej.

- Dobry piesek.

Dwa słowa z ich hałaśliwego języka, które znałem. Z którymi się zgadzałem. Nie stał ze mną na podwórku, ale po drugiej stronie furtki. Potruchtałem do niego, żeby go poznać, z bliska poczuć ten słodki zapach ulicy. Posłusznie otworzył furtkę. A potem odszedł.

Furtka zamknęła się sama w trzech czwartych. Nie dość, żeby mnie zatrzymać. Usiadłem. Jestem psem, zazwyczaj nie zmagam się z etycznymi kwestiami zaufania i posłuszeństwa, chyba że mi to pasuje. Mój człowiek ufał, że nie wyskoczę z samochodu, kiedy zostawi uchylone okno. Ja ufam, że mnie nakarmi, podrapie po brzuchu. I na tym koniec. Ta otwarta furtka, to zaproszenie do wyjścia na ulicę jako wolny pies wydawało się darem od jakiegoś dobroczynnego bóstwa. Kim byłem, żeby powiedzieć „nie”? Ale siedziałem. Czekałem. Nie potrafię odróżnić dobra od zła ani rozrzucać moralnych dylematów wierności. Nigdy nie kazano mi zostać. Nie miałem też żadnego powodu wychodzić.

Czekałem na pretekst, żeby otworzyć furtkę szerzej. I zjawił się ten kundel, który lubił rzucać mi wyzwania, o ile byłem według niego za kratkami. Rany, ależ go spotka niespodzianka.

Adam całe popołudnie poruszał się jak we mgle. Ostatni raz czuł się tak po awanturze w Dynamie - zawroty głowy, wrażenie, że dłonie są przymocowane do nadgarstków cienkimi nitkami, że stopy są jak kamienne bloki. Automatycznie pomaga Rafe'owi, podaje posiłki, włącza zmywarkę, słucha, jak Ishmael raz po raz powtarza „chcesz do tego sosu?", aż te cztery słowa brzmią niczym slogan z filmu klasy B albo refren piosenki country. Chcesz do tego sosu? Sosu. Do tego? Chcesz? Ishmael wtrąca nawet pewien rytm. I wszyscy razem. Za skaczącą piłeczką. Skąd to się w ogóle wzięło? Zabawne, jak różne odniesienia giną po latach, ale powiedzonka zostają na zawsze.

Obsłużono ostatniego bezdomnego. Stoły są prawie puste. Mike większość z nich poskładał, maruderom pozwolił zebrać się przy jednym, drugi jest przeznaczony dla obsługi. W tej chwili zapach jedzenia przyprawia Adama o mdłości. Chyba dzisiaj sobie odpuści. Weźmie psa i wróci do domu. Duży Bob zrozumie, czasami człowiek po prostu nie ma apetytu. Ale kiedy pozostali łapią za talerze i sztucce, Adam robi to samo. W domu będzie tylko siedział i rozdrapywał rany. A tak, przy rozmowie przynajmniej trochę się oderwie od ponurych rozważań, może nawet zbierze dość sił, by dorzucić swoje dwa grosze do nieuniknionej dyskusji o Red Soksach. Wszystko, byle nie myśleć o raporcie Pascala. O Veronice. O tym, że ojciec wciąż żyje, i to niecałe trzy kilometry stąd. Przez cały ten czas ona nie żyła, a on żył. Nie w tym rzecz, że Adam sądził, iż stary nie żyje, raczej wyrzucił go ze swojego życia tak daleko, że nie potrafi pojąć, jakim cudem tamten wciąż istnieje. Czuje ukłucie bólu pod mostkiem i przyciska do piersi rękę.

Rafe opada na ławkę obok niego.

- Mam trochę resztek dla Chance'a. Dlaczego go dzisiaj nie przyprowadziłeś?

- Przyprowadziłem. Siedzi na podwórku.

- Wcale nie.

Adam uwalnia się spomiędzy ławy i stołu, uderza kolanem w kant; niewiele brakuje, a niechcący kopnąłby Rafe'a.

- Co ty wygadujesz?

- Furtka jest otwarta, stary. Psa nie ma.

- Cholera jasna.

Adam rusza do tylnych drzwi i nagle staje przed nim Jupi.

- Przepraszam. - Adam nie chce przesuwac starca, ale musi sie stąd wydostac. - Chcę przejść. - Jakiś idiota zostawił otwartą furtkę.

- Teraz już wiesz. - Jupi ani drgnie.

Adam dotarł tu zaledwie trzy godziny temu i pamięta, że dokładnie zamknął zapadkę. Nikt nie powinien wchodzić tylnym wejściem, to zasada Dużego Boba. Ale ktoś wszedł. Albo wyszedł. Personel jest w komplecie, Adam zjawiał się ostatni. Czyli któryś z bezdomnych się tamtędy wysliznął, nie uważał na psa. Paniczna myśl - Chance może być na ulicy już od dwóch godzin. Może być kilometry stąd. Albo leżeć martwy, potrącony przez samochód. Adam wyobraża sobie Chance'a biegającego, dezorientowanego, wystraszonego. Jego dawny bezdomny, uliczny pies jest spanikowany jak domowy pupilek. Samotny.

Nie ma czasu do stracenia, a ten staruch stoi na drodze. Adam próbuje się precisnąć obok Jupiego, ale ten z determinacją, zwinnie blokuje mu przejście.

- Teraz wiesz, jak to jest. - Szczerzy się w uśmiechu i trzyma na wysokości piersi swój szwajcarski scyzoryk z wysuniętym ostrzem. - Smutno. Smutno.

- Hola. W porządku, Jupi. Spokojnie. - Adam słyszy Dużego Boba, czuje tuż za sobą jego masę, punkt oparcia w tym szaleństwie. - Odłóż to.

Nóż nie jest duży, ma krótkie ostrze, ale światło, które go dotyka, odbija się matowo. Patyna starości, starannie wyostrzona krawędź. Czubek lekko przekrzywiony, niczym kobiecy uśmiech. Adam daje krok w tył. Jupi za nim, jak w pas de deux. Duży Bob, Rafe i Ishmael otaczają tancerzy kręgiem.

- Zabiłeś mojego psa.

- Nie. Po prostu nie znalazłem.

- Nie prowokuj go, Adamie. Spokojnie. - Duży Bob powoli zachodzi starca z tyłu. - Mike dzwoni po pomoc.

Jupi jest bardziej niebezpieczny niż ktoś, kto potrafi walczyć nożem. Tnie na oślep, pcha i dźga krótkim ostrzem rwanymi ruchami. W górę i w dół. Z boku na bok. Wariacki znak krzyża. Krótkie ostrze wystaje z rękojeści jak język żmii.

Adam się wycofuje. Jupi się rzuca, jego ruchy są zbyt chaotyczne, żeby Duży Bob, Rafe czy Ishmael spróbowali wytrącić mu broń z ręki. Cała grupa przesuwa się na środek jadalni, aż Adam czuje pod kolanami ławkę pustego stołu.

- Posłuchaj, Charles. - Ma nadzieję, że prawdziwe imię wstrząśnie facetem i przywróci mu rozsądek. - Przykro mi z powodu twojego psa. Rozumiem, że dużo dla ciebie znaczył.

- Ale próbowałeś mi wcisnąć innego. Wydaje ci się, że wszystkie psy są takie same. Tamten nawet nie wyglądał jak Benny.

- Wiem, jak to jest stracić kogoś, kogo się kocha. Naprawdę. Nie da się go zastąpić. Nikt nie jest do zastąpienia.

- Obiecałeś...

- Niepotrzebnie. Nie dało się dotrzymać tej obietnicy.

Jupi nagle nieruchomieje. Jego krzemienne blade oczy

z żółtawymi białkami są otoczone czerwienią. Ich spojrzenie wwierca się w Adama, który myśli, że stoi przed nim nie człowiek, ale demon. W tych oczach nie ma nic ludzkiego.

March zmusza się, żeby nie odwrócić wzroku.

- A teraz chcę iść znaleźć swojego psa. Zanim będzie za późno.

Prawa ręka fupiego, ta z nożem, zaczyna się rozluźniać. Wygląda to tak, jakby demon opuszczał duszę mężczyzny - twarde spojrzenie zastępuje dezorientacja, łagodność. Przebudzenie. W oddali - syrena policyjna. Teraz Adam poprosi o nóż, demon odszedł i Jupi człowiek, Charles, może być rozbrojony. Wyciąga rękę. Porusza palcami, jakby zachęcał do podejścia małe zwierzę.

- Oddasz mi to?

Jupiter skacze.

I oto byłem na swojej niespodziewanej włóczędze, wręcz odurzony światem ulicznych zapachów, ciesząc się wolnością od smyczy, a tu nagle łup, kłopoty. Okazałem się naiwny jak nowicjusz. Miesiące spędzone u boku człowieka przytępiły mój instynkt przetrwania. Ostatnio ciągle mnie prowadzano, zbyt długo nie korzystałem z własnego mózgu, oczekiwałem, że ktoś mi powie, dokąd iść i jak się tam dostać.

Gdy już przepędziłem pozera, pobiegłem chodnikiem nieznannej okolicy. Czuję się trochę zdezorientowany, bo goniąc drania, nie zwracałem uwagi na charakterystyczne punkty. Teraz więc badałem nowe tereny, co, muszę przyznać, było świetną zabawą. Dopóki nie natknąłem się na zapach, który musnął klawisze pamięci

w moim mózgu. Wyobraziłem go sobie, szukałem pasujących obrazów. Klatka. Brudne podwórko pełne odchodów. Odór zaschniętej krwi. Jakimś cudem trafiłem na ulicę, na której zaczęło się moje życie. Tego zdecydowanie nie miałem w planach. Uniosłem nos, usiłując pochwycić w miriadzie aromatów zapach okolicy, w której mieszkalem z człowiekiem albo tej z podwórkiem. Może tędy? Czy to woń miejsca z kawą, gdzie on lubi przesiadywać na dworze?

A może tamtędy? Czuję zbierających się ludzi ulicy? Nic. Nic, co potrafiłbym rozpoznać.

Zgubiłem się na amen. Psi honor każe mi się do tego przyznać. Moje fantazje, że trochę pobrykam i wrócę akurat na wspólny spacer, skończyły się fatalnie. Cóż, może straciłem orientację, ale tak do końca głupi nie byłem. Trzeba wrócić po swoich śladach. Logiczne, nie? Jako samiec rzuciłem wyzwanie innym psom w tej dzielnicy, zostawiając swoją wizytówkę na słupkach, hydrantach i samochodowych kołach. W końcu trafiłem na teren dawnego życia.

- Ty, weź popatrz. Uwierzyłyś?

Odkąd zniknąłem, delikatna granica między potencjałem zła a zepsuciem w tych ludziach zniknęła, a jej miejsce zajęła czysta wrogość. Śmierdzieli nią. Śmierdzieli dymem i złośliwością. Pizzą i piwem. Krwią na butach. Strachem maskowanym złością. Do tej pory nie uświadamiałem sobie, jak niewiele różnili się od psów z piwnicy, kierowani siłami, nad którymi nie panowali. Ofiary swojego wychowania.

Tym razem było ich czterech. Dwóch znałem, dwóch nie - więksi, starsi, wyglądali na silnych. Mężczyźni.

Wyszczrzyłem zęby, kłapałem, obracałem się, nie traciłem oddechu na wydawanie odgłosów, wszystkie siły włożyłem w działanie. Ale mnie otoczyli. Zrobiłem unik, skoczyłem między nogi okryte workowatymi dżinsami. Kopnięcie zabolowało, zachwiałem się. Nigdy wcześniej nie ugryzłem człowieka, ale nie zamierzałem łatwo dać się pokonać. Tyle że oni oczywiście wiedzieli, jak sobie radzić z kęsającym psem. Ostatnie, co pamiętam, to pętla na pysku, która ścisnęła mi szczęki. A potem pustka, kiedy jeden z nich ogłuszył mnie pałką.

Obudziłem się w klatce. Swojej starej klatce. Głęboko w kątach wciąż tkwiły resztki mojego zapachu. Rodzice zniknęli, zastąpieni kolejną parą do rozrodu. Suka popatrzyła na mnie z tępym zaciekawieniem. Pies zawarczał. Nie odpowiedziałem. Nie zamierzałem wdawać się w awantury. Czuję tylko ulgę, że mogę otworzyć pysk, i napiłem się z płytkiej kałuży wody w misce. Wróciłem tam, skąd zacząłem. Zastanawiałem się, kiedy znów trafię na arenę.

Adam przykładła do twarzy duży, gruby prostokąt chłonnego materiału; pielęgniarka na ostrym dyżurze zabrała mu kuchenny ręcznik, który dostał od Rafe'a, żeby zatamować krwawienie. Duży Bob siedzi obok niego w poczekalni, przeglądając stary numer pisma o samochodach i bębniąc w kolano palcami jak parówki. Adam wzbraniał się przed jazdą do szpitala; chciał wybiec na ulicę i szukać Chan- ce'a. Każda upływająca godzina - a siedzą tu od przeszło dwóch - oznacza, że trudniej będzie go znaleźć. Jak daleko może uciec pies? Kiedy Bob i Rafe przekonali Adama, że rana wymaga szycia, było mu już słabo od przeszywającego bólu, promieniującego z rozcięcia na twarzy, więc dał się zaprowadzić do samochodu Dużego Boba.

Ostrożnie odsuwa opatrunek od policzka, przestało krwawić? Odwraca się do Dużego Boba i czuje świeży strumyczek krwi. Jeszcze dziesięć minut, a potem wyjdzie, mimo zakrwawionej koszuli i pokrojonej twarzy.

- Nie ma sensu, żebyśmy tu obaj siedzieli.

- Oczywiście, że jest. Oberwałś na mojej zmianie.

- Personel się mną zaopiekuje. Wracaj do domu. — Dziesięć minut; jak tylko przekona Dużego Boba do wyjścia, pryska stąd. - Naprawdę. Idź.

Widzi, że pokusa ucieczki z tego ponurego miejsca zmaga się w Dużym Bobie z jego dobrą naturą. Adam nalega.

- Rany twarzy zawsze krwawią bardziej niż poważne obrażenia. Nic mi nie będzie.

- Masz do kogo zadzwonić? Ktoś po ciebie przyjedzie?

- Złapię taksówkę.

- Zapomnij. Nie pozwolę.

- Muszę znaleźć Chance'a.

- Musisz dać się pozszywać. Pies da sobie radę.

- Gina. Gina DeMarco. - Rzucić nazwisko i pozbyć się stąd faceta.

- Dobra. Jaki numer? - Bob, lekceważąc znaki zakazu korzystania z komórek, wyciąga nokię.

- Nie wiem.

- To nie bliska przyjaciółka?

Lekki zawrót głowy, jakby stał na dachu wysokiego budynku i patrzył w dół.

- Sąsiadka.

- Zastrzeżony?

- Spróbuj DeMarco, Od A do Z Ryby Akwariowe.

Wielka dłoń wybiera numer. Bob najpierw rozmawia z nagraniem, po chwili z żywym człowiekiem.

- W porządku.

Duży Bob wychodzi. Pielęgniarka patrzy na niego znacząco, potem wzywa Adama.

Kiedy March opuszcza gabinet zabiegowy, Gina siedzi sama w poczekalni. Na jego widok odruchowo podnosi dłoń do własnego policzka - Adam ma twarz obwiązaną bandażem z plastrami, zakrwawione koszulę i spodnie.

- Słodki Jezu, co się stało?

- Chance'a nie ma. Uciekł. - Adam wpycha wypis do tylnej kieszeni i łapie Ginę za rękę. - Już prawie ciemno, zacznijmy go szukać, proszę.

Adam nieumyślnie postąpił właściwie, podając Bobowi nazwisko Giny. Ze wszystkich ludzi, których zna, ona jedna rozumie gorączkową potrzebę jeżdżenia po podłych ulicach Bostonu w poszukiwaniu pokancerowanego pitbula.

Powoli suną kwartał po kwartale, coraz dalej od Fort Street Center.

- To wszystko jest powiązane - mówi Adam. - Atak Ju- piego i zniknięcie Chance'a. Facet się zemścił za Benny'ego. Nie, nie dlatego, że go nie znalazłem, tylko że nie rozumiałem, ile to zwierzę znaczyło dla Jupiego, że psy nie są wszystkie takie same. Nie kapowałem tego, a biedak oplakiwał...

Nagły, ogromny smutek sprawia, że głos więźnie mu w gardle.

Gina zdejmuje prawą rękę z kierownicy i kładzie ją na dłoni Adama.

- Znajdziemy Chance'a. Jest dużo dobrych sposobów znajdowania zaginionych psów. Będziemy szukać aż do skutku.

Kiedy zapada ciemność i dalsze poszukiwania są niemożliwe, lidokaina przestaje działać i nagle Adam zaczyna się czuć, jakby ktoś przypalał mu twarz rozżarzoną pogrzebaczem. Ból nie daje myśleć, przytłacza i Adam pozwala się Ginie zawieźć do domu. Kiedy skręcają w swoją ulicę, modli się, żeby przegowany mięśniak siedział na

schodach. Lassie wróć. Schody są puste. Żaden pies nie czeka.

Adam śni o Sophie. O swojej ręce na jej twarzy, ale to on czuje ból uderzenia. Budzi się. Po ułamku sekundy niepokój wraca.

Twarz boli go od siedemnastu szwów, układających się w równy łuk od kącika oka do kącika ust po lewej stronie. Adam wie, że ma szczęście. Nóż Jupiego ominął oko i nie przebił policzka na wylot. Rozcięcie jest głębokie, ale chirurg obiecał, że Adam będzie wyglądał raczej jak pirat niż jak oszpecony.

Pusta przestrzeń pod żebrami boli.

W głębi serca Adam boi się, że Chance podzieli los Benny'ego. Zgubią go uprzedzenia wobec pitbulów. Taka rasa to automatyczny wyrok śmierci w niektórych miastach. Pies potrafi zabłąkać się daleko, Chance może być kawał drogi od schroniska Animal Advocates, które ma jego zdjęcie, rysopis i numer tabliczki. Adam żałuje, że nie wszczepił psu mikrochipa. Mimo że żadne schronisko nie zawracałoby sobie głowy skanowaniem prążkowanego, poznaczonego bliznami pitbula.

Pustka w piersi wypełnia się paniką. Adam wciąż traci to, co kocha. Veronica. Ariel. Teraz Chance. Uciska sobie mostek, siłą woli zmusza panikę do ustąpienia. Strach zaczyna mijać. Adam oddycha bardzo ciężko, choć siedzi w fotelu. Koncentruje się na uspokojeniu oddechu. Wrócił do punktu wyjścia, fest sam. Wisząca na drzwiach smycz kpi z niego - był miękki i głupi, zawierając swój stan emocjonalny obecności zwykłego psa. Zwierzęta zdychają; uciekają. Veronica uciekła. I nie żyje.

Gula w gardle może być żalem po Veronice; albo po Chansie. Adam nie potrafi tego rozróżnić i ma przez to wyrzuty sumienia. Bardziej powinien opłakiwać siostrę, ale to za psem tęskni. Znowu został sam.

Z myślą, że jego ojciec, niewierny drań, mieszka trzy kilometry dalej.

Adam nie miał nawet dziesięciu lat, kiedy po raz ostatni widział człowieka, który oddał go państwu. Liczba odwiedzin skurczyła się do jednej rocznie, zwykle na jesieni, tak że okres powrotu do szkoły, zazwyczaj nowej, stał się synonimem przymuszania do włożenia przykrótkich wyjściowych spodni i koszuli z krótkim rękawem. Na szyi zapinano mu krawat. Pukanie, czasami dzwonek do drzwi. Przez ten ostatni rok Adam bardzo wyrósł. Stali prawie oko w oko, co ojca wyraźnie spłoszyło.

- Trochę się wyciągnąłeś.

Adam nie potrafił odczytać wyrazu jego twarzy, to była troska czy duma? Ojciec miał na sobie szarą kurtkę, taką jaką noszą mechanicy. Śmierdział papierosami, palce pożółkły mu od nikotyny. Włosy, wciąż ciemne, zaczesywał w tył, przez co z profilu przypominał wilka.

Jak zwykle poszli do najbliższego McDonalda. Wszędzie dookoła rodziny z małymi dziećmi, grupy nastolatków i starsi ludzie pijący kawę za kawą, żeby wypełnić czymś puste godziny.

- Chcesz Happy Meal?

- Nie. Zestaw z cheesburgerem.

- Proszę.

- Proszę. - Raz w roku, a ojciec musiał poprawiać jego maniery.

Adam nie bardzo pamięta, o czym rozmawiali. Ojciec wygłosił zwykłą litanię pytań, jakie dorośli zadają dzieciom, które ledwie znają. Szkoła. Koledzy. Sport.

W porządku. Paru. Bejsbol i koszykówka.

Zupełnie jak rozmowy z Ariel.

Tym razem Adam je szybko. Nie chce przedłużać przesłuchania, pragnie zapytać ojca tylko o jedno.

- Zobaczę cię jeszcze? - W znaczeniu: wrócisz do mojego życia?

- Jasne. Niedługo.

To ostatnie słowa, jakie od niego usłyszał. Po raz pierwszy się zastanawia, dlaczego nigdy nie zadał tych najważniejszych pytań. Veronica nie żyła już od czterech lat. Dlaczego o nią nie spytał? Czy wiedział, nie wiedząc? Wyparł tę wiedzę? Stein do tej pory wyłuskałby to z jego podświadomości. Razem z wyjaśnieniem, dlaczego Adam nigdy nie zakładał, że ojciec może jeszcze żyć. Ze po tych wszystkich latach nie wyobrażał go sobie wciąż wśród żywych. A przy tym nie przyszło mu do głowy, że Veronica może nie żyć.

Pukanie do drzwi, stanowcze. Adam się zrywa, pełen nadziei uśmiech boli; chce wierzyć, że ktoś znalazł Chan- ce'a, może jakiś sąsiad, który wspaniałomyślnie milczał o nielegalnym lokatorze pod 3A. Adam szarpnięciem otwiera drzwi. Za progiem stoi Gina, z łagodnym, współczującym uśmiechem na twarzy. Miną żałobnika. Wcisną Mar- chowi talerz z zapiekanką, torbę pełną chleba, sera i innego jedzenia na pocieszenie.

Adam chce ją wziąć w ramiona, ale to ona go obejmuje. Panika minęła. Adam opowiada Ginie, że Veronica od dawna nie żyje, że ojciec mieszka całkiem niedaleko. Gina siada obok niego, trzyma go za rękę, masuje mu plecy. Adam nie wie, czy ta kobieta zostanie w jego życiu, ale w tej chwili tu jest i on przyjmuje to w wdzięcznością.

Gina pomaga mu się wziąć w garść. Zajmuje się zranioną twarzą, podaje mu witaminę E i delikatnie oczyszcza ranę. Karmi Adama, zmienia skromną kuchnię w źródło kulinarnych rozkoszy. Budzi w nim nadzieję. Pozwala mu wyć, mówić, milczeć. Znajduje jego telefon, który wpadł za kanapę. Robi listę schronisk i zwołuje swoje oddziały obrońców praw zwierząt. Obiecuje, że jeśli Chance'a można znaleźć, to go znajdą.

Dzwoni do Ariel i werbuje ją do pomocy. Dzień po dniu przeczesują kolejne dzielnice, te dobre i te złe, wywieszają ogłoszenia o zaginionym psie, dzwonią. Ariel trzyma Adama za rękę, kiedy przemierzają ulice. Może to, że po prostu trochę wydorosła, zmieniło dynamikę ich relacji. Jeśli nie są jeszcze doskonale, to chociaż dają podstawy do optymizmu. Czasami Adam myśli, że Chance ich zbliża, nawet nieobecny.

Ariel przerobiła na komputerze wizerunek prądkowanego pitbula w rozsądną podobiznę Chance'a. Adam nie może patrzeć na to zdjęcie. Zastanawia się, jak to się stało, że obdarzył psa tyloma uczuciami. Czy to normalne? Gina pożyczyła mu ze sklepu tabliczkę z wierszem Rudyarda Kiplinga Moc psa. Ostatni wers każdej zwrotki przestrzega, żeby nie dawać serca psu na pożarcie.

Do piwnicy wpadają tylko wąskie smugi blasku, otaczając kartonowe kwadraty wstawione w prostokątne okna. Dzień od nocy mogą odróżnić tylko po jasności tych cienkich linii, które zmieniają się ze słonecznych w matowe, rzucane przez światło latarni. Nie jestem zabierany na dwór, nawet żebym się wypróżnił. Klatka staje się coraz mniejsza, staram się ograniczać nieczystości do jednej strony. Karmię mnie i poją. Mówią cichymi pomrukami, ale nie takimi, co oznaczają słodycz, lecz niezadowolenie z bałaganu, który zrobiłem z konieczności. Aż za dobrze wiem, co mnie czeka. Opuściłem to miejsce jako czempion, teraz jestem nikim. Na górze stukanie pazurów na linoleum. Wrzaski mężczyzn, wyzywających się nawzajem. Śmiech. Ostre szczeknięcie, zaraz po nim odgłos uderzenia. Stul mordę.

Piwnica jest podzielona na dwie części. Tę, gdzie mieszkamy, i tę, gdzie walczymy. Kiedy słyszę tupot stóp na schodach, patrzę na dwa pozostałe psy. Samiec opuszcza łeb, jego oczy ledwie odbijają słabe światło. Na zapach przeciwnika podnosi wargę. To ktoś, kogo zna, z kim walczył. Ciche warknięcie. „Jest twardy. Ostatnio z nim

przegrałem". Suka robi trzy kółka i się kładzie. Jej to nie dotyczy.

Wstaję. Wizja zbliżającej się walki uwalnia adrenalinę. Daję głos. Hej, kolego, zaczekaj tylko, uważaj lepiej na zadek. I tak dalej, nic niewarte zaczepki. Brawura. W rzeczywistości nie chcę już słuchać poleceń chłopaków. Moja dawna praca została zastąpiona nową i lepszą. Przestałem być gladiatorem. Teraz jestem pupilem. Psem na smyczy. Tęsknię za tamtym człowiekiem. Nie sądziłem, że to możliwe, ale właśnie on zaprzęta moje myśli. Dlaczego nie przyszedł? Czemu tak długo zwleka? Zaczynam wyć.

Jeden z chłopaków szturcha mnie pałką, żebym się zamknął. Płynnym ruchem otwiera klatkę i nakłada mi kaganiec, potem kolczatkę. Dobrze. Niech wiedzą, że im zagrażam, to może mnie puszczać. Wyskakuję, rycząc i wyrywając się; próbuję go zastraszyć. On się tylko śmieje, a kolczatka dusi, aż ryk zmienia się w żalosne charczenie.

Nie dam się wlec. Ciągnę człowieka trzymającego krótki łańcuch przymocowany do kolczatki. Idę na drugą stronę piwnicy. W kierunku areny. Świetnie. Zrobmy to. Może straciłem formę, zmiękłem od wygodnego życia i uczuć, ale wciąż jestem psem. Wojownikiem. Choć oczywiście nie takim, jak ta stojąca przede mną masa mięśni. Ale biada gladiatorowi, który nie rozumie, że życie poza areną jest lepsze. Chcę to życie odzyskać, a jedyna droga do tego prowadzi przez walkę. Wtedy chłopak trzymający łańcuch owija mi pysk srebrną taśmą klejącą. Nie jestem wojownikiem, tylko przynętą.

Nie opiszę tego, co się wydarzy. Walkę psów najlepiej zostawić wyobraźni. Dość powiedzieć, że to będzie moje ostatnie starcie.

Alinę bardzo dużo czasu, odkąd Adam był z kobietą. Jeszcze więcej, odkąd dotykał takiej, która nie reagowała na jego wysiłki wydawaniem poleceń, przypominaniem

o ograniczeniach czasowych czy stawianiem warunków. Adam wie, że porównania są szaleństwem, nie może jednak nie porównywać miękkich krągłości Giny z twardym od ćwiczeń, kanciastym ciałem byłej żony. Gina nie wstydzi się kształtu swoich bioder ani pełnych piersi kołyszących się ciężko po rozpięciu stanika; są naturalne, nieulepszone, miękkie i słodkie. Ta kobieta się nie tłumaczy, ona się kocha.

Ostatecznie Adam czuje, jakby się odrodził. Zostawili w sypialni zapaloną lampkę i drzemali w łagodnym świetle. Budzą się, przytulają i Gina sięga, żeby ją wyłączyć. Latarnie za oknem zalewają pokój bladym blaskiem. Adam nie zaciągnął zasłon, za bardzo się spieszył; kiedy się tu wśliznęli, odrzucili ciężką, sztruksową narzutę

I weszli do łóżka po raz pierwszy razem. To nie było nieuniknione. Tak jak ich

przyjaźń, ten moment nigdy nie stanowił oczywistej kontynuacji wspólnej znajomości.

Adam opada na stos poduszek i przyciąga do siebie Ginę. Tak dużo opowiedział o sobie, o swoim życiu i kłopotach, że teraz się wstydzi, że o nią prawie w ogóle nie pytał. Oddała mu się cała, nie w kawałkach i wyobraża sobie, że taka zawsze była. Ale to chyba nieprawda. Na półce w sklepie ma zdjęcia. Starszy mężczyzna i para bliźniaczek; dziadek, z którym mieszkała od ukończenia siedemnastu lat, i przybrane rodzeństwo z drugiego małżeństwa matki, już nie dzieci; młodzi małżonkowie. W jej życiu są inni ludzie. Na pewno - inni mężczyźni. Gina musiała mieć kogoś oprócz kochanków, na pewno kogoś lepszego niż taki wybrakowany towar jak Adam.

- Dlaczego jakiś gość bystrzejszy ode mnie nie zwinął cię wcześniej?

Gina dotyka lekko twarzy Adama, przesuwa palcem po świeżej bliznie.

- Miałam przez dwa lata męża. Dawno temu.

Adam zaczyna odgarniać włosy z jej twarzy. Czeka. Chce wiedzieć, że Gina nie oplakuje utraconej miłości.

- I co się stało?

- Kazałam mu się wynosić.

Adam odrobinę zmienia ułożenie ciała.

- I zrobił to?

- Bez słowa protestu. To była najłatwiejsza rzecz w moim życiu.

- Jesteś bardzo silna. - Adam całuje ją w czoło.

Gina ujmuje w dłonie jego twarz.

- Ty też, silny, nawet kiedy to boli.

Leżą przez chwilę w ciszy, aż Gina się odsuwa, siada tak, żeby na niego popatrzeć, kładzie dłoń na policzku bez blizny.

- Adam.

- Tak?

- Dobrze robisz.

Adam starannie wybrał ubranie. Bawełniane spodnie zamiast dżinsów. Jasnoniebieska koszula przeznaczona nie do pracy, a na weekendy. Bez krawata. Golfowa kurtka, a nie sportowa marynarka. Na nogach - reeboki. Z początku myślał, że włoży swój najlepszy garnitur, najdroższe buty, ulubiony, prosty krawat, ale kiedy je wyjął z szafy, wyglądały niewłaściwie, jak smoking w barze. To, co Adam chce przekazać, musi być powiedziane, nie pokazane.

Dwa razy okrążył kwartał, rzekomo szukając miejsca do zaparkowania, ale na tej ulicy jest ich sporo do wyboru. W końcu parkuje tuż przed domem.

Dwupiętrowy budynek znajduje się między pustą działką a nowszym, dwurodzinnym domem. Jest pomalowany w stopniowane odcienie brązu, beżu i żółci, tak że trzecia kondygnacja wydaje się mniejsza niż dwie pierwsze. Podwójny podjazd, rozdzielony cienkim pasem trawy zajmuje przestrzeń między budynkami; po prawej stronie widać samotnego złotego marquisa. Frontowe schody prowadzą do podwójnych drzwi. Jedne są na klatkę, drugie do mieszkania na parterze. Adam sprawdza adres na kartce. 42A. Parter. Działka jest ogrodzona, kępy rododendronów łagodzą surowość drucianej siatki. Adam otwiera furtkę, dokładnie zamyka ją za sobą. Na ganku, w kącie stoi mały, okrągły stolik, na nim świeca przeciw komarom pełna wypalonych zapalek. Ostatnie kilka wieczorów było chłodnych i dwa fotele stoją oparte o balustradę, jakby złożono je już na zimę.

Adam podchodzi do drzwi po lewej. Pod dzwonkiem wisi mosiężna tabliczka z wygrawerowanym nazwiskiem „March”. Adam musi tylko nacisnąć biały guzik. Chowa jedną rękę do kieszeni kurtki, drugą przeczesuje włosy, przeciera twarz; zapomina, że policzek wciąż boli, chociaż zdjęto już szwy. Czuje cienkie strużki potu na karku, pod pachami. To bez sensu, myśli. Dokonywał o wiele większych aktów odwagi na arenie biznesu, dzielnie stawiał czoło malkontentom i przeciwnikom, żeby dowieść swojej racji. Oświadczył się Sterling Carruthers; poprosił o jej rękę jednego z najpotężniejszych ludzi, jakich znał. Nagle decyduje, że powinien albo nacisnąć ten cholerny dzwonek, albo odejść, zanim ktoś zauważy, jak tu stoi niczym zdenerwowany nastolatek na pierwszej randce.

Ze wszystkich trudnych chwil w żadnej nie czuł się tak niepewnie. Po raz pierwszy nie ma pojęcia, na jakim wyniku mu zależy.

Przyciska palec do dzwonka. Dwa razy.

Grube drewniane drzwi otwiera kobieta; drzwi burzowe zostawia zamknięte. Patrzy na Adama przez cienką siatkę przeciw komarom; zagląda mu nad ramieniem, żeby sprawdzić, czy przyszedł sam.

- Nie jest pan jehową, prawda?

- Nie. - Adam nie przecwicył takiego powitania. Spodziewał się, że otworzy ojciec. Nie przyszło mu do głowy, że może natknąć się na jego żonę.

Przyglądają się sobie nawzajem.

- Jestem Adam March. Syn Johna.

Kobieta wolno kiwa głową, rozważa tę informację.

- Tak. Proszę wejść.

Otwiera drzwi burzowe i odsuwa się na bok, żeby wpuścić gościa. Mały przedśionek z pustym wieszakiem na kapelusze prowadzi do salonu. Adam czuje zapach pieczenia. Ciastka czekoladowe. Pokój jest schludny, zadbane. Staromodne meble, kanapa i fotele do kompletu, mahoniowy stolik ze zdobioną misą i dwoma srebrnymi świecznikami na końcach.

- Niech pan tu zaczeka. - Kobieta nie zaprasza go, żeby usiadł.

Adam się rozgląda. Stoi na środku orientalnego dywanu. Wzór jest wytarty, ale wciąż piękny czerwienią, błękitem i żółcią. Adam uświadamia sobie, że czegoś szuka, jakiegoś przedmiotu, który będzie pamiętał z domu. Podchodzi do kominka; na gzymsie są trzy takie same srebrne ramki. Przygląda się zdjęciom - ślubne, niemowlę, grupowe.

Kobieta wskazuje ostatnie.

- To moja rodzina. Syn Carl, jego żona Jennifer i ich dzieci. - Nie zdejmuję fotografii. - A ja jestem Bea. Zona Johna.

- Jestem Adam. I czuję się bardzo niezręcznie.

Bea March uśmiecha się do niego.

- Wiem.

- Zastąłem ojca?

- Tak. Zaprowadzę cię do niego. Leży przykuty do łóżka. - Odwraca oczy, studiuje wzór na dywanie. - Rak płuc. Nie mogłam go namówić, żeby rzucił palenie. - Bea odrywa wzrok od podłogi, patrzy Adamowi w twarz. - Nie chcę, żeby się emocjonował, już i tak mocno to przeżył, że tu jesteś. Pewnie masz milion pytań, ale byłoby najlepiej, gdybyś ograniczył do kilku. Nie pozwolę, żebyś go męczył.

- Tylko jedno pytanie.

- Dobrze.

Bea prowadzi Adama przez jadalnię krótkim korytarzem. Zapach pieczenia miesza się teraz z innym, trochę nieprzyjemnym, zamaskowanym odświeżaczem powietrza. Bea puka do drzwi, wyraźnie zdenerwowana.

- Johnny, to on.

Słysząc jakiś dźwięk, syczący szum powietrza, zaakcentowany odgłosem przypominającym wypluwanie drobiny tytoniu, która przykleiła się do języka. Bea nie czeka na odpowiedź, ale otwiera ciemne bejcowane drzwi i wpuszcza Adama. Oparcie szpitalnego łóżka jest podniesione tak, że John March prawie siedzi. Podnózek został trochę opuszczony, więc chory ma nogi zgięte w kolanach. Do pasa okrywa go białe prześcieradło, złożone i rozprostowane na pomarańczowym kocu elektrycznym; Bea przygotowała męża na odwiedzinę. Szara twarz jest zapadnięta, pod nosem tkwi rurka tlenowa. Ciemne piwne oczy patrzą na Adama; John zestawia tego tu mężczyznę z chłopcem, którego widział po raz ostatni blisko czterdzieści lat temu. Którego zostawił, oddał państwu. Adam przełyka ślinę. Postać na łóżku wyciąga dłoń. Ręka się trzęsie. Ze zdenerwowania albo choroby. Adam też dygocze. Bea dotyka ramienia gościa i wskazuje składane krzesło przy łóżku. Potem wychodzi z małego, przyprawiającego o klaustrofobię pokoiku i zamyka za sobą drzwi.

Adam stoi teraz tak blisko, że widzi miejsca, które Bea opuściła, goląc męża. Włosy Johna są stalowoszare, zaczesane do tyłu i długawe. Kiedyś ojciec zawsze nosił fryzurę nazywaną pompadour, wymagającą nałożenia brylantyny. Adam przypomina sobie jej tubkę na lustrze w łazience. Charakterystyczny zapach. Zalewa go fala wspomnień.

Ojciec przed lustrem, czarny grzebień czeszący w jedną, potem w drugą stronę. Czarne jak smoła włosy, lśniące od brylantyny. Ojciec nuci slogan reklamowy: „Wystarczy odrobina”. Adam śpiewa razem z nim, prosi o małą część dla siebie.

Pomyślał o tym po raz pierwszy. Dotąd skupiał się wyłącznie na gniewie ojca, na kłótni z Veronicą, na jej odejściu. Wystarczy odrobina.

- Cześć, tato.

Chory się uśmiecha i odpowiada przez szum maszyny tlenowej, głosem cichym i świszczącym:

- Cześć, synu.

Klepie koc dłonią posiniaczoną od kroplówki, a Adam zastanawia się, jak to rozumieć.

Ma jedno pytanie, jeśli zamierza trzymać się zasad Bei. Jedno pytanie po całym życiu.

John March oblizuje spierzchnięte wargi.

- Co u ciebie?

Pierwsze pytanie ojca po całym życiu.

- Dlaczego, tato? Dlaczego mnie oddałeś?

Ojciec sięga po rurkę tlenową, odciąga ją od nosa.

- Nie miałem wyjścia. Byłem sam.

Wkłada rurkę na miejsce, nie trafia w jedno nozdrze.

- Czemu nie wróciłeś? Kiedy byłem starszy? Dlaczego zostawiłeś mnie w sierocińcu?

Adam pomaga poprawić rurkę.

- To skomplikowane.

Adam już wykorzystał swoje jedno pytanie i wciąż nie ma odpowiedzi. Starzec znów próbuje wyjąć rurkę; syn odsuwa jego dłoń od twarzy.

- Tak, na pewno. Nie rozumiem tylko, dlaczego przestałeś mnie odwiedzać raz do roku. Ale wiesz co? Udało mi się. Odniosłem sukces. Mam córkę. Nigdy nie poznałeś swojej córki. Nigdy mnie nie poznałeś.

Oczy starca wilgotnieją, ale to raczej łzy sprzeciwu niż żalu. Adam opada na oparcie krzesła, wciąga haust powietrza przesyconego zapachami choroby i starości. Na komodzie stoją dwie fotografie w ramkach. Przez chwilę myśli, że jedno to zdjęcie Ariel, które jakimś cudem znalazło się w posiadaniu ojca. Długie blond włosy, półprofil, delikatny uśmiech Mony Lisy. Veronica. Drugie przedstawia jego, szczerbatego sześciolatka, ostrzyżonego na jeża, w kraciastej koszuli. Portretówki. Fotograf kazał mu trzymać zabawkowy pociąg. Adam pamięta. I nagle fala rozpoznania, wspomnień, prawie wypędza go z pokoju. Ojciec zatrzymał te zdjęcia, zrobione na kilka tygodni przed tym, jak Veronica zginęła, a Adam został oddany do sierocińca.

- Dlaczego... - Adam przerywa. Na jego pytania nie ma odpowiedzi. Żadnych, które

chciałby usłyszeć, które zatarłyby czterdzieści lat gniewu. Wstaje i otwiera drzwi. - Do widzenia.

John March znów podnosi rękę, zмага się z chorobą, żeby przemówić.

- Zobaczę cię jeszcze?

Adam dostrzega ironię losu. Sytuacja się odwróciła. Teraz ma przewagę, możliwość zadecydowania, czy jeszcze odwiedzi ojca, czy nie. Szansę wyrównania rachunków. Kiedy zadał ojcu to samo pytanie po raz ostatni, ten odpowiedział „Jasne. Niedługo”. I zniknął. Ból, wściekłość, żal w końcu się stepiły i zlały w nieprzyjemne wspomnienie. Adam skupił się na przyszłości, bo sądził, że nad nią ma kontrolę. Ale tylko tak mu się wydawało.

- Jasne. Niedługo.

Beatrice March czeka na niego. Prowadzi go do kuchni, mimo protestów Adama, że musi iść. Sadza go i stawia przed nim filiżankę kawy; na środku kuchennego stołu stygną na talerzu czekoladowe ciastka. Bea ma na sobie staroświecki fartuch, z paskami krzyżującymi się na plecach. Nie siada, staje tyłem i zajmuje się wycieraniem blatów. Adam czuje się jak mały chłopiec czekający w kuchni u sąsiadów, aż rodzic po niego wróci albo przez drzwi wpadnie kumpel. Czekający, aż dorosły zdominuje chwilę.

- Opowiadał mi o tobie. - Bea wyciska gąbkę nad zlewem. Nie patrzy na Adama. - O tym, że miał dziecko, które musiał oddać. Złamało mu to serce. Tyle ci powiem.

- Jeśli tak bardzo cierpiał, czemu się ze mną nie kontaktował? Przez kilka lat przyjeżdżał mnie odwiedzać, zabierał na obiad. A potem nagle przepadł. Zacząłem zakładać, że umarł.

Bea odwraca się do Adama. Odsuwa krzesło naprzeciwko i siada.

- Nikt ci nigdy nie mówił, co się stało?

Serce Adama wykonuje szybkiego, trudnego quick- stepa.

- Nie.

Bea przyciska rękę do czoła.

- Mężczyźni niełatwo przyznają się do porażki. A już na pewno John. Nie udało mu się z biedną Veronicą. Został sam z sześciolatkiem, nie miał dość czasu na pracę, żeby zarobić na życie. Zaraz po tym, jak Veronica uciekła, zaoferowano mu posadę kierowcy ciężarówki. Niezłe płatną. Wiedział jednak, że nigdy nie będzie go w domu.

Nie zapewniłby dziecku normalnego domu. Wybrał najlepsze, co wtedy mógł. Oddał cię pod opiekę państwa. Chociaż cierpiał z tego powodu, uważał, że postępuje słusznie.

- Usprawiedliwiasz go.

- Oczywiście, że tak. Pierwsze, co mi o sobie powiedział, kiedy się poznaliśmy, a jesteśmy małżeństwem od dwudziestu pięciu lat, to to, że stracił rodzinę. I że to była jego wina. Potem rzadko o tym mówił. To zbyt mocno bolało.

Quickstep zwolnił do arytmicznego łomotu.

- Później się dowiedział, że jesteś nieadoptowalny, dopóki istnieje prawdopodobieństwo powrotu rodzica. Pragnął zapewnić ci szansę na stabilny dom. Nie mógł liczyć na niczyją pomoc. Nie miał żadnej rodziny. Myślał, że jeśli będziesz adoptowany, zaznasz stabilizacji. Męczył się z tą decyzją, aż w końcu z siebie zrezygnował.

- A ja nigdy nie zostałem adoptowany.

- Nie wiedział o tym. Kiedy wracał myślami do przeszłości, pocieszała go tylko wiara, że znalazłeś szczęśliwe schronienie. Że trafiło ci się coś lepszego niż jemu, niż życie tułacza.

- Nie wygląda mi na tułacza. Ładny domek. Razem wychowaliście dzieci...

- Nie. Ja tutaj sama wychowałam Carla. Poznałam twojego ojca, gdy przeszedł na emeryturę. Tuż przed tym nie pracował już jako kierowca, ale jako mechanik. Tak, nie był tułaczem. Mieszkał po sąsiedzku. Wynajmował od Garritych. Zmienił ich podwórko w ogródek warzywny. Obserwowałam go z kuchennego okna. Od razu wiedziałam, kim jesteś, bo wyglądasz dokładnie tak samo jak on wtedy. Przystojny z ciebie mężczyzna. - Bea dłonią zakrywa usta, potem sięga po kawę. - Odkąd zachorował, dużo o tobie mówił. Zastanawiał się, co się z tobą stało.

- Przyszło mu kiedykolwiek do głowy, że ja mogę też o nim myśleć? O tym, co się stało z Yeronicą? Dopiero niedawno się dowiedziałem, że zginęła. Dlaczego nikt mi nie powiedział?

Bea kręci głową.

- Kiedyś ludzie nie byli tacy otwarci wobec dzieci. Niektórych rzeczy po prostu im się nie mówiło. Uważano, że niewiedza jest błogosławieństwem. Gdybym wtedy była z nim, cóż, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Przykro mi, że nigdy nie wiedziałeś, że ta biedna dziewczyna została przejechana na ulicy jak pies.

Pies na ulicy.

- Muszę iść.

Bea kiwa głową.

- Nie zostało mu dużo czasu. Byłoby cudownie, gdybyś... - Znow zakrywa usta, nie potrafi wymówić tych słów. - Przebaczył ojcu — kończy po chwili.

Adam sam trafia do drzwi.

Siedzi w samochodzie, który lekko pachnie Chance'em. Smycz leży na podłodze po stronie pasażera. Adam ma nadzieję, że Bea March nie wygląda przez okno, nie widzi go, jak czeka, aż uspokoi mu się łomot serca, ustąpi drżenie rąk. Telefon leży na desce rozdzielczej, Adam bierze go odruchowo, sprawdza listę połączeń. Dwa nieodebrane. Wystukuje numer poczty głosowej.

Ariel po raz kolejny pyta, czy znalazł psa. Jakby nie była pierwszą osobą, do której zadzwoni, kiedy tak się stanie. Jeśli tak się stanie. W jej głosie słyszy wyblakły optymizm, że ktoś zauważy Chance'a, że cuda się zdarzają. Jedyna dobra rzecz, jaka wynikła ze zniknięcia pitbula — oprócz zacieśnienia więzi z Giną - to że Ariel nauczyła się z powrotem być jego córką.

Druga wiadomość jest krótka.

- Panie March, tu doktor Gil ze schroniska. Chyba mamy pańskiego psa.

„Emocjonalnie rozchwiany”, to określenie przychodzi Adamowi do głowy, kiedy próbuje sobie poradzić z połączeniem ciężkiego spotkania z ojcem oraz radości z odzyskania Chance'a. Przez ostatnią godzinę był psychicznie chłostany do żywego. Przeżył chyba wszelkie możliwe stany, ale teraz cieszy się, że serce bije mu z nadzieją. Jeśli Chance wróci, wszystko się ułoży. To drań, jak mógł zniknąć na tak długo? Zabierze go od razu do Giny. Kupi mu nowe zabawki do gryzienia. To bez sensu, jest dorosłym facetem, czemu płacze z ulgi, że znalazł psa?

Znajduje wolne miejsce niedaleko schroniska. Parkuje, karmi parkometr, upuszczając na chodnik ćwierćdolarów-ki, a potem wpada przez drzwi i biegnie do recepcji.

- Przyjechałem po swojego psa.

Recepcjonistka patrzy na niego ze zdziwieniem.

- Dzwonił do mnie doktor Gil. Prądkowany pitbul, pół ucha.

- Och. Tak. Pójdę po doktora.

Kitel jest dzisiaj zielony, crocsy w kolorze limonki. Kucyk Gila — lekko przekrzywiony.

- March, dobra, niech pan słucha.

Gil zaczyna opisywać psa. Zmasakrowany. Zmiażdżone kości. Utrata krwi. Znaleziony w zaułku, porzucony. Gdyby nie fakt, że Adam nękał schronisko od dziesięciu dni, zwierzę zostałoby natychmiast uśpione. To pół ucha było jedyną rzeczą, która pasowała do opisu Adama. Wtedy Gil przypomniał sobie niecodzienną adopcję i dodał dwa do dwóch.

- Mówię to, żeby się pan nie przestraszył. I żeby podjął właściwą decyzję.

Adam w milczeniu wysłuchał doktora i zaczął się modlić, żeby to biedne stworzenie okazało się innym psem. Chce zadzwonić do Giny. Spytać ją o zdanie. Poczuć jej dłoń na ramieniu.

- W porządku.

Przez wahadłowe drzwi wchodzi do korytarza. Tym razem weterynarz prowadzi Adama do lecznicy. Pod ścianami po obu stronach piętrzą się klatki. W tych niedużych śpią małe futrzaki, w innych - milczące istoty, które wyglądają jak ofiary eksperymentów, z bandażami i rurkami. Jeszcze inne są podwójne, dla większych zwierząt, i wszystkie puste. Oprócz jednej. Przy tej właśnie Gil przy- kuca.

- Cześć, chłopaku.

Adam klęka przy klatce, wplata palce w drucianą siatkę. W środku prądkowany pies. Biała gaza przecina brązowe pręgi. Kwadratowy łeb obwiązany, przednia łapa tkwi w łubkach aż po palce. Pies leży tyłem do drzwiczek, więc Adam nie widzi jego oczu. Zwierzę się nie porusza. Adam patrzy na weterynarza.

- Już za późno?

- Dostał trochę głupiego jasia.

- Nie rozumiem.

- Coś, żeby odpoczął. Nie za dużo. Dopóki pan się nie zgodzi.

- Mogę tu chwilę pobyc?

- Niech pan zostanie tak długo, jak pan chce. - Gil wstaje, przyciska dłoń do ramienia Marcha. - Proszę przyjść do biura, kiedy będzie pan gotów.

Adam otwiera drzwi klatki. Gładzi Chance'a po barku, między brzegami kontynentów gazy.

- Cześć, kolego. To ja.

Nie czuje się głupio, szepcząc do śpiącego psa. Kolana trochę go bolą od twardych płytek podłogi, więc siada, wygina się niewygodnie i opiera policzek z blizną o bok psa. Słyszy bicie serca udręczonego zwierzęcia.

- Nie uwierzyłbyś, kogo dzisiaj spotkałem. Ojca. Swojego nieobecnego ojca. Jest tak samo potłuczony jak ty, tyle że od środka. On też umiera i nikt nie skróci jego cierpienia. Cierpisz? Chcesz umrzeć? Chcesz, żebym to zrobił? Mam im powiedzieć? Stęskniłem się za tobą. W domu strasznie pusto bez ciebie. Ale teraz odwiedza mnie Gina. Och, Chance, gdzieś ty był? Jak się wpakowałeś w takie kłopoty?

Adam czuje, że pies porusza się pod jego obolałym policzkiem. Podnosi łeb i spojrzenia dwóch par ciemnych oczu się spotykają. Ogon uderza o podłogę klatki. Łup. Łup. Łup.

Rroorr. Chance kładzie głowę i nieruchomieje.

Bea wypełniła pewne luki, opowiedziała rzeczy, które pozwoliły Adamowi przejść od pogardy do zrozumienia. Mężczyzna bez wyższego wykształcenia, bez perspektyw, niespodziewanie samotny ojciec, oplakujący żonę zabraną mu przez raka. Te wszystkie okoliczności sprawiły, że stał się gniewny. Jego wybuchowy charakter kosztował go nastoletnią córkę i syna.

John nie ma siły mówić, więc robi to Adam. Przywiózł zdjęcia Ariel, potem któregoś dnia przyprowadził ją samą, żeby poznała dziadka. Nie zostali długo. Na koniec spotkania Adam czuje się pusty, pozbawiony treści, która trzymała go w pionie przez lata. Większość życia buntował się przeciwko swojemu dzieciństwu. Siedzi obok kruchej postaci - kiedyś wszechmocnej, groźnej - i rozumie, że jest taki sam. Ale wie, że dostał szansę odzyskania szczęścia, które stracił przez własne czyny. Może nie będzie miał tego, co kiedyś uważał za szczęście, ale doceni prostsze, głębsze zadowolenie z obecnego życia.

Sędzia Frank Johnson wpatruje się w twarz Marcha trochę dłużej, niż wypada.

- Słyszałem od Boba, co się stało. Przykra sprawa.

Adam odruchowo dotyka policzka; szwy już się rozpuściły, ale wciąż została czerwona bruzda. Gina upiera się, że witamina E zmiękczy bliznę.

- Wszystko w porządku.

- Mówił mi też, że nieźle się pan spisał. - Sędzia wskazuje krzesło. - Niech pan siada.

Tym razem Adam jest pewny, że jego kara się zakończyła. Ze odrobił swoje prace społeczne, i już się nie boi, że sędzia dołoży mu więcej. Ma nadzieję, że Johnson go nie spyta, czy czegoś się nauczył. To byłoby zbyt protekcyjne na jego gust; a jednocześnie nie wstydzi się przyznać, że owszem, czegoś się nauczył. Siada, wyciera w nogawki lekko spocone dłonie.

- Szczerze mówiąc, to wyszło na dobre.

Sędzia odsuwa okulary Buddy'ego Holly'ego na czoło.

- Wziął się pan do wyszukiwania grantów. Zamierza pan to robić dalej?

- Tak. Znalazłem kilka, które zapewnią nam nowy sprzęt biurowy, i jeden, za który sprowadzimy raz w miesiącu pielęgniarkę.

Johnson odchyła się w tył, ścisną podbródek palcami. Wolno kiwa głową.

- Dobrze. Umarzam sprawę.

I ot, tak Adam March znów jest wolny.

Adama budzi nagle dzwonek komórki wygrywający uverturę do Cyrulika sewilskiego Rossiniego. Odbiera, potem wstaje z łóżka i jedzie do domu ojca.

Adam i Ariel stoją na cmentarzu, trzymają się pod ręce, pierwszy prawdziwy jesienny chłód szczypie ich gołe dłonie.

305

- Była w moim wieku.

20 - Dobry pies

- Mhm. I tak samo zbuntowana.

Ariel lekko szturcha go ramieniem.

- Niezupełnie. Ostatnio nigdzie nie uciekałam, ale zrobię to, jeśli mama wyjdzie za tego palanta Troya.

- Ma prawo do szczęścia.

- Mogę zamieszkać z tobą?
- Oczywiście. Ale nie ze złości, tylko dlatego, że mnie wolisz.
- W porządku.

Właśnie pochowali jego ojca. Reszta żałobników - Carl z żoną i dziećmi, sąsiedzi, znajomi z kościoła pojechała już do domu Bei na stypę. Adam i Ariel zostali, żeby mógł jej opowiedzieć, co się stało z Veronicą. I coś więcej o dziadku, który zjawiał się w jej życiu na tak krótko. Z bólem obserwował, jak oczy ojca rozświetlają się na widok tej dziewczyny, bliźniaczo podobnej do dawno nieżyjącej Veroniki.

- Dlaczego uciekła?

- Nie wiem. Pytałem ojca, głównie dlatego, że chciałem go o to obwinie, ale on też nie wiedział. Szukała lepszego życia. I pewnie chodziło również o chłopaka. - Adam ściska dłoń Ariel. - Zawsze myślałem, że uciekła ode mnie, od konieczności niańczenia brata. Była młodą kobietą, gotową rozpocząć własne życie. Pragnęła wolności i zabawy, a nie roli gospodyni i matki.

- Co za chała. Nigdy bym tak nie zrobiła.
- Nigdy nie musiałaś się opiekować młodszym rodzeństwem.

Przez chwilę milczą, oboje pogrążeni w myślach.

- Przed studiami chciałabym popracować rok jako wolontariuszka w City Year.

Adam obejmuje ją ramieniem zaskoczony, że jest taka wysoka.

- Nie mam nic przeciwko.
- Mama dostaje szału.

Adam uśmiecha się, kiedy to sobie wyobraża.

- Zrób to, co uważasz za właściwe.
- Słuchałam, jak opowiadasz o Fort Street, i to dało mi do myślenia. Wróciłeś tam, chociaż już nikt ci nie kazał.
- O wiele przyjemniej pomagać z własnej woli niż z przymusu.

Kiedy twarz przestała już pulsować bólem przy każdym ruchu, chciał jak najszybciej zająć się pracą. Wrócił do ośrodka kilka tygodni temu. Dostał zlecenie jako konsultant, zaczął wychodzić na swoje i to mu wystarczyło. Jupi - po leczeniu już bardziej Charles niż Jupiter - przeprosił Adama. Pociągnięto za parę sznurków i

teraz mieszka w domu przejściowym w pobliżu, ale wciąż jada w ośrodku. Pyta, czy Adam pojechałby z nim do schroniska i pomógł mu wybrać nowego towarzysza.

Ariel ściąga rękawy kaszmirowego swetra na dłonie.

- Zimno mi, tato. Chodźmy stąd. Długo musimy zostawać u Bei?

- Ty nie. Wpadnij tylko i coś przegryź. Jakoś cię wytłumaczę.

Biorą się za ręce i idą do lexusa. Mimo niełatwej przeszłości, śmierć ojca bardzo Adama przybiła. Te ostatnie tygodnie były niezwykle trudne, a jednak najprzyjemniejsze, jakie pamiętał. Pogodzenie. Odnowione uczucie. Oздrowienie. Nowa miłość.

Gina, chcąc dać Adamowi i Ariel czas na osobności, czeka na nich w samochodzie.

A na tylnym fotelu, z kanciastym pyskiem w otwartym oknie, siedzi Chance.

Epilog

Chodzę rozkołysanym krokiem ezempiona, ale to tylko dlatego, że utykam. Przednia łapa boli w zimne poranki; przypomina długie tygodnie, kiedy była usztywniona, smutne dni noszenia tego bezsensownego plastikowego kołnierza. Czasami dostawałem szalu, chciałem zerwać łubki i wylizać rany na piersi i brzuchu, które jednocześnie swędziały i bolały. Mój człowiek drapał je za mnie, w swojej obecności pozwalał mi na krótką ulgę snu bez kołnierza. Dawał mi jedzenie z puszki, ze względu na mój pokaleczony pysk. Karmił mnie kawałkami sera, udając, że wcale nie ma w nich pigulek o ostrym smaku. Znosił mnie po schodach, żebym załatwił swoje sprawy, a potem wnosił z powrotem.

Mówią, że pies nie jest świadom własnej śmierci, bo tak naprawdę nie jest świadom własnego istnienia, ale to nieprawda. Kiedy leżałem otumaniony w szpitalnej klatce, wiedziałem, że zmierzam ku zapomnieniu. Każda klatka jest taka sama, czy to w piwnicy, czy to w schronisku. Wszystkie ograniczają i chronią. Ta w piwnicy była więzieniem, ta druga - bezpiecznym schronieniem. Czekałem na chwilę, kiedy przestanę żyć. Tego nie można zrobić na życzenie, trzeba być cierpliwym. Niczego mi nie brakowało. Miałem przygody, podróże, trochę romansów. Dobrego człowieka.

Leżąc tak, zrozumiałem, że nie czekam tylko na swój koniec, ale na niego.

Myslałem o nim, umierając; o tym, skąd wiedziałem, że jego pobratymcy mówią „Adam”, kiedy go wołają. O tym, że potrzebował mnie, żeby być szczęśliwym. Umierałem i jeśli psy mogą sobie czegoś życzyć, życzyłem sobie, żeby do mnie przyszedł, żeby był obok, kiedy przestanę żyć.

I oto zbudziłem się z głębokiego snu i go zobaczyłem.

Odepchnąłem pragnienie śmierci w kąt, kiedy przycisnął twarz do mojego boku. Jego głos huczał mi w środku, czułem na sierści wilgoć łez. Wiedziałem, że nie tylko nade mną płacze. Głęboki smutek przeszedł z niego w moje zdruzgotane ciało. Obudziłem się z myślą, że skoro on tu jest, to mogę odejść. Dołączyć do przodków, oddać ducha. Ale kiedy poczułem to jego drzenie i usłyszałem chrapliwy głos, zrozumiałem, że wciąż mnie potrzebuje, może nawet bardziej niż kiedykolwiek. Wybrałem sobie tego człowieka i mam obowiązek opiekować się nim w tym nowym bólu. To moja praca, jestem psem. We dwóch tworzymy stado.

I zamerdałem ogonem.

?

Podziękowania

Książka nie jest nigdy dziełem jednej osoby. Ta powieść nie powstałaby bez rad, pomysłów, prorocत्व i przyjaźni Andrei Cirillo. Dziękuję także bandzie z fane Rotrosen Agency, która cierpliwie czytała każdą kolejną wersję, a także redaktorce Carol Edwards, która nadała powieści ostateczną postać.

Wyrazy wdzięczności dla Jennifer Enderlin, która miała dość wyobraźni, by ujrzeć w moim pomysłach dużą opowieść - zwykle dziękuję to za mało. Składam podziękowania Jane Rotrosen Berkey i Bernice Clifford z Animal Farm Foundation, które otworzyły mi oczy na zalety mających złą sławę pitbuli. Dziękuję wam.

Dziękuję Kevinowi za to, że był moim nieprofesjonalnym, ale ważnym czytelnikiem.

Bonnie, Hunter, Sprout - dobre z was psiska.

1 Nieprzetłumaczalna gra słów: pit - ustawiać (podniecać) np. psa do walki na arenie (przyp. red.).

2 PETA - People for the Ethical Treatment of Animals (Ludzie na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt); międzynarodowa organizacja walcząca o prawa zwierząt

(przyp. red.).

3 Puree z kukurydzy i fasoli (przyp. red.).

4 Sir Ernest Henry Shackleton (1874-1922), irlandzki badacz Antarktydy (przyp. red.).

5 Rin Tin Tin — owczarek niemiecki, jedno z pierwszych i najsłynniejszych zwierząt występujących w filmach; Marmaduke - dog z komiksu Brada Andersena (przyp. red.).

6 Chance (ang.) - szansa (przyp. red.).